

OBRAZKI

Z

ŻYCIA DOMOWEGO

FRYDERYKI BREMER.

TOM X.

WARSZAWA.

NAKŁADEM HENRYKA NATANSONA.

1860.

DOMOWE OGNISKO.

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻONA NA JĘZYK POLSKI Z SZWEDSKIEGO.

FRYDERYKI BREMER.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM HENRYKA NATANSONA

1860.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 8/20 Lipca 1859 r.

Starszy Cenzor, Assesor Kolegjalny,
T. HERTZ.

w Drukarni J. Jaworskiego.

CZEŚĆ TRZECIA.

ELEONORA DO EWY.

Powracasz więc do domu? Będziesz tu wkrótce, kochana Ewo? Ach! mnie to tak cieszy, tak uszczęśliwia, a przecież bierze mnie jakaś obawa, ale nie zważaj na to; wracaj, wracaj prędko, a wszystko będzie dobrze. Skoro tylko spojrzę w twoje oczy, czuję, że wszystko się rozjaśni. Te słiczne, pocziwe oczy, które obie z Gabryelą nazywamy „naszemi bławatkami”—jakże już dawno ich nie widziałam! Dwa długie lata! Nie pojmuję jak tak długo mogłam żyć bez ciebie, ale prawda, żeśmy nigdy rozdzielone zupełnie nie były. Ja ci towarzyszyłam w twój wielki świat, byłam z tobą na balach i koncertach, współużywałam twoich przyjemności, hołdów jakie ci składano. Ach! co to za rokosz dla mnie, że się nauczyłam cię kochać! Odtąd czu-

Bremer, Ognisko. T. II.

ję się bogatą w sobie, żyję podwójnie. A teraz powracasz; i będziemy szczęśliwe jak dawniej?

Przebacz, przebacz ten znak pytania! Ale czasem przejmuję mnie niespokojność. Mówisz tyle o wielkim świecie, o przyjemnościach i rozrywkach, których — dom ci dostarczyć nie może. A twoje nowe znakomite znajomości — ach! Ewo! nikt jakkolwiekby był miłym i zajmującym, nie może cię tak kochać jak my, jak ja! a potem ten major R. Boję się go Ewo, on cię kocha, znajduję to bardzo naturalnym; ale... boli mnie to Ewo, żeś ty mu tak przychylna. Droga moja, nie przywiązuj się bardzo do niego dopóki.... lecz przykrość ci robię, a tego nie chcę. Przybywaj, o przybywaj do nas! Jak wiele mamy do mówienia z tobą, tak wiele do usłyszenia od ciebie. Myślę, że znajdziesz dom miłszym jeszcze jak pierwój, bo przyozdobiłyśmy go trochę. Podzielisz znowu nasze dnie, poranki i wieczory, godzinę herbaty, którą najlepiej lubisz i po której wszyscy razem tak byliśmy nie raz weseli, takie pustoty wyrabialiśmy. Dziś wzięłam twoją filiżankę od herbaty i pocałowałam w tym miejscu na brzegu, gdzie pozłota trochę się starła. Będziemy znowu razem książki czytać, razem o nich myśleć i rozprawiać; będziemy razem wychodzić i używać świeżości i ciszy lasu. A jeśli tak cicho pójdziemy przez życie, usiłując być coraz lepszymi, coraz więcej przyczynimy się do szczę-

ścia drugich a używać będziemy własnego, Bogu dziękując pokornie za jego dary i podziwiając jego; dzieła powiedz, czy nie będzie to dobrze, czy nie użyjemy dosyć życia i radości na ziemi? Wiem, że takie ciche życie nie każdemu i nie zawsze przypada. Burze przyjsć muszą. I ja miałam czas niepokoju, bólesci i walki. Już to przeszło, dzięki Bogu, a uczucie które zakłócało mój pokój stało mi się światłem przewodniczącym na dalszą wędrówkę. Boleść przebyta rozszerzyła mi świat, uczyniła mnie lepszą, i teraz, gdy już nie pragnę większych i żywszych rokoszy życia, coraz lepiej umiem oceniać skarby otaczające mnie w moim cichym, codziennym kółku. Dopiero wtenczas jesteśmy szczęśliwi tu na ziemi, gdy się nauczymy poznawać wartość przeciwności, i w każdej chwili możemy Bogu dzięki składać. Ale pokoju trzeba, pokoju w sobie i około siebie; pokój jest tęp słońcem, w którym błyszczy każda kropelka upływającego życia.

O gdybym mogła przyzwać go do serca, które... muszę cię przygotować na wielką odmianę i ubytek w domu; Petrei tu nie zastaniesz. Znasz jej skłonność która mnie od jakiegoś czasu bardzo niepokoiła. Skłonność ta rosła, i dla Ludwika, dla Jakobięgo, dla siebie samój Petrea musiała uciekać, inaczej byłiby wszyscy nieszczęśliwi. Ona widziała to sama, i kiedy Jakobi doniósł o bliskim swo-

jém przybyciu, otworzyła serce rodzicom. Postąpiła szlachetnie i pocziwie, a rodzice byli dobrzy i mądrzy jak zawsze. Ojciec odwiózł ją sam do swego przyjaciela, biskupa B. Oby Bóg nad nią czuwał i wrócił jój spokojność. Płacę za nią, ale mam dobrą nadzieję. W jój młódém sercu tyle życia, zdrowia i świeżości, że się podźwignie i zwycięży, zwłaszcza na wsi, którą Petrea tak bardzo lubi, wśród nowego otoczenia i zajęć...

Przerwano mi pisanie, bo Jakobi przyjechał.

Dobrze że Petrea daleko, w cieniach Furudalu. Dobrze dla jój biednego serca, dobrze dla narzeczonych, którzyby w jój przytomności nie śmieli być szczęśliwymi. A tak są niemi zupełnie. Po sześciu latach oczekiwania, wzdychań i nadziei widzi się nareszcie Jakobi bliskim swego celu — małżeństwa i pastorału. Do tego zaś, obok własnej, istotnej zasługi, dopomaga mu jego ukochany, wyborczy excelencya O. Ten swoim wpływem skłonił dwóch najznacniejszych właścicieli w gminie J. by dali swe głosy Jakobiemu, który mimo młodości został wraz z innemi podany na to miejsce. Otrzyma więc jedno z największych i najpiękniejszych pastorałów z prowincyi, a Ludwika będzie czcigodną panią pastorową, co sobie sama przepowiedziała. Jedynem „ale“ przy tém szczęściu, to że Ludwika i Jakobi daleko od nas odjadą... „ale nic na świecie nie może być doskonałym“

powiada z westchnieniem nasza dobra i rozsądna Ludwika. Ponieważ czas wyboru wypada na początku wiosny i Jakobi w krótkce po zanominowaniu będzie musiał objąć pastorat, więc pragnie obchodzić wesele w zielone świątki. Nie mógł zostać pastorem w okolicy naszej, jak to było wszystkich najwyższem życzeniem, żeby Ludwika wychodząc z domu, nie opuszczała jednak rodzinnego kółka, to chce przynajmniej, by jego żona, drogą kwiatami usłaną i przy śpiewie skowronków i słowików, weszła w dom nowy, w jego chatę pasterską. Marszałkowa prosi tylko żartami, by się nie stali nadto „nomadami.“ Z pewnością nikogo więcej jak Ludwikę, nie mogą zajmować krowy, cielęta, owce i drób. Przyszli małżonkowie już teraz urządzą swój dom, a Gabryelę bawią niezmiernie urywki z ich rozmowy dochodzące jój uszu, gdy oni siedząc na sofce w bibliotece o miłości i gospodarstwie rozmawiają. Ale nie tylko o tém mówią, bo Jakobiego serce pełne jest gorącej miłości ludzkości, a nasz ojciec udzielił przecież każdemu z dzieci coś z swego zapału dla ogólnego dobra, jakkolwiek Gabryela utrzymuje, że jój się bardzo mała tylko częśćka dostała.

Pociecha to prawdziwa patrzeć na naszych narzeczonych jak wychodzą na kupno i z swemi sprawunkami serdecznie zadowoleni powracają. Ludwika upatruje zawsze coś niewypowiedzianie

doskonałego w każdej rzeczy, którą sobie kupuje choćby to był gliniany garnuszek. Gdy widzę ich oboje jak podobni ptakom znoszą sobie do gniazdka i cieszą się każdym źdźbłem słomy, to myślę, że daleko większym jest szczęściem do próżnego wchodzić mieszkania i urządzać je sobie, jak do wspaniałego i bogatego, które drudzy urządzili. W pierwszym razie każda rzecz jest miłą jak poufały przyjaciel, a nikt tego bardziej czuć nie może jak Ludwika. Wiele teraz mamy zatrudnienia przed weselem; nasz dobry ojciec ze smutkiem widzi zbliżającą się chwilę, która mu z kochanego koła jedną córkę zabierze. Onby chciał nas wszystkie mieć zawsze około siebie. A propos! Mamy zamiary ojca się dotyczące, któremi radziłyśmy umilić mu stare lata. Pamiętasz zepewne to pole obok nas, wielkie, puste, krzakami zarosłe, którego ludzie nie mają rozumu ani uprawiać, ani nam darować; te zamyślamy—ale o tém pomówimy ustnie! Petrea udzieliła nam wszystkim, nawet Ludwice chęci do wielkich przedsięwzięć, a potem... to tak miło pracować dla szczęścia tych, którzy z taką miłością i tak niezmordowanie o nasze się starają.

Cokolwiek o przyjaciółach i znajomych.

Wszyscy często się o ciebie pytają. Wuj Jeremiasz gdera zawsze czemu nie przyjeżdżasz, śniadając z nami zwykle we środy i soboty, przyczém powstaje na nasze bułeczki, a porządnie je zajada.

Od jakiegoś czasu stał się przecież łagodniejszym i miłszym; jego serce zawsze było wyborne. Jest on przyjacielem i lekarzem wszystkich ubogich. Niedawno kupił sobie małą willę, o milę od miasta. Ma to być pociecha jego starości i nazywać się „rózą starca.“ Nie jest że to rozczulające?

Anusia P. jest nieszczęśliwą przy swojej ostrój bratowej; nie skarży się, ale jej wzrok, cera, cała powierzchowność okazują niezadowolenie z życia. Musimy ją przyciągnąć do siebie Ewo, i próbować czy nie nie potrafimy ją uczynić trochę szczęśliwszą.

Nadeszła w tej chwili Gabryela i żąda abym w moim liście zostawiła miejsce na jej bazgranię. Śmiałe żądanie! Ale któż kiedy odpowiada jej *nie*? Ja tego nie potrafię; i spiesźnie kończyć będę,

Jeśli za powrotem do domu przedstawią ci młodego barona Rutgera L. nie myśl że on waryatem choć się takim wydaje. Jest on synem przyjaciela naszego ojca, pod którego kierunkiem ma się kształcić na urzędnika i dla tego w naszym domu został umieszczony. Jest to dyament nie obrobiony i potrzebuje obrobienia, pod niejednym względem. Wpół-dzika wesołość troszkę się już zaczyna uspokajać. Jedno słowo matki naszej sprawia na nim wielkie wrażenie, szczególne ma poszanowanie przed niełaskawą twarzą Gabryeli, mniejsze wzbudzają w nim morały i kazania Ludwika. Ma on

dopiero lat dziewiętnaście. Stara Brygita boi się go, nieśmie koło niego przechodzić, żeby przez nią nie przeskoczył. Ach, jakże ona wraz z innemi będzie uszczęśliwiona twoim powrotem! Obawia się ciągle, żebyś zamaż nie poszła i nie została w tój „dziurze” jak Sztokholm nazywa.

Henryka wolno nam do świąt Bożego Narodzenia zatrzymać. Pomożesz go nam za powrotem rozweselić. Wcale nie jest tak swobodnym jak dawniej. Zdaje mi się że go trawi nieprzyjemny stosunek ze Sternhekiem. Ach czemuż się oni zrozumieć nie mogą? Przytem oczekuje Henryk ważnego dla siebie rozstrzygnięcia. Daj Boże, aby mu wszystko dobrze poszło i dla niego i dla matki.

Petrea powróci dopiero po ślubie Ludwika. Kiedyż razem wszystkie znowu w domu będziemy. Oby to nastąpiło kiedykolwiek? O Sarze już od lat paru nie wiemy, pomimo licznych pytań i poszukiwań. Może ona już nie żyje! Wiele łez za nią wylałyśmy. O gdyby powróciła! Czuję, że byłybyśmy szczęśliwsze razem niż pierwój, Obląkała się, ale było w niej wiele dobrego i szlachetnego. — Słyszę lekki krok matki, przeczuwam, że ma coś dla mnie dobrego...

O tak! miała list od ciebie, moja Ewo! Nie możesz oznaczyć dnia twego przybycia, — to smutno! Ale przecież prędko przyjedziesz? — Lubisz Sztok-

holm; ja także Sztokholm lubię i dla tego że był ci miłym radabym go za to uściskać. Jestem u końca papieru, bo Gabryela zamówiła ostatnią stronę. Żegnam cię, by pisać znowu do tój, która nas porzuciła ze łzami, ale ufam że z uśmiechem powróci.

OD GABRYELI.

Z rana.

Kto nie mógł pisać wczoraj wieczór, musi wstać ze wschodem słońca, aby ci powiedzieć, że tylko twoje przybycie może mnie pocieszyć po odejściu Petrei. Bardzo tęsknimy wszyscy za naszą rożą! Znam jeszcze kogoś, lubo nie należącego do najbliższej rodziny, który tęskni. Trzeba ci wiedzieć że między wujem Jeremiaszem a nami zawiązała się wielka przyjaźń. Przyszło do tego na łące; w domu nie jest on bardzo przyjemny, ale przechadzki wykrywają jego piękne strony. Petrea i ja robiłyśmy z nim bardzo dalekie wycieczki. Wtedy stawał się wesoły i łagodny; wyszukiwał z nami rośliny, opowiadał o ich rodzicach w królestwie natury i życiu osobliwszem. Czy wiesz, że wiedzieć o tem bardzo jest miło. Wuj czuje się w swoim żywiole przy roślinach. O! nieraz przejmuję mnie uczucie jak niewymownie bogatem i ciekawem jest życie i zdaje mi się, że łatwo o szczęście na tój ziemi, byle tylko mieć otwarte oczy i myśl

dla wszystkiego co wspaniałe; a w ten czas świegotabym jak ptaszek z rozkoszy W domu, wuj Munter tak gorliwie się zajmuje jak ja pielęgnowaniem kwiatów. Pomyśl tylko że na święta Bożego Narodzenia zakwitnie mi bez hiszpański biały i lila. Żal mi serdecznie że nos mojej Petrei nie będzie czuł ich woni. Zakończę już — gdyż obarczyłam się na czas jakiś dozorem nad śniadaniem. Szczęściem troszczy się niem Bergstrom, a ja się nie spracuję, bo tylko popatrzę jak śniadanie podane. Potem zajrzę jeszcze do mojej róży, czy nierozkwitł się nowy pączek — a na koniec powiem mamie dzieńdobry, spojrzę przez okno na liść w ogrodzie, szlący mi pozdroowanie nim opadnie; słońcu także wschodzącemu właśnie jasno i prominiście poświęcę jedno spojrzenie — jeden promyk ze słońca oka mego, z pełni serca wdzięcznego. Lecz aby te wszystkie ważne sprawy i czynności dopełnić, dla publicznego żegnam cię, ciebie którą tak kocham serdecznie!

III.

PETREA DO ELEONORY.

Z domu gościnnego w D.

Wieczór — ojciec wyszedł by przysposobić wszystko do jutrzejszej podróży morskiej — Jestem sama

— mgła gęsta zaciemnia brudne okna domu i moje oczy równie mgliste, a serce ciężkie i przepelnione, muszę z tobą mówić, Eleonoro! stało się — postanowienie gorzkie spełnione, opuściłam dom ojczysty, rodzinę, długo nie mam widzieć łagodnych waszych oczu, pocieszającego głosu twego nie słyszeć, gdyż na to nie zasługuję, zakłóciłam spokojność domu, tak Eleonoro! nadaremnie uniewinniasz mnie i chcesz pojednać z samą sobą; poznaję żem zbłądziła, żem pragnęła, żądała przynajmniej na chwilę — ach! chciałabym teraz jak przy pożegnaniu przycisnąć do ust szatę Ludwika i prosić, Przebaczenia! Przebaczenia! Osądziłam siebie, potępiłam, uciekam, uciekam — żeby nie zamąciła jego, jój szczęścia, Byłam chmurą na ich niebie — na ich chmury? Oby je wiatr rozwiął! O Eleonoro! jestto przykre, bardzo przykre uczucie, sercem gorejącem wdzięcznością nic więcej nie mógł uczynić dla kochanych, jak tylko oddalić się — zniszczyć się. Lepiej zaś tak! sto razy lepiej ukryć się w łonie ziemi, niż szkodzić. — W istocie! gdybym mogła im się tém przysłużyć — gdybym mogła przepaść w ziemi na kształt posianego ziarna, a potem wybijać dla nich kłosem obfitym — byłoby nie mało i słodko. Eleonoro! sławią poświęcających się dla miłości. sławy, religii, dla wysokich i szlachetnych celów! Czemuż to? Umrzeć tak, jest łaską Bożą. Jestto życie w śmier-

ci. Znam życie będącą śmiercią, a śmierć żyjącą długiem ciągle życiem.... być sobie ciężarem a nikomu radością... o! gorzko!! — Czemuż w duszy ludzkiej pozostaje niby pragnienie wieczne, żądza za szczęściem, za miłością! naksztalt źródła tantałowego. — Eleonoro! oczy mnie bolą i głowa, w sercu mojem dziki niepokój! Nie umiem zgodzić się z wolą Bożą — W umyśle moim chaos! — Trochę ziemi na skroń i piersi — to pomogłoby mi.

NA PAROWCU.

Dzięki Eleonoro! dzięki ci za poduszkę — zdała mi się prawdziwie pod znękaną głowę. — Wczoraj wieczorem myślałam że na prawdę zasłabnę; to dreszcz mnie przechodził, to gorąco mi było, głowa mnie bolała, czułam czułam się niby na wskrós rozdartą; lecz gdy głowę położyła na twój poduszcze, gdy ucho moje spoczęło na cienkiej poszewce, którą zgrabna twa ręka haftami ozdobiła, wtenczas zdało mi się, że duch twój wemnie wstąpił, otoczył mnie spokój, wszelkie bóle ustały tak nagle, tak cudownie, marzyłam przyjemnie, zdziwiłam się, że nazajutrz zbudziłam się zdrową na ciele i na duchu. Twoja poduszka to zdziałała Eleonoro!

Ucałowałam ją i podziękowałam tobie. Czytamy w dziejach apostoelskich, że wynoszono słabych żeby przynajmniej padł na nich cień mężów świętych, i powrócił zdrowie schorzałym. Wierzę w si-

łę takiego uzdrowienia. Rzeczywiście? dobrzy święci udzielają życia swego, siły swojej wszystkim którzy się do nich zbliżają. Doświadczyłam tego ostatniej nocy.

Weszliśmy na okręt. Widmo to morskie zagrzmiało i pomknęło się na otwartą morze. Z początku wiedziałam tylko że mnie od was oddała — i stałam schylona na krawędzi okrętowej, płacząc. W tem uczułam jak tkliwe ręce łagodnie mnie objęły. — Był to nasz ojciec! Okrył mnie ciepłym płaszczem, na jego łonie podniosłam głowę. Ranek był jasny, białe chmurki przelatwały po błękitie popędzane wietrzykiem, ale uderzały z łoskotem o parowiec, łąki zielone, ogrody rozeszły się w prawo i w lewo, przestrzeń otwierała się zwolna, Spoglądałam na przeciw wiatru i ogromu morza, dozwoliłam pianie morskiej obmywać me usta i czoło, dreszcz lekki mnie przechodził, uczułam że życie jest piękne. Tak, uczułam że ulatują złe duchy z mojej duszy téj godziny porannej, promieniejącej jasnością, wśród świeżego powietrza. Wciągałam w siebie wietrzyk ranny, otworzyłam serce dla życia i chętnie bym mu otworzyła łono i wszystkim ukochanym, żeby im objawić ciche przecucia serca mojego. Miłość ku wam umieściła mnie tutaj dając mi siłę, żeby wam kiedyś odpłaciła się radością.

Dziwi mnie to jak mogą głębokie cierpienia serca oprzeć się długiej podróży morskiej! Coś nadzwyczaj wzmacniającego jest w tej podróży, w tym wietrze czystym. On rozprasza wszelki proch z przed oczu duszy, patrzymy jaśniej na siebie i na wszystko, oddalamy się od siebie samych, wstępując w nowe stosunki i na nowem wybrzeżu, zaczynamy niejako od początku.

Wczoraj mieliśmy burzę. Prócz ojca, ja tylko byłam wesołą między podróżnami. Mogłam więc zajmować się słabymi; wprawdzie i przytém są nieprzyjemności, upadłam trzymając w ręku flaszkę z wodą czy z kroplami, lecz widziałam niejedną śmieszność, niejeden rys różnorodny natury ludzkiej śmiałam się, czyniłam spostrzeżenia, zapomniałam o sobie i zaprzyjaźniłam się ze wszystkimi. Widzę że służba na okręcie byłaby dla mnie stosowną.

Prawie około północy siedziałam sama jedna na pokładzie. Jeszcze się rozbijały fale o okręt wygodnie płynący, a wiatry kołysały linami; księżyc w towarzystwie jasnej gwiazdki ukazał się w pełni nad morzem, wylewając na ciemną powierzchnię miłe, prześliczne światło, był to widok niewymownie piękny. Uczucia wezbrały wemnie, których nie zdołam wysłowić, uczucia miłości i współudziału i czegoś jeszcze wyższego i silniejszego, jakaś tęsknota, której opisać nie umiem. Pragnęłam,

sama nie wiem czego. Lecz czego nie pragnę, przed czém drzę, to wiem. Obawiam się życia cichego, układowego, w które mam znowu wejść, przepisanych form i więzów towarzyskich, to wszystko trwoży duszę moją, czyniąc ją skłonną do wybryków. Miasto siedzieć w przyzwoitem towarzystwie, herbartę pić w wielkim świetle, wołałabym błąkać się po puszczy, jeść szarańczę z Janem Chrzcicielem i przyodziewać się suknią z włosieni wielbłądów. Ostatnie musi być zapewne daleko przyjemniejsze w porównaniu z naszymi ubiorami i błyskotkami. Wiele jest odmiennych scen życia. Dziwny „pierścieniu czarno-księżki“ świata, jak znajdę w tobie drogę i miejsce dla siebie? Przebacz Eleonoro, że tak wiele mówię o sobie. Tyś mię już do tego wzwyczaiła, moja droga! Popołudniu przybędziemy do Furudalu.

Z FURUDALU.

Przybiliśmy do brzegu. Wołałabym zostać na morzu. Przychodzę właśnie z pokoju bawialnego, gdzie doznałam rozbicia okrętu. Jakiś duch niedobry zmusza mnie ciągle mówić lub robić coś niestownego.

Wieczór zawiklałam się wnici biskupowej i opowiedziałam głupią anegdotę obliskim jej krewnym.

Chciałam być dowcipną, a to wychodzi mi zawsze na złe. Ludzie tutejsi są uprzejmi. Biskup

jest mały, żywy człowieczek, mający coś anielskiego w głosie i oczach. Lecz.... lecz z jego towarzystwa mało korzystać będę.

Żyje on wyłącznie książkami i sprawami swego powołania, zresztą zawsze jest w mieście. Biskupowa mieszkająca za miastem, jest bardzo słaba. Pielęgnowanie i czytanie jój sprawia mi przyjemność. Gdyby mię tylko lubiła. Oboje małżonkowie byli dla córki mojego ojca bardzo łaskawi, ale zdaje mi się że nie miłą mnie nie znaleźli. W przeklętym ich bawialnym pokoju było za nadto gorąco, a ja poczerwieniałam jak piwonია. Z tego można także wpaść w rozpacz. Prawda że to drobnostka i niedorzeczność, a przecież gniewa. Nie przyjemnie jest tam się niepodobać, gdzie szczerze chciałoby się podobać.

Wypróżniłam skrzynię, którą mi tak prędko naładowaliście, wpadły mi do rąk częścią nowe, częścią odnowione ubiory. Wszystkie kochane siostry są od was. — Na całą zimę jestem zaopatrzona. Jakże dobre jesteście! Poznaje rękę Ludwiki. Zbiera mi się na płacz! Moi ulubieni! Mój Henryku.

KILKA DNI PÓŹNIEJ.

„Jodły szumią rzeźwo i cicho. Przychodzę z lasu. Góry, las, samotność w śród natury—to piękne. Eleonoro! zacznę życie nowe. Chcę umrzeć dla dawnego życia, próżności, zamętów urojeń. Poniszczyłam wszystkie kiedykolwiek dane mi pochlebne o-

znaki uczuć, pamiątki; tak od mężczyzn jak od kobiet.—Posyłam ci trochę pieniędzy za klejnociki które sprzedalam wraz z innemi drobnostkami własnej roboty. Za to kup coś, coby podobalo się Ludwice i Jakobiemu. Tylko nie daj im odgadnąć!—proszę Cię—że to od Petrei.

Gdybym mogła sama sprzedać się za jaką cenę znaczną i ich zbogacić, to...

Mam wiele wolnego czasu i wiem jak go użyję, często będę wychodziła na przechadzkę, będę się błąkała po lasach i polach w burzę i śnieg, w każdym stanie powietrza, dopóki się nie zmęcę,—przynajmniej cielesnie. Wtedy może większy spokój będzie w mojem umyśle.... Już nie pragnę szczęścia, mniejsza onie! Można nie być szczęśliwą, a przecież czystą i pobożną? Gdyby tylko dzień doświadczenia nie był tak długi! Eleonoro, aniele mój dobry, módl się za mnie!

Bądźcie wszyscy szczęśliwi!

Pozdrów wszystkich czule od Twojej

Petrei

Dopisek. Nos mój zasyła Gabryeli ukłon i występuje odrysowany, na jej usługi z należnym otoczeniem. Niechaj nie myśli że smutna. Posyłam wam baladę czy romanse. Wczoraj wyśpiewał mi ją las; każdy ton melodyjny w duszy mej, niech się dostaje do domu. Ach! jak wszystkich was kocham.

Teraz gdy Petrea przyzwyczajają się do nowego — życia w wiejskiej samotności, gdy śnieg pokrywa ziemię, żeby ją przysposobił do nowej wiosny, powróćmy do naszych znajomych w mieście, i opiszmy zdarzenia tam zaszłe.

IV

ROZMOWA.

Jakobi wyjechał. Październik zawitał z swemi wichrami i wieczorami długimi, które tak smutne są i nie do przebycia, jeśli nie umilają je jasne myśli i spojrzenia przyjazne.

Pewnego wieczora Henryk przyszedł na herbatę nadzwyczajnie blady. Siostrą pytającym o przyczynę tego, odpowiedział, że głowa go boli, dodając na wpół żartem, na wpół seryo: „Przecież nie byłoby to źle pozbyć się raz tego ciała ciężkiego — ono coraz bardziej staje się ciężarem!“, „Co też mówisz!“ odrzekła Ludwika „najlepiej zatrzymać je ale należyście się z nim obchodzić, nie siedzieć w nocy i czytać, a z tego potem mieć ból głowy.“

„Dziękuję najuniżeniej za moral! Ale gdy ciało moje niema podlegać duszy, tylko ją ujarzmić, chętką mnie bieże wieść z nim bo je.“

„W poczwarcie rozwija się przecież motyl“ — dodała z dowcipnym uśmiechem Gabryela, pokrywając liśmi róży kilka poczwarek, które miały na tém posłaniu prześnić zimę.

„Ach prawda! odpowiedział Henryk“ — lecz jak silnie ta powłoka krępuje skrzydła motyle! Szata ziemską gniece mnie! Jakżeby dusza żyła, działała rozkoszowała, gdyby tój łupiny nie było! Czegoż nie moglibyśmy uczuć i pomyśleć w przeciągu jednej chwili! Co za światło w pojęciach! Jakie boskie myśli w sercu! Przycisnąłbym świat cały do łona mego, przejrzałbym wszystko wzrokiem moim, przeniknąłbym zapalem! O, wtedy doskonałość, jasność! Gdyby nawet w godzinie takiej przyszedł do mnie Pan nasz, podałbym mu prawicę mówiąc. „Pojmuję ciebie“ — „Henryku kochany, przerwała Ludwika trochę rozniewana, sądzę że sam nie wiesz co prawisz.“ „Tak“ mówił Henryk dalej nie uważając na przerwę „tak, można czuć, lecz jedną chwilę tylko, w drugiej poczwarka przyciska nas całem brzemieniem swemi ziemskością, a my śpiemy marząc i upadając niżej tego, czém przed chwilą byliśmy. Wtenczas widzimy w książkach martwe słowa, nie znajdujemy w duszy uczuć ani myśli — a dla których jestestw gorzało serce, dla tych jesteśmy obojętni, unikamy ich. Ach to rozpacz!“ „Daleko byłoby lepiej“ powiedziała Ludwika „przespać się; znikłby ból głowy i ociężałość.“

Podług mego zdania, jest to nudny środek“ — odpowiedział Henryk z uśmiechem „Szkaradnie, tyle snu potrzebować“ Do czegoż można się przydać, będąc spiochem? „Silni czuwają i mają wolę“ słu-

sznie mówi Balzak. Lecz jeżeli nikt nie ma i ocie-
 zła natura moja tyle snu wymaga, to zemnie nie
 będzie nic wielkiego. Natchnione zupełnie życie
 duszy jest coś tak wspaniałego i wzniosłego, że
 czujemy się ubogimi, jeśli ono gaśnie. O! teraz poj-
 muję że wielu usiłowało drażliwymi środkami spro-
 wadzić lub przedłużyć to życie i ogniem wina obu-
 dzić ogień duszy.“ — „Wtedy pojmujesz bardzo
 coś niedorzecznego i bezrozumnego“ „odezwała
 Ludwika“ właśnie takiemu życiu może, mamy do
 podziękowania, że w Szwecyi tyle jest opojów i po-
 litowania godnych ludzi, że nawet odważyć się nie
 można wyjść na ulicę. „Nie bronię tego moja Lu-
 dwiko“ „powiedział Henryk, śmiejąc się łagodnie
 z zapału siostry“ lecz rozumię i mogę uniewinnić
 w niektórych razach. Nieraz gorzko się czuje
 ciężar życia, a chwilę natchnienia w takiej udzie-
 lają je pełni! Są to niby błyskawice pochodzące
 z żywota wiecznego! „I za prawdę są niemi“ do-
 dała Eleonora, przysłuchująca się z uwagą i ze
 łzą w oku.“ Tak jasno, tak błogo uczujemy ży-
 cie, gdy kiedyś całkiem pozbedziemy się poczwar-
 ki — uwolnimy się nie tylko z więzów ciała; ale
 i więzów duszy. Może chwile, o jakich mówiłeś,
 dane nam są na ziemi dla tego, abyśmy tęsknili
 za domem niebieskiego Ojca, za jego tchnieniem.
 „Piękna myśl Eleonoro. Takie chwile są w istocie
 objawieniem naszego wewnętrznego, rzeczywiste-

go, w więzach będącego życia! Boże!.., jakże one
 wspaniałe... lecz ach! czemu są długie, długie go-
 dziny ciemności?“ „doświadczeniem cierpliwości,
 chwilami przygotowania!“ odpowiedziała mile uś-
 miechając się Eleonora. „Prócz tego powracają
 owe chwile jasne radując nas światłem swém tém
 częściej, im więcej postępujemy w doskonałości;—
 lecz trzeba mieć cierpliwość z samym sobą Henry-
 ku, trzeba się przyzwyczaić tu w życiu do czeka-
 nia na siebie.“ „Mówisz prawdę siostrze! Ucało-
 wałbym twoją rękę. O tak.“ gdyby.

Bądź teraz cokolwiek mniej czułym i estetycz-
 nym, chodź tu i napij się herbaty“ zawołała star-
 sza siostra „Oto Henryku! mocna i ciepła herba-
 ta ulży twojej głowie. Ale wieczór i rano zażyjesz
 łyżkę stołową mego elixiru.“

Niech mnie od niego zachowa dobrotliwy — dzie-
 kuje ci, droga siostrze!... Ale... ale... miła Gabrye-
 lo! kilka kropel wina wzmocniłyby herbatę, a ja nie,
 stałbym się jeszcze politowania godnym człowiekiem
 których Ludwika tak się boi. Dziękuję, mała sio-
 stro; Mahomecie przytknij oczy. I kłaniając się
 Ludwice, Henryk przytknął filiżankę do ust.

Później, wieczorem Henryk stał przy oknie bi-
 blioteki, spoglądając na przestrzeń księżycem oświe-
 coną. Eleonora przybliżyła się do niego, patrząc
 mu w oblicze tkliwym, pokornie pytającym wzro-
 kiem, dla którego go serce tak chętnie się otwiera.

„Jesteś bardzo błady, Henryku!” rzekła nie spokojnie. „Dziwnie” odpowiedział, śmiejąc się w pół z siebie samego. „Czy widzisz Eleonoro te jodły tam na cmentarzu — jak wierzchołki ich kłaniają się przed wiatrem i uchylają. Nie pojmuję przyczyny; ale to skinienie, to schyłanie się mężczyźnie; czuję je w sercu.”

„To dla tego żeś słaby Henryku. Czy nie przeszlibyśmy się cokolwiek? Tak ładna noc księżycowa. Świeże powietrze zapewne ci posłuży.”

„A ty pójdziesz zemną? Tak, to nie zła myśl.”

Gabryela miała ją za bardzo niedorzeczną. Nazwała rodzeństwo, Samojedami, Lapończykami, Eskimosami, którzy błakać się chcą wśród nocy zimowej. Nie mniej przeto wzięwszy się pod rękę wyszli żartując.

„Czy tylko nie za wietrzno dla ciebie? zapytał Henryk, starając się zasłonić siostrę od wiatru. „Wiatr nie jest zimny” odparła Eleonora. „Miło mi iść wspartą na twem ramieniu; gdy około nas wiatr szumi, płatki śnieżne niby koboldy tańczą w blasku księżycowym.”

„Więc to czujesz, co ja. — O przy was siostry jestem spokojny i szczęśliwy, ale nie wiem skąd, że od niejakiego czasu inni ludzie dręczą mnie i drażnią.”

„Henryku, czy to nie twoja trochę wina?”

„Myślisz o Sternheku, Eleonoro?”

„Tak.”

„Ja także, może masz słuszość, sam to przyznam, że nieraz postępowałem z nim niesprawiedliwie, za nadto popędliwie. Lecz on mnie do tego doprowadzał. Czemuż dawał mi uczuwać w tak przykry sposób swoją wyższość, dla czegoż niszczył tak często radość jaką mi sprawiły dążenia moje, obchodząc się zemną prawie zawsze obojętnie, zlekceważeniem?”

Eleonora milczała. Księżyc odbił się we łzie jej oka. Z wzrastającą gwałtownością ciągnął Henryk mowę. „Tat łatwo kochałbym go! — Osobliwszy jego charakter, jego siła, osobistość jego wywierały na mnie nie pospolity wpływ, miały wielką przewagę nademną. Lecz on jej nadużywał — niełitościwie obchodził się zemną, właśnie w ten czas gdy najbardziej łągał do niego. — On był jakby przeczeniem moich błędów, lecz także i nie jednego dobrego i czystego w piersi mojej. Takim uczuciem było moje przywiązanie dla niego — on je odepchnął od siebie. — Wyznam ci szczerą prawdę, Eleonoro, jak obecny stosunek nasz powstał. Wiesz że niemal przed trzema laty zgromadziło się na wszechnicy około mnie niby jakieś kółko literackie młodych przyjaciół, którzy zapewne dar

mój poetycki za nadto wysoko cenili, skłaniając mnie do dalszego zajmowania się poezją.

W tym czasie byłem ulubieńcem tego kółka, w którym żyłem. Może stałem się zarozumiałym może ukazała się jakaś chęć górowania, jakiś nie prawdziwy, jedno-stronny kierunek wzbiorze wierszy, wydanych wtenczas przezemnie. — Poezye te uczyniły silne wrażenie. Ale nie długo pojawiła się ich krytyka, która jeszcze silniejszy wpływ wywarła swoją siłą, surowością i uszczypliwym dowcipem. Żadło jej nie przepuściło ani dzieła ani charakterowi poety. Sąd ten wywołał powszechne oddziaływanie przeciw mnie. Wydał mi się surowy i jedno-stronny i do téj chwili nie inaczej o nim myślę, chociaż sprawiedliwość jego, pod niektórymi względami, poznaję teraz lepiej, niż wtedy. Bezimiennym pisarzem téj krytyki był — Sternhek; bynajmniej tego nie zaprzeczał. Oświadczył, że nie tyle chciał wystąpić osobiście przeciwko mnie jak przeciw wzrastającej dążności stronnictwa, którego byłem niejako naczelnikiem. Już przedtem usuwałem się od niego i z pod władzy jego stojącej się dla mnie coraz przykrzejszą, a ten cios nowy nie posłużył wcale do zjednoczenia nas. — Surowa jego krytyka uczyniła mnie uważnym na błędy moje, lecz sam nie wiem, czy nie byłby mnie dotknął zbyt boleśnie, złamał na zawsze, gdybym w tym czasie nie był powrócił do domu i nie odżył

w nowe siły i dążności, przy dobroczynnym wpływie drogiej rodziny. Wtedy to także, ojciec zniezmierną dobrocią, wciągnawszy nas wszystkich do spisku, sprzedał połowę swęj biblioteki, żeby mi dostarczyć środków do podróży za granicę — za prawdę stworzyliście we mnie nowego człowieka, a wszelkie moje marzenia i działania zmierzają tylko, by dowieść żeś was godny. O! kocham was tak bardzo, tak gorąco. Ale ze Sternhekiem skończono! Przyjaźń którą czułem ku niemu zamieniła się w gorycz.“

„O Henryku, Henryku! Niech tak nie będzie dłużej!

Sternhek przecież jest dobrym, szlachetnym mężem, chociaż czasami za surowy, w istocie tak wysoko sądzi o tobie, jak my wszyscy — tylko obaj nie chcecie się zrozumieć. — Henryku — przy ostatku byłeś rzeczywiście dla niego niesprawiedliwym. Zdawało się, że ledwie znieść zdołasz jego widok.

„Cóż ja temu winien, Eleonoro! Jest coś we mnie silniejszego nademnie. Nie pojmuję, jaki duch zły od niejakiegoś czasu wstąpił w serce moje — ale on tam istnieje. Jak tylko spostrzegam Sternheka, uczuвам jakby ostre pchnięcie, piers moja ściga się przed nim, a gdy mówi zemną, krąży w żyłach moich jakby olów kipiący.“

Henryku, najlepszy Henryku!“ wymówiła boleśnie Eleonora „to straszne! Spróbuj się przewy-

ciężyc! Pokonaj to uczucie i podaj wtedy Sternhekowi rękę do pojednania!“

„Za późno Eleonoro, przyszłoby może do tego, gdyby on tego sam zapragnął. Ale on nie troszczy się o mnie. Nigdy mię nie kochał i nie cenil moich usilności i zdolności.“

Może ma słusność w tém, żem o nich za nadto wysoko sądził, jak i kilku przyjaciół stronnych, może Sternhek sprawiedliwie pogardza moim talentem. Bo i cóż dotychczas zdziałalem? Nie raz zdaje mi się, że w ogóle nie postąpię wyżej, że siły moje za słabe, a czas kwitnienia przeminie za prędko, Sternhek poczyną dopiero, należąc do tych, którzy powoli, ale tem pewniej postępują. Teraz lepiej poznaję niż pierwój o ile on wyższy jest nademnie i uznanie to dręczy mię!“

„Ależ do czego teraz te smutne myśli i uczucia Henryku luby, kiedy przyszłość twoja wzbudza daleko większą nadzieję niż przedtém? Twoje piękne poezye nie tylko zyskają pewną nagrodę, ale zjednávają ci także powszechne poważanie, otworzą widok korzystnego i godnego ciebie zawodu i działania; czemuż wszystko, co przed kilku miesiącami ożywiało tak serce twoje—teraz jest bez silne?“

„Niewiem“ odpowiedział Henryk „lecz od niejakego czasu wiele zmieniło się we mnie, nie ufam szczęściu mojemu. Wydaje mi się, że wszystkie nadzieje piękne przeminą jak sen.“

„A gdyby i tak było,“ mówiła badając go nieznacznie Eleonora, „czyż nie znalazłbyś i wtenczas szczęścia i spokoju—w domu, zajmując się ulubionemi umiejętnościami, żyjąc znami, którzy cię kochamy tylko dla Ciebie?“

Henryk przytulił rękę Eleonory do siebie, ale nie odpowiadał. Silny wiatr zmusił ich spocząć przez chwilę.“

„Nie przyjemne powietrze“ odezwał się Henryk okrywając płaszczem siostrę.

„Przecież takie lubisz“ odpowiedziała żartem.

„Lubiłem powiedzieć. Teraz mi się nie podoba.“
Może dla tego że odpowiada temu, co mię tu boli.“
Mówiąc to położył rękę Eleonory na pierś swoją, która się dziwnie wznosiła, serce biło gwałtownie, „Boże!“ wykrzyknęła Eleonora przestraszona, „Henryku co to jest? czy to tak często?“

„Niekiedy, od pewnego czasu! Ale uspokój się, a przedewszystkiem nie wspominaj o tem przed matką i Gabryelą! Mówilem już z Munterem, podał mi zaradczy środek i osądził to za nic nie znaczące. Dzisiaj miałem ciągle mocne bicie serca i dla tego byłem taki posępny.—Teraz polepszyło mi się i jestem swobodniejszy; krótka ta przechadzka ulżyła mi znacznie. Żebyś tylko kataru nie nabawiła się Eleonoro! Gdyż wtenczas będziesz ukarana, a przynajmniej zagrożona elixerem Ludwiki;—Ale czy nie zajeżdża ten powóz podróżny przed nasze

drzwi, jakby chciał stanąć przed niemi? Miałabym być Ewa? Powóz zatrzymał się, to pewnie Ewa!”

„Ewa! Ewa!” zawołała Eleonora radośnie, brat i siostra poskoczyli prędko ku drzwiom i przyjęli Ewę wrozwarne ramiona skoro tylko wysiadła z powozu.

V

EWA.

Do namilszych wypadków szczęśliwej rodziny należy niezaprzeczenie i to gdy z ukochanych jeden członek po krótkim oddaleniu się powraca na jej łono.

Tak powraca pszczołka po wylocie na łąki do ula z miodem. Jleż to nie krąży zapytań i odpowiedzi z obydwóch stron. Każda chmurka z widokrengu rodziny znika, wszystko w słońcu i radości — w takich chwilach wszyscy pięknieją, każde serce rośnie, bo wśród dobrego, każdy krok w życiu dobre pomnaża.

Powrót Ewy, był jasną chwilą słoneczną dla domu Franków. Miłość wzajemna, jawna uściskami, śmiechy, łzy, żarty, powitania radośnie, tysiąc dowodów czułości i przywiązania zajęły pierwsze chwile powrotu. — Gdy się wszystko uspokoiło, i zaczęło przypatrywać się pilniej sobie, zwróciły się wszy-

stkie spojrzenia i myśli ku Ewie. Wdzięki jej były teraz w najwyższym rozkwicie, uroczę jakieś życie widać było w jej oku, w postępowaniu, poruszeniach, czego przedtem wcale nie spostrzegano. Ubior jej modny, układ wdzięczny, lekkość nadobna zdradzająca obcowanie w wyższym towarzystwie stolicy, — wszystko to wywierało jakby moc czarodziejską na przyjaciół, a przedewszystkiem zachwycało Gabryelę, wodzącą wzrokiem za powabną siostrą. Bergstrem ulżył sobie wykrzykiem w kuchni: „Panna Ewa przecudna!” J nigdy tak nie zgodziła się z nim jasnowłosa Ulla, — jak teraz.

Eleonora była jedyną, która w krótkie spoglądała na Ewę wprawdzie tkliwie ale trochę niespokojnym okiem. Coś tak światowego spostrzegła w powierzchowności i w całej istocie Ewy, iż się domyśliła, że jakaś zmiana wielka i niekoniecznie szczęśliwa zaszła u lubej siostry. — J wnet się okazało, że Eleonora miała słuszność. —

Dopiero kilka godzin przebyła Ewa w rodzinnym gronie, a już można było poznać, że dla niej rodzice, rodzeństwo, przyjaciele, nie byli tém, czém pierwój. Ktoś inny zajmował równocześnie jej duszę, wszystkie uczucia; tym przedmiotem był major R. — Jego piękność, świetne zdolności, przyjemność, jego miłość dla niej, towarzystwa w których go widziała, zabawy — na których z nim tańczyła, wypadki, w których on udział brał, cały romantyczny rozwój ich stosunku były

to obrazy jedynie żyjące w jej sercu i wyobraźni rozbudzonej ziemskim szczęściem.

Wzrok surowy ojca przy wspomnieniu majora R. wstrzymywał ją od powtórzenia tego imienia w jego obecności, zaraz pierwszego wieczora. Ale zostawszy później tylko z siostrami, gdy nadeszła chwila zwierzeń, trwająca w takim razie od wieczora do ranka, wypowiedziała Ewa wszystko co miała na sercu. Opowiadała siostrom swój romans, jak wystąpiło kilku współzawodników, a major R. był bochaterem. Nie bez próżności oraz wystawiała Ewa siebie siostrom jako jedyną bochatkę odbierającą hołdy i pokonywającą wszystkie współzawodniczki. Umysł jej tak był zajęty temi zdarzeniami, a serce tak przepełnione, że nie zważała pomieszczenia siostr w czasie opowiadania swego, ani ich niespokojności, ani uśmiechów przymuszonych i oczu w dół spuszczonej. Aż gdy Ewa z obliczem rozjaśnionem powierzyła siostrom, że major wkrótce przybędzie do miasta, gdzie ma krewnych, przepędzi u nich święta Bożego narodzenia, a potem prosić będzie rodziców o jej rękę, wtedy dopiero spadła jej z oczu zasłona. Ludwika mówiła przeciw majorowi, dziwiła się i żaliła, jak Ewa może myśleć o takim człowieku. Czegoś podobnego nie spodziewała się Ewa po siostrach. Obrażona, z zapalem broniła majora, powstając na nietolerancję i przesady. Niechcąc Ludwika posu-

nęła się jeszcze dalej, Gabryela zaczęła płakać, Ludwika przyłączyła się do niej, uważając Ewę za zgubioną. Eleonora była spokojniejszą, nie mówiła nie takiego, co by obrażało uczucie Ewy, ale ciężko wdychała, spoglądając troskliwie na drogą zbłąkaną siostrę. Spostrzegłszy jak tragiczny obrót wzięła rozmowa, odezwała się z wyrazem, jej tylko właściwym cichej serdeczności.

Nie mówmy już o tem! Nie psujmy dzisiejszej radości. Zatrzymamy Ewę w domu, będziemy nieraz z sobą mówić i rozważać, wszystko się wyjaśni i ułoży. Nie lepiejże pójść spać teraz? Ewa po podróży pewnie znużona, a nasze bławatki nie powinny płakać zaraz pierwszego wieczora.

Przyjęto radę Eleonory. Po wzajemnych przeprosinach uściślały się Ludwika, Ewa i Gabryela i rozeszły się. Eleonora rada była, że sama została z Ewą, i słuchała cicho i z współczuciem jej opowiadań przez całą noc. Dobra Eleonora! Majora Wiktora R. znano powszechnie jako człowieka igrającego sercami kobiecemi, a radca sądził taką lekkomyślność z surowością rzadką u mężczyzn, zwłaszcza jeżeli, jak u tego człowieka, lekkomyślność przechodziła miarę, stawała się samolubstwem i niegodziwością. Przed dziesięcią laty major R. ożenił się był z młodą, bogatą kobietą należącą do rodziny Franka. Jedynym błędem szesnastoletniej małżonki była miłość za nadto serdeczna dla męża,

który odpłacał jój surowością niepochamowaną, taką niewiernością, że biedna, młoda Amelia, zgnębiona i znękana, umarła ze smutku po jednoroczném pożyciu, zapisywawszy cały swój majątek niegodnemu małżonkowi, który używając go swobodnie, prowadził życie wystawne i płoche. Hołdował pięknościom dniowym, kilka razy był zaręczony, ale zawsze wkrótce zrywał, bez żadnego względu na sławę i serce dziewczę skrzywdzonej srodzetym sposobem, szukając nawet chluby w czynieniu takich ofiar i zakrwawieniu sere, bo to dogadzało jego miłości własnej. Świetne jego powierzchnowe przymioty pokrywały te postęпки, ale lepsi z pomiędzy mężczyzn i kobiet nie poważali go, mając go za człowieka bez wszelkiej wartości. Myśl o połączeniu się takiego człowieka z ukochaną jego córką, wzbudziła burzę w piersi radcy.

O tém wszystkiem dowiedziała się Ewa po przybyciu w dom rodzinny. Każdy był tu przeciwnemu uprzedzony. Cokolwiek mówiła Ewa na jego uniewinnienie nie robiło żadnego wrażenia; gdy zapewniała o głębokiem jego i wiecznem przywiązaniu do siebie, nikt nie wierzył; a jójwłasną miłością, upiększającą jój życie, rodzącą najmiłsze uczucia w jój sercu, otwierającą jój całe niebo szczęścia — smucono się, płakano nad nią, uważając to za nieszczęście, za upadek.

Zraniona w duszy Ewa oddalała się od rodziny,

posądzając ją o niesprawiedliwość. Ludwika jedna może zasłużyła na takie wyrzuty, ale Eleonora była czystą jak anioł Boży, tylko zasmucona miłością Ewy i dla tego serce Ewy zamknęło się dla niej. Poróżnienie to Ewy z rodziną, wzrosło jeszcze za przybyciem majora R., w krótkce jakoś po przyjeździe Ewy do miasta.

Był to wysoki, przystojny mężczyzna trzydziestoletni, dumny ale lekkomyślniej postawy i zachowania, oblicze jego wesołe i rozjaśnione, oko czyste i bystre, znajomość głęboka ludzi, lekkość nieprześcigniona i pewność siebie nadawały zachowaniu się jego i rozmowie ową przewagę jaką zwykle przymioty takie osiąągają w życiu towarzyskiem.

Przy pierwszych odwiedzinach w domu Franka spojrzawszy wzajemnie na siebie, radca i major poznali że się lubić nie mogą. Ale major nie dał tego poznać po sobie, był swobodny i wesoły, rozmawiał najwięcej z Elizą, a prawie nie z Ewą, chociaż często patrzył na nią.

Po wymuszonych przymilaniach i ukłonach udał się radca na powrót do swego gabinetu. Widok tego człowieka był mu ciężarem; Eleonora przyjęła majora grzecznie, prawie przyjaźnie. Tak chętnie byłaby lubiła tego, którego Ewa kochała. Asesor Munter był także obecny, ale po chwili przypatrzywszy się wejrzeniom majora i odkrywszy ich wpływ czarodziejski na Ewę, w której oku całą

miłość jęj wyczytał, odszedł cicho i prędko. Major nie często przychodził w dom radcy, którego wzrok zdał się go odtrącać, ale tak umiał sobie radzić, że prawie codziennie widział Ewę za domem. Spotykał ją, gdy się przechadzała, towarzyszył jęj z kościoła, zaprosiny przychodziły, układano jazdę sankami, zabawy, a Ewa która przedtęm prawie zawsze była w domu przekładając wieczory na łonie rodziny spędzone, nad zabawy w wielkim świecie, Ewa nie znajdowała już przyjemności w domu, zdawała się żyć w tych tylko towarzystwach, gdzie major R. błyszczał, i gdzie jęj hołdy składał. Lecz właśnie dla tego inni członkowie rodziny wychodzili z domu bardzo rzadko, Zresztą niespreciwiono się życzeniom Ewy, Eleonora pomagała jęj szczerze we wszystkiem, radca był niespokojny matka pośredniczką, Ewa zaś we wszystkiem co się tyczyło jęj miłości tak była tkliwą i drażliwą że najmniejszy opór jęj chęciom sprowadzał płacz spazmatyczny. Coraz pewniej przekonywano się, że wyłącznie i gwałtownie kocha majora. Widok jego, chód i głos wstrząsały całą jęj istotę. Wszystkie, dawniejsze tklive stosunki straciły wpływ na jęj serce. Zdarza się częstokroć, że człowiek bądź z fizycznych, bądź z moralnych powodów nagle się zmienia. Drażliwość, gwałtowność, niewyrozumiałość, występują naraz w charakterze przedtęm łagodnym, niby za nderzeniem różeczki czarnoksiężkiej, przemienia się

postać piękna w poczwarę. W takim razie przyjaźń czasem nie ostyga i niezmienia się; lecz potrzeba wiele dobroci i przenikliwości w człowieku, by wytrwał w miłości i wierze, by z ufnością oczekiwał godziny, w której zniknie zakłęcie czarodziejskie, kiedy zmieniony powróci do stanu dawnego; tymczasem upominać go może tylko prośbą tkliwą, łagodnym wzrokiem i staranną pieczołowitością. Inaczej nie powróciłby nigdy. Mówią wiele przenikliwości, gdyż w sercu przyjaciela tkwi prawdziwy obraz ukochanej osoby, pomimo chwilowych okoliczności i jęj własnego nawet oporu.

Prawdziwy przyjaciel wierzy w ten obraz, kocha go, żyje dlań mówiąc: „Wytrwanie, cierpliwości tylko; a to przeminie, on (albo ona) powróci.“ Kto posiada takiego przyjaciela, ten powróci.

W takim położeniu znajdowała się Eleonora i jęj siostra.

W tymże czasie polepszyło się Henrykowi; z dawało się, że mu powróciła dawna wesołość, która zatarła w rodzinie przeszłe nie miłe wrażenia. Częściej niż przedtęm wychodził w towarzystwie rodziny, uważając pilnie na siostrę i majora.

W krótce oświadczył się major R., prosząc o rękę Ewy. Rodzice jęj przygotowali się na ten wypadek. Nie chcieli stanowczem odmówieniem dziecię swe unieszczęśliwić, lecz postanowili zażądać od niej i od majora roku próby, w którym nie mieli

się widywać, ani pisywać do siebie. Dopiero po upływie tego czasu, miała nastąpić ostateczna odpowiedź, o ile życzyć sobie jeszcze tego będą oboje.

Eliza nabierająca coraz silniejszego wpływu na męża przy dopełnianiu ściśle i dokładnem powinności swoich, skłoniła go do takiego postanowienia, starając się natchnąć go nadzieją, którą sama żywiła, że Ewa w przeciągu czasu tego przekona się o niegodności majora i zastosuje się do woli rodziców, pokona miłość, którą dziś czuje, albo że major miłościąku Ewy uszlachetniony, i stały, stanie się jej godnym. To było przecież jedną z najulubieńszych zasad radcy, że człowiek zawsze się może poprawić i chętnie przyznał, że miłość cnotliwa jest do tego najskuteczniejszym środkiem.

Łagodnie ale stanowczo mówił z córką, wyjaśniając jej cały stosunek, nie ukrywając jak bolesnym byłby dla niego ten związek i odwołał się w końcu do jej rozsądku, czy wiele wymagano od niej, żądając tylko roku zwłoki próby. Ewa gorzko płakała, ale wzruszona dobrocią rodziców, przystała na ich życzenia, przyrzekając choć z boleścią, że dopełni ich woli.

Majorowi zaś odpisał radca list otwarty i szlachetny, lecz wcale nie słodki, wymagając, żeby on jako mąż honoru, żadnym sposobem nie skłaniał Ewę do złamania przyrzeczenia danego rodzicom, gdyż w takim razie zerwałby stosunek przyjazny z jej

rodziną. Po przeczytaniu Ewie listu, który ją kosztował wiele łez, gdyż nadaremnie starała się uprosić ojca, by zmienił niektóre wyrazy, podług niej zbyt surowe, a które radcy za łagodne się wydawały, wysłano list jeszcze tego samego dnia i wszystko uspokoiło się.

Ewa uległa by była spokojnie woli ojca, ułatwiającego jej wszelkim sposobem wykonanie tejże, gdyby nie liścik przysłany wieczorem drugiego dnia od majora, który całą duszę Ewy wzburzył i inaczej nastroił. Major uskarżał się na niesprawiedliwość, niesłusznosc i okrucienstwo jej ojca, opisując w namiętnych wyrazach swą miłość, nieskończone cierpienia, rozpacz i t. d.

Po przeczytaniu tego listu Ewa zachorowała nie tak ciałem jak duszą i pragnęła z asesorem pomówić. Przyjaciół i lekarz domu przyszedł do niej natychmiast.

„Czy sprzyjasz mi pan?“ zapytała go Ewa zaraz po wejściu.

„Czy pani sprzyjam“ odpowiedział spoglądając na nią wzrokiem, który serce w inném usposobieniu będące mógł by rozpalić. —

„Jeżeli mi pan sprzyjasz, jeżeli nie mam zachorować na prawdę, ciągnęła dalej, mówiąc gwałtownie i szybko „to pan musisz doręczyć list ten majorowi i przynieść mi odpowiedź. Ojciec mój i wszyscy do niego uprzedzeni, nikt go tak niezna jak ja! Jestem pra

wie obłąkaną i wpadłabym w rozpacz; gdybyś pan nie zlitował się nademną, Ale pan musisz mi pomóc potajemnie... Nie chcesz pan? Jeżeli mi pan sprzyjasz weźmiesz ten list i..."

„Wszystkiego pani żądam odemnie — tylko nie tego, muszę odmówić, dlatego właśnie że pani sprzyjam. Zaprawdę człowiek ten nie godny pani, nie jest godny.

„Ani słowa na niego! Lepiej go znam, niż wy wszyscy. — Ja go tylko znam, wy wszyscy jesteście wrogami szczęścia naszego. Jeszcze raz proszę pana, ze łzami proszę! Czyż coś tak wielkiego wymagam? Dobroczynco mój, mój przyjacielu, czyż nie wysłuchasz prośby?“

„Dozwolisz mi pani, rozmówić się z ojcem?“

„O tem? Nie, nie — niepodobna!“

„Muszę więc odmówić pani! Wielce mię to boli, ale w tej sprawie nie chcę rąk plamić i dopomagać do nieszczęścia. Żegnam panią.“

„Zatrzymaj się pan! Wysłuchaj mię pan przecież — czego się obawiasz pan dla mnie?“

„Wszystkiego od człowieka takiego jak R.“

„Jego nieznasz i mnie.“

„I jego znam i panią, dlatego też chętniej skończyłbym w ogień, niż z listem od pani do niego“ To jest ostatnie słowo moje.

„Nie chcesz pan. Nie sprzyjasz mi pan, o! nie mam już przyjaciela.“

Ewo — Ewo, nie mów tak pani. Grzeszysz! Pani nie wiesz.... wszystkiego żądam odemnie, a nawet życia.

„O, przez panią straciło ono dla mnie wszelką cenę, żądam pani...“

„Słowa czcze“ przerwała Ewa i odwróciła się. „niczego już nie żądam od pana, panie asesorze! Przebac mi pan, żem go trudziła.“

Asesor spoglądał na nią przez chwilę spokojnie, położywszy chyżo rękę na piersi po lewej stronie, jakby tam ból uczuł — odszedł więc jeszcze zasmucony, niż zwykle.

Niespodzianie przykre stosunki Ewy z rodziną głębszemi się stały. Ewa uspokoiła się. Major R. pojechał do znajomego na wieś, niedaleko miasta, na święta Bożego Narodzenia. Tego samego dnia weszła Ewa do biblioteki na herbatę, przepędzwszy dni kilka w swoim pokoju. Radca wyszedł na przeciw niej z roztwartemi rękami, uściskał ją, posadził pieszcząc na sofie obok matki, przyniósł jej sam herbatę — nawet kochanek nie mógłby więcej być uprzedzającym. Ewa widocznie nie była obojętną na takie dowody miłości, ale nie przyjmowała ich z radością. Rumieniec występował na jej twarzy, to znowu bladłość i zdawało się nieraz, że łza zabłyśnie w jej oku, łza żalu i wyrzutu sumienia.

Od tego czasu powracała zwolna dawna serdeczność, dawny spokój w rodzinie. O majorze nikt

nie wspominał i jak za wiosny powrotem, trawa się zieleni, liść się rozwija, chociaż niebo pochmurne i wiatr północny jeszcze nieraz zawiewa, tak w domu Franka powstawały wrażenia słodkie i jasne godziny, nieświadomie wywołane powrotem milszego stosunku w rodzinie. Warto było widzieć matkę! Jak się krzątała, niby serce domu, jak brała udział we wszystkim, jak wszystkim przysposabiała przyjemności i uciechy, jak kręciła się po domu, łagodna i pocieszająca i radość niosąca. Zdawała się tchnąć słodyczą i miłością. A przecież w duszy nie była wcale spokojną, do troski o córkę przyłączył się niepokój o przyszłość i szczęście Henryka. Życzenia jego, uczucia i myśli znała lepiej niż inni; dlatego spojrzenia ich szukały się często w tkliwym porozumieniu, dlatego bladła i trwożyła się za przyjściem poczty z Sztokholmu i nadejściem godziny pocztowej. Poczta przywieść mogła dla Henryka ważne wiadomości.

„Elizo kochana!“ mówił radca z tkliwą wymówką. „Po co ten niepokój, nierozsądna troska. Przyznaję, że wszystkich nas uczęszliwiliby i ucieszyło, gdyby Henryk otrzymał posadę o którą się stara; jeżeli zaś ję nie otrzyma, jeszcze nie niema straconego, osiągnie później inną. On młody, może jak wiele innych, zaczekać. Jeżeli poezye Henryka nie zostaną uznane za wzorowe, jeżeli nie otrzymają nagrody, to jeszcze w imię Boże, nie ma czego boleć, chociaż nie będzie szczęśliwym

poetą, to stanie się może za to tym praktyczniejszym człowiekiem. Nie bardzo bym się tém martwił, przyznam się. Wolałbym posłać posadę i wiersze gdzie pieprz rośnie, niż żebyś ty bladła i chorowała na nerwy. Przyrzeknij mi, że w najbliższym dniu pocztowym będziesz spokojną i nie będziesz wyglądać jak księżyc zachodzący, bo inaczej rozgniewam się i zatrzymam u siebie wszystkie listy.“

Do dzieci zaś rzekł ojciec: „Czyż nie macie rozumu; aby coś wynaleść czemuż można zatrudnić i rozerwać matkę w nieszczęśliwych dniach pocztowych? Henryku! od ciebie zależy, żeby była spokojną. Jeżeli ję nie przekonasz, że cokolwiek spotka cię w świecie, zniesiesz jako mąż, to powiem, że nie zasługujesz na miłość moją.“

Henryk zarumienił się, a radca mówił dalej: „A ciebie Gabryelo, nie nazwę już nigdy moją dowcipną córeczką, jeżeli nie przygotujesz zagadki na poranek pocztowy któraby matkę tak zajęła, żeby o wszystkim zapomniała.“

Następny ranek pocztowy nadzwyczaj był ożywiony. Henryk nie prowadził nigdy ciekawszej rozmowy, nigdy więcej nie wciągnęli młodzi matkę w swoje rozprawy. Przy nadejściu godziny pocztowej, matka była zajęta rozwiązaniem zagadki. podanej sobie przez Gabryelę, usiłującą wraz z Henrykiem swemi pomysłami i żartami zagadkę jeszcze bardziej zawikłać, pod pozorem pomagania matce do ję rozwiązania. Zagadka była następująca:

Od trosk i kłótni,
Szybko uciekam.
Z burzą i biedą
Spółki się zrzekam.

W zimnym sercu
Stygnę i ginę,
W ognistych upałach
Prędko przemienę.

Zamki i rygle
Nie wstrzymają mię,
Gdzie wolność kwitnie
Tam chętnie lgnę.

Poranek mój graniczy
Z dniem mądrości;
Lecz najchętniej spieszę
Na przeciw miłości.

Z piękną niewiastą
Nieraz się łączę
Z dziećmi igrania
Nigdy nie kończę.

Chociaż wzrokowi
Czasem się kryję;
Przecież z dobrymi
Chętnie ja żyję.

Chociaż w poranku
Zniszczysz mnie.
Zrosą wieczorną
Powitam cię.

Chociaż zagadka ta nie należała wcale do najlepszych utworów Gabryeli, przecież bawiono się nią z zajęciem, a Henryk najdziwaczniejsze podawał rozwiązania. Lecz matka nie dała się zabałamucić i zawołała starając się wesołe dzieci przekrzyczyć, że znaczeniem zagadki jest.

SZCZĘŚCIE.

„Szczęście!“ powtórzył radca wchodząc z listami i dziennikami „jak widzę wróżyć umiecie. Gabryelo, dziecię moje wynagrodzę cię przeczytaj to matce!“ I położył przed nią dziennik.

Gabryela go wzięła, ale przerzuciła szybko wszystkie kolumny dziennika, poskoczyła, klasnęła w ręce i zawołała; „Poezyę Henryka otrzymały pierwszą nagrodę!“

„I do Henryka, dodał radca, są listy; jesteś nominowany....“ Mowę radcy zagłuszyły okrzyki radośnie. Henryk był w objęciach matki, otoczony siostrami cieszącymi się ze łzami w oczach. Radca przechodził się po pokoju szerokimi krokami, narreszczie stanął przed uszczęśliwionym gronem i rzekł; „Uspokójcie się! Dozwólcie i mnie wzięść udział. Elizo dzięki tobie, żeś mnie nim obdarzyła, a ty synu przybliź się, powiem ci....“ lecz mu nie powiedział; oniemiony z rozruszenia uściskał ojciec syna i odwzajemnił podobnie córkom ich serdeczne pieszczoty. Przybyło zarazem wiele listów

z Sztokholmu zawierających pochlebne wyrazy, radośne powinszowania dla młodego wieszca. Młodzi przyjaciele Henryka tryumfowali.

Prawie zanadto było naraz tego szczęścia. W pierwszej chwili po otrzymanych wiadomościach, radość była cicha, rozczulenie przemagało, ale wkrótce wybuchła na wsze strony jak iskry. Wszyscy zapragnęli uczcić uroczystie dzień ten i jego bochatera, i gdy gospodarz był zajęty przyrządzaniem ponczu, (wszyscy mieli pić zdrowie Henryka) drudzy układali plany podróży do Sztokholmu. Cała rodzina chciała być z nim w tym dniu świetnym. Ewa wróciła prawie do dawnego ożywienia, opisując podobną uroczystość, której była świadkiem w akademii Szwedzkiej: Henryk rozprawiał szeroko o Sztokholmie, pragnął pokazać matce i siostrom piękną stolicę. Mieli obaczyć galeryę, być na teatrze, widzieć i słyszeć śliczną pannę H., zachwycającą Jenny L. obejrzeć potem zamek, miejsca przechadzki, widoki, świątynie, piękne posągi na placach publicznych, jeden z nich chciał Henryk obalić—tyle było pięknego i przyjemnego do widzenia w Sztokholmie.

Matka zgodziła się chętnie na zamiar podróży. Ojciec wszystkiemu potakiwał. Oblicze wszystkich jaśniało radością.

Napój ponczowy wonił szczęściem.

Młody baron L. kochający bardzo Henryka, a

więcej jeszcze lubiący wszystkie hałasy weselne, szalał z radości i pustoty, obchodząc dzień ten, ze wszystkimi tańczył. Ludwika nie mogła mu się oprzeć, mała panienka musiała dozwolić ze sobą hulać, w rzeczy samej zaś tak była chciwą tańca jak i on; nawet radca musiał się z nim kręcić; w końcu tańczył z stołkami i stołami, a gorącość ponczu przyczyniała się wiele do podniesienia jego zapалу.

Przykro było radcy, że właśnie dnia tego miał dom opuścić, ale ważne sprawy przymusiły go do odjechania tego samego wieczora, a nie mógł powrócić prędzej jak za trzy lub cztery dni. Chociaż zostawiał rodzinę w dobrém zdrowiu i wesołości, przecież trudniej mu było rozłączyć się z nią teraz niż kiedykolwiek. Pożegnawszy się już, wrócił jeszcze raz—co się rzadko zdarzało—uściskał powtórnie żonę, okręcił się w wileczurze z córkami niby wesoło, odszedł chyżo i potrafił dość silnie barona L., gdyż ten w niepohamowanej pustocie jak pies, zębami porwał za jego wilezurę. Gdy jeszcze ze sanek rzucił wzrokiem na okna biblioteki, żegnając ręką żonę i córki, obaczyły zdziwione że miał lzy w oczach.—

Ale obecna radość, świetne nadzieje przyszłości zajęły umysły pozostałych. Wieczór zeszedł wśród uciech i wesołości, baron L. spał poncz z domownikami, aż mu się jak wszystkim głowa zawróciła,

a napomnienia Ludwiki były jak na ogień próżno wylane krople wody,

Radość Henryka była szlachetną. Rozpromieniony wyraz jego ożywionej, pięknej twarzy przypominał Apollina.

„Gdzież się podziały smutne twe przeczucia“ szepnęła Eleonora, „wyglądasz mi teraz, jakbyś nawet Sternheka chętnie uściskał.“

„Cały świat, odpowiedział Henryk przyciskając siostrę do piersi, „tak jestem szczęśliwy.“

A przecież był ktoś w domu, szczęśliwszy niż Henryk.... jego matka. Patrząc w piękne rozjaśnione oblicze syna, myśląc czém jest, a czém być może, o laurach mających ozdobić ulubione skronie, o świetnej przyszłości oczekującej jej dziecie ukochane, serce jej biło najwyższą rozkoszą macierzyńską, przepełniała je niewymowna błogość i szczęśliwość, która tak była wielką, że prawie z trwogą graniczyła, gdyż zdawała się za wielką na tę ziemię.

A przecież—mówimy to z radością wdzięcznością—ziemia może znieść wiele nadziemskiej szczęśliwości nie psując jej i nie płosząc. W cichości, w skrytości zakwita szczęście takie, dla tego świat mało wie o niem, nie wierzy w nie. Lecz dzięki Bogu ono istnieje po wszystkie wieki u wszystkich narodów; czém się cieszymy razem ze szczęśliwymi. W rzeczywistości rzadziej niż wksiążkach, że bywa po wielkiem szczęściu następuje zaraz.

NIESZCZĘŚCIE.

Po wesołym wieczorze nastąpiła noc, a członkowie rodziny Franka spali już snem twardym, gdy nagle o północy obudził ich krzyk „Ogień, Ogień! Dom gorzał, dym i płomienie były na wszystkie strony, gdyż pożar rozszerzał się niesłychaną szybkością. Zamieszanie wielkie nastąpiło, matka wołała na dzieci, domownicy i słudzy jedni na drugich. Wpół odziani nie mogąc nic ocalić, zgromadzili się mieszkańcy domu, w miejscu przed domem, dokąd mnóstwo ludzi przybyło, poczynając gasić ogień podczas, gdy dzwony na wieży gwałtownie były, a bębny głucho się odzywały po ulicach miasta. Henryk uniósł ze sobą młodego L. który oniebiał z przestachu i był ciężko ranny. Dzikiem obląkanem okiem spojrzała matka na rodzinę, nagle wykrzyknęła: „Gabryela!“, i rzuciła się z przenikliwym krzykiem w płomienie. Wnet obstępiono córki, wstrzymując je przemocą, żeby za matką nie poszły, tylko dwaj mężowie przedarli się przez tłum, pospieszając prędko za nią. Jeden z nich był piękny, teraz daleko piękniejszy,—syn—drugi—podobny do cyklopa jak ich sztuka wystawia w podziemnych kuźniach, miał jednak dwoje ocz błyskających ogniem, jakby wyzywającym do walki płomienie. Obadwa zniknęli wdymie. W tej chwili wszystko ucichło. Bęben zamilkł, lud za ledwie od-

dychał, córki wyciągały ręce w milczeniu, a dzwon uderzał głucho podczas daremnego deszczu sika-
wek, gdyż pożar rozszerzał się coraz dalej. Nagle
ozwał się krzyk wśród tłumu, serce każde biło ra-
dśnie, gdyż matkę wyniósł syn na rękę splomieni
wyciągających za nim syczące języki, i—znowu
wzniósł się okrzyk radości, cyklop czyli assessor
ukazał się w oknie piętrowém, a w kłębach dymu
bieliła się postać, którą przyciskał do piersi. Prę-
d-ko przystawiono drabinę i wnet Jeremiasz Munter
okopcony i osmolony, ale szczęśliwy złożył omdlałą,
lecz ocaloną Gabryelę u stóp matki i sióstr. Powró-
cił potem do pożaru z Henrykiem, i udało się im
ocalić jeszcze biórko z bardzo ważnemi papierami
radcy. Kilka oraz drobnostek uratowano. Ito było
wszystko. Dom był drewniany i spalił się na po-
piół pomimo wszelkiej usilności, ugaszenia pożaru,
a ponieważ dom stał na osobności, więc tylko sam
zniszczał, nie przynosząc szkody innym zabudo-
waniom.

Henryk powróciwszy znużony, zastał rodzinę
umieszczoną w szczupłym mieszkaniu asesora
położonem w rynku, a Jeremiasz zdawał się pomno-
żać w dziesięć osób, żeby zaspokoić wszelkie po-
trzeby gości. Starej jego gospodyni zawrócił głowę
przestraszonych gości w ubogim domu pana. Lecz ten
umiał sobie poradzić, gotował kawę, słał posłania
i zdawał się całkiem zapominać że sam ucierpiał

niemal przy pożarze. Śmiał się sam z siebie ocierając
z oka łzę mimowolną nad nieszczęściem przyjaciół.
Z wszelką usilnością pielęgnował wszystkich. Ludwi-
ka i Eleonora pomagały mu z spokojną mocą duszy.

„Czy się nie ustatkujesz imbryczku; nie przesta-
niesz wybiegać; przecież dla pań gotujesz teraz
kawę!“ krzyczał assessor. „Oto panno Eleonoro kro-
ple dla mamy i dla Ewy; siostró Ludwiko, bądź
dobrą i pomóż mi w mojem zatrudnieniu, a panicz“
odezwał się do Henryka, spojrzawszy nań bystro
i biorąc go szybko za rękę „paniczu chodź ze mną
muszę się tobą cokolwiek zatrudnić.“ I rzeczywi-
ście nie było ani chwili do stracenia. Wzburzenie
krwi przypawiło Henryka o niebezpieczeństwo
życia. Assessor zdjął prędko z niego suknie i puścił
mu krew, w chwili gdy przytomność stracił.

„Tak być słabym“ wyrzekł assessor niby gniewnie
gdy Henryk przyszedł do siebie „jak można być
tak słabym jeżeli się jest dość odważnym! Teraz
już minęło niebezpieczeństwo. Śmierć igrała z na-
mi téj nocy, lecz przemogliśmy ją. Teraz udajmy
się do pań i służmy jako grzeczni rycerze. Ale
pierwój muszę się umyć, żebym nie wyglądał, jak
rycerz smutnego oblicza!“

VI.

SKUTKI.

Słońce poranne oświecało jasno, śniegiem pokryte błyszczące dachy domów w około rynku, barwiąc najpiękniejszymi kolorami złocisto błękitnymi chmury dymu, wznosące się powoli nad zwaliskami pogorzeliska, w popiele przypruszonym śniegiem grzebały wróble, świegocąc radośnie.

Matka i córki spoglądały łzawem okiem na to miejsce, gdzie przedtem wznosił się dom ich miły i ładny, lecz żadna niepoddawała się smutkowi. Ewa wprawdzie płakała bardzo? lecz z innego, ukrytego żalu. Wiedziała że major R. przepędził noc wmieście, a przecież nie widziała go!

Zrana ożywiło się pomieszkane assessora, dokąd wiele ludzi się zeszło. Przybyły zaprosiny ofiarujące Frankom dom i ognisko, panienki poprzychodziły z sukniami, słudzy z państwem swém na ich usługi. Przysłano im ładne naczynia, piekarz przyniósł kosz z chlebem i bułkami, piwowar przysłał piwa; inni wina. Była to jedna z pięknych scen życia towarzyskiego, dowodząca jak poważali kochali wszyscy rodzinę Franków.

Pani Gunilla przybyła dobra, gorliwa, gotowa walczyć z każdym, ktoby poważał się opierać jéj

zyczeniu zabrania z sobą przyjaciółek do powozu i do domu przygotowanego już dla nich. Asesor nie sprzeciwiał się temu, lecz z milczeniem przypatrywał się odjazdowi spoglądając ze łzą w oku na powóz oddalający Elwę. Wszystko w koło niego znowu opustoszało i uciekło.

Tego samego dnia wieczorem był już ojciec rodziny w kole swoich, przyciskając ich ze łzami radości;—gdyż wszyscy byli ocaleni. W kilka dni napisał radca do jednego z przyjaciół.

Pierwój przed tym wypadkiem nieszczęsnym, nie wiedziałem jakie skarby posiadam w mojej żonie i dzieciach, nie wiedziałem że mam tyle przyjaciół i dobrych sąsiadów. Dziękuję Bogu, który mnie obdarował taką małżonką, takimi dziećmi i przyjaciółmi. Dzięki ostatnim, wszystkie potrzeby mojej rodziny zaspokojone, a nawet więcej niż to! Na wiosnę odbuduję dom na dawném miejscu. Jakim sposobem pożar wybuchł niewiem i nie dochodzę tego. Nieszczęście wydarzyło się dając naukę na przyszłość. To dosyć. Dom mój tylko w ziemskim mieniu poniósł uszczerbek, nie zubożał w miłość, którą wszystko łatwo znieść i uleczyć. Pan dał, Pan wziął, imię jego niech będzie pochwalone “ I rzeczywiście niedochodził radca co mogło spowodować pożar. My zaś pozwalamy sobie wypowiedzieć nasz domysł. Prawdopodobnie wybuchł on najpierw w pokoju barona L. który

będąc pijany zapewne dał mu powód, on sam jak się zdaje tak sądził; wypadek ten jak i obejście się z nim rodziny Franka, wielką korzystną sprowadził zmianę w usposobieniu i charakterze młodzieńca. W krótko potem zabrał go ojciec i pojechał z nim radzić się lekarzy w Kopenhadze, gdyż oczy młodego barona ucierpiały przy pożarze. obaczmy go znowu w późniejszej epoce naszej powieści.

Córki zajęły się seryo zamiarem dawniej już powziętym szukania sobie niezależnego sposobu utrzymania, a w obecnej chwili usiływały ulżyć troskom rodziców i niebyć nikomu ciężarem.

Ewa pragnęła przyjąć zaprosiny na wieś w pobliżu miejsca, gdzie major R. przebywał. W Akseholmie otworzyły się dla rodziny Franka serca, ramiona, skrzydła opiekuńcze, corps de logis. Nie brakło na miejscach do przesiedlenia się, ale radca prosił swoich, żeby na jakiś czas zaniechali wszelkiej myśli wydalenia się z domu., „Za kilka miesięcy“ mówił, może na wiosnę, uczynicie co się wam podoba, ale teraz zostanmy razem. Pragnę widzieć was około siebie, żebym był przekonany; że wszystkich was mam. Nie mogę znieść myśli, żeby mi teraz którego z was brakło.“—

A przecież myśl ta mimowolnie musiała się mu nasuwać. Od czasu pożaru Henryk był słaby, nieustanne bicie serca opanowało go i nieopuściło od

owej nocy. Do tego cierpienia przyłączyły się napady kaszlu i kureczów, raczej wzmagające się niż ustające, mimo wszelkich zaradczych środków. Tem bardziej teraz niepokoiło to radcę, że syna więcej kochał i cenił niż przedtem. Przed pożarem nie można było nazwać stosunek ojca z synem bardzo serdecznym.

Pięknie mówi wyznawca Islamu, że gdy anioł śmierci zbliża się do człowieka, pierwój cień skrzydeł jego nań pada. Już w początkach słabości Henryka padł na duszę jego cień smutku, i wzmagał się wraz z chorobą.

Młodzianowi obdarzonemu wszystkiem co upiększa życie, wstępującemu w zawód ozdobiony warzynnami i różami miłości, nie łatwo było odwrócić się od takiej przyszłości a słuchać słów, które mu szeptało dniem i nocą serce mocno bijące: „Wstępujesz do grobu! Prędkiej biec gwałtownie nie przestanę, aż otworzą się jego podwoje!“ Lecz dla umysłu jaki Henryk posiadał nie jest odległą droga ciemności od światła. W duszy jego spoczywało to, co u jednego wieszca mówi człowiek do Pana życia i śmierci:

„Gdy w wyroku Twym zrozumiemy pismo Twe,
Pokornie przed niem głowy nasze chylą się.“

Dnia pewnego Henryk rozmawiał długo z asesorem, swym lekarzem biegłym i troskliwym. Gdy

tenże od niego wyszedł miał łzy w oczach. Henryk zaś powróciwszy do swoich był bledszy niż zwykle, lecz całą jego istotę oblewał łagodny, uroczysty spokój. Od téj godziny zmienił się całkiem; stał się łagodny, spokojny, a nawet weselszy i miłszy niż przedtém. Oczy jego zdobił wyraz nieopisanéj jasności i piękności. Cień zniknął z duszy jego.

Ale cień ów padł na tę, która już od początku słabości Henryka nie była podobną do siebie — na jego matkę. Wprawdzie rozmawiała, poruszała się i była czynną jak dawniej, ale bolesna trwoga rozdzierała jéj duszę, zdawała się być obcą życiu które ją otaczało, a każde zatrudnienie nie ściągające się do syna było jéj obojętne albo przykre, córki więc usuwały starannie wszystko co mogło jéj być niemiłym. Matka nie odstępowała prawie syna, i jeszcze nieraz wracały chwile słodkie dla rodzeństwa, mającego się rozłączyć może na długi czas.

— Choroba Henryka wzbraniała mu wszelkiego natężenia umysłu. Musiał zaniechać ulubionych nauk, ale duch jego nie mógł zasypiać, pocieszał się pijąc z młodzieńczego źródła sztuki. Najwięcej czytał poetę, który krótko żyjąc wiele ucierpiał i wyspiewał, któremu z wieńca cierniowego wyrosły najpiękniejsze wawrzyny. Stagnelius był tym poetą; Henryk ułożył muzykę do niektórych jego

pieśni, a matka śpiewała mu je podczas długich zimowych wieczorów, — wolał jéj śpiew, niż sióstr, a słuchając cieszył się siłą, uwalniającą zwycięzko poetę od pomroków i cierpień życia.

Około tego czasu spostrzeżono, że w obecności matki mówił często o pięknych stronach śmierci. Zdawało się że ją chciał pomału przygotować do prędkiego rozłączenia się i ułagodzić ciężką jéj żalność.

Eliza lubiła pierwój rozmowy takie, lubiła wszystko co ciemne strony życia rozświeca, ale teraz blade dla zwykle skoro rozmowa wzięła ten kierunek, trwoga przebijała się w jéj oczach i starała się przerwać rozmowę jak najprędzej.

Jednego wieczora rodzina była zgromadzoną w poufałym kółku, i asessor do niego należał; rozmawiano o śnie; Henryk wspomniął bardzo dawne porównanie śmierci ze snem, nie uważał że za tak trafne ze względu na stan uspienia, jak raczej ze względu na podobieństwo w ocknieniu się.

„I w czémże znajdujesz największe podobieństwo?“ zapytała Eleonora.

„W tém, że się budzimy i powstajemy z zupełną świadomością, pamięcią, stanem duszy w jakim spoczęliśmy.“

„To być może“ rzekł asessor, „lecz zkąd pewność co następuje po śmierci?“

„Objawienie daje nam pewność“ odpowiedział

Henryk z ożywionem obliczem. „Czyż potrzeba jaśniejszej nauki nad tę, którą zawiera objawienie, że podobny nam ciałem umarł, zmartwychpowstał, i po tym śnie w ciemnym grobie miał taką wolę, wiedzę i przypomnienie najdrobniejszych szczegółów życia, jak przed śmiercią. Jakżeż jasno i błogo rozświecił ten przykład ciemne podwoje grobu! Oba światy odtąd złęczone, nad niezglębioną przepaścią most stanął, podróżny może się *doń* zbliżyć bez bojaźni, a przyjaciele życzyć sobie „dobrej nocy“ z tą samą spokojnością u schyłku życia, jak u schyłku dnia.“

W téj chwili objęły go konwulsyjnie ręce matki, a głos jęj szepnął mu w ucho z rozpaczą: „Nie możesz odejść Henryku! Henryku ty mnie nie opuścisz!“ I omdlała mu na rękę.

Odtąd Henryk nie rozpoczynał przy matce rozmowy dla niej szkodliwej. Starał się ją rozweselić i uspokajać, a siostry dopomagały mu w tém wierne. Mniej niż kiedykolwiek miały teraz ochotę wychodzić z domu, bywać w towarzystwach; przecież czyniły to niekiedy, aby dogodzić życzeniu brata i móżdż potém opowiadać rzeczy bawiące jego i matkę. Najczęściej w pokoju Henryka następowały sprawozdania, nieraz przytém uśmiano się serdecznie. O! w rodzinie zgodnej smutek nie ostoi się łatwo, a jeżeli przyjdzie jednéj chwili, to w drugięj go rozproszą.

Zdawało się, że Ewa zapomniała w tym czasie o swoich troskach, stała się także jednym z kwiatów w tym wieńcu wdzięków i czułości, który się wił w koło ulubieńca rodziny; nawet radca oddalał się częściej niż zwykle od zatrudnień i łączył z kółkiem rodzinném. Żaden chory nie miał milszego otoczenia jak Henryk. On to uznawał. Tkliwszy w skutek słabości łatwo płakał i często mówił: „Jestem szczęśliwy! bardzo szczęśliwy! Co to za szczęście móżdż kochać! W tém najwyższe szczęście! To wiosna duszy! Nawet śród cierpień moich czuję się tak szczęśliwym, tak bogatym przez was!“ Przyczém brał ręce matki i sióstr przyciskając je do ust i do piersi!

Nadeszła chwila polepszenia w chorobie Henryka. Radość była ogólna w domu, Henryk zdawał się znowu wierzyć, że żyć będzie. Mógł wychodzić i oddychać świeżém powietrzem zimowém tak mu ulubioném. Radca często wychodził z nim; był to piękny widok, gdy silny, zdrowy ojciec obejmował rękoma schorzałego, wybladłego syna. Gdy droga była utrudzająca, wtenczas wzbraniając prędkiego chodu prowadził go zwolna do domu; wyraz ich oczu był nieporównany.

Wiele mówią o piękności miłości macierzyńskiej. Miłość ojcowska ma może jeszcze coś powabniejszego i tkliwszego, i sędzę, że kto miał szczęście być wychowanym przez ojca kochającego i zacne-

go, ten z żywszém i głębszém uczuciem wznosi serce do nieba wymawiając w pacierzu: „Ojczy nasz!”

Upłynęło kilka tygodni. Jedna z przyjaciółek rodziny miała wyjechać z córką do miasta, w którém była Petrea, i pragnęła bardzo wziąć ze sobą Gabryelę, zaprzyjaźnioną niezmiennie z jej Amalią. Gabryela chętnie korzystałaby zapewne z zaprosin, żeby odwiedzić siostrę ukochaną i rozpałzyć się w świecie, gdyby nie słabość Henryka, lecz teraz nie chciała żadnym sposobem rozłączyć się z nim. Henryk przeciwnie życzył sobie, żeby siostra odbyła podróż mogącą jej sprawić wiele przyjemności.

„Czyż nie widzicie“ mówił „jak Gabryela błędnie tu siedząc i patrząc na mnie? To wcale niepotrzebne, osobiście teraz, kiedy mi się polepszyło i wkrótce wyzdrowieję. Tymczasem możesz nas rozrywać listami, a powróciwszy z Petrą około świąt Wielkanocnych nie zastaniesz już brata słabego, gdyż do tego czasu wrócę całkiem do zdrowia!“ Do tych słów dołączyły się inne namowy, szczególnie młodej, żywej Amalii, w końcu dała się uprosić Gabryela. Przekonana że niebezpieczeństwo u brata minęło, odjechała z uśmiechem na ustach, ale ze łzami w oczach. Była to pierwsza wycieczka w świat naszej „małej panienki.“

O majorze R. nie słyszano wcale, a ponieważ

Ewa skryta była dla wszystkich, myślano więc że się uspokoiła i rodzina zaprzestała z wolną lękać się i troszczyć o jej przyszłość. Radca okazujący Ewie prawie wdzięczną czułość za jej postępowanie, starał się uprzedzać wszystkie jej życzenia, a nawet pozwolił na wyjazd do M. w pierwszych dniach wiosny. Spodziewał się, że o wiele prędzej opuści major to miejsce. Ale bolesne wkrótce uzyskał światło.

Podczas ciemnego wieczora w pierwszych dniach marcowych stały dwie osoby pod drzewem na cmentarzu kościoła Panny Maryi rozmawiając cicho.

„Jakże dziecinną jesteś Ewo“ mówiła jedna z nich „z twemi obawami i powątpiewaniami. Jak małoduszną jest twa miłość. Czy chcesz piękny aniele wiedzieć jak przemawia miłość prawdziwa? Posłuchaj:

Byłaby to miłość, gdyby nie przeważała
Życia i śmierci, nienawiści i zakąły;
Nie pytam więc, nie chcę byś mówiła
Czy już w twém sercu inne ognie tlały;
Kocham cię! dość mi na tém, reszta obojętna!”

„Wiktorze“, zawołała Ewa drżącym głosem — „jesli błędę to pewnie nie brakiem miłości dla ciebie. O! ja to czuję i dowodzę tego czynami, że ty mi jesteś droższy niż ojciec, matka i rodzeństwo, droższy niż wszystko na świecie. Wiem że tak być nie powinno, serce własne powstaje prze-

ciw mnie, lecz ja nie mogę oprzeć się twojej mocy.“

„Dla tego nazywam się Wiktorem, czyli zwycięzcą, aniołku! Niebo samo potwierdziło moc moją. Jestem twoim Wiktorem, kochana Ewo, nieprawdaż?“

„O tak! Aż nadto prawda!“ westchnęła Ewa. „Ale teraz, Wiktorze, miej wzgląd na moją słabość i nie żądaj widzieć mnie prędkiej, aż na wiosnę—za miesiąc wyjadę do M. Nie żądaj...“

„Nie żądaj takiego przyrzeczenia od Wiktora, Ewo! On się wiązać nie daje; — lecz ty musisz uczynić, czego twój Wiktor wymaga—inaczej nie uwierzy miłości twojej!—Cóż to? Odmówisz zrobienia tych kilku kroków aby jego oczy ucieszyły, jego serce, żeby go widzieć, słyszeć—zaprawdę, ty go nie kochasz.“

„O kocham, ubóstwiam cię! Wszystko ścierpię chętnie dla ciebie, nawet wyrzuty sumienia—ależ rodzice moi—rodzeństwo! Nie pojmujesz ile mnie to kosztuje oszukiwać ich. Oni tak dobrzy, poczciwi, a ja! Często walczy miłość dla nich z miłością ku tobie. Nie naciągaj z nadto łuku, Wiktorze! A teraz—bądź zdrow. Drogi mój, żegnam cię! Za miesiąc zobaczysz w M. Ewę twoją!“

„Zaczekaj! czyż myślisz że mnie tak opuścić możesz? Gdzie masz pierścioneń odemnie?“

„Na piersiach! W dzień i w nocy jest on tu. Bądź zdrow. O, dozwól mi odejść!“

„Powiedz mi jeszcze raz, że mnie kochasz więcej niż wszystko na świecie, że moją tylko chcesz być!“

„Twoją wiecznie! Bądź zdrow!“ To powiedziawszy Ewa odeszła bojaźliwym krokiem z cmentarza. Major postępował za nią pomału, postać jakas ciemna wystąpiła szybko, jakby z grobu powstała, i szła obok majora. Ten zadrżał i uczuł dreszcz na całym ciele, gdyż postać wzniosła a cicha, w ciemnej nocy, do tego na cmentarzu, miała w sobie coś tajemniczego, nie ziemskiego; a gdy ciągle milcząc, oczywiście z umysłu, szła obok majora, on stanął i zapytał ostro: „Kto jesteś?“

„Ojciec Ewy!“ odpowiedziano przytłumionym lecz ostrym głosem, i przy świetle błędnym, które wiatr przywiał, obaczył major smutne oczy radcy, wlepione weń groźnie i gniewliwie. Na chwilę opuściła go odwaga, ale wnet odpowiedział z właściwą sobie pyszną lekkomyślnością: „Kiedy tak, nie potrzebuję ją odprowadzać.“ I chyżo zwróciwszy się na bok, zniknął w gęstwinie.

Radca postępował za córką, nie zbliżając się do niej. Gdy powrócił do domu, tak głęboki i bolesny smutek wyrzył się na jego obliczu, jaki tam jeszcze nigdy nie powstał. Po raz pierwszy w życiu

radcy, ta głowa silna pochyliła się pod nawałem cierpienia.

W tych dniach przybył niespodzianie Sternhek do miasta. Doszła go wiadomość o nieszczęściu rodziny, o słabości Henryka i jej skutkach, chciał go raz jeszcze obaczyć przed wyjazdem za granicę. Odwiedziny te, dla których Sternhek nałożył mil przeszło dwadzieścia, były dla Henryka prawdziwą niespodzianką i głęboko wzruszyły go, a gdy Sternhek wszedł do niego, przyjął go Henryk z wyrazem szczerym serdecznego przywiązania. Sternhek pochwycił ofiarowaną rękę, lecz nagle bledłość pokryła mężką twarz jego, gdy spostrzegł zmianę jaką wywarła choroba na powierzchowności Henryka.

„Bardzo dobrze zrobiłeś, żeś przybył; dziękuję ci Sternheku!“ wyrzekł Henryk czule. „Inaczej nie ujrzałbym ciebie już na tym świecie. A przecież chciałbym trochę pomówić z tobą przed naszym ostatnim rozdziałem.“

Obaj milczeli przez chwilę.

„Cóżes mi chciał powiedzieć Henryku?“ zapytał nakoniec Sternhek dziwnie wzruszony.

„Chciałem ci podziękować“ odpowiedział Henryk, „podziękować za twoją surowość względem mnie, i powiedzieć ci, iż teraz poznaję, o ile ona była słuszną i korzystną dla mnie. Chciałem ci podziękować, gdyż przez nią stałeś się mi prawdzi-

wym przyjacielem, i jestem przekonany, żeś mi dobrze życzył. Z naszej znajomości tę tylko pamięć i przeświadczenie zabiorę z sobą opuszczając ziemię. Radbym wiedzieć, że błędy moje i niechętnie obchodzenie się z tobą nie zostawią u ciebie przykrego wrażenia; cieszyłbym się, gdybyś pamiętał przyjaźnie o mnie i po śmierci!“

Rumieniec okrył lice Sternheka, oczy jego błyszczały, i odpowiedział: „Henryku! Teraz więcej to czuję niż kiedykolwiek, jak niesłusznie postępowałem z tobą. Ostatnie wypadki otworzyły mi oczy, a teraz, Henryku, darujesz mi przyjaźń twoją? Moją masz na wieki!“

„Oto jest najpiękniejsza chwila!“ wymówił Henryk z radością. „Przez całe życie tęskniłem za nią, a teraz mam ją, właśnie gdy... Boże dzięki ci za to!“

„Czemuż z taką pewnością mówisz o śmierci twojej?“ zapytał żywo Sternhek. „Spodziewam się i jestem mocno przekonany, że kaszel twój nie zagraża ci niebezpieczeństwem. Zapytam o to najslawniejszych lekarzy za granicą. Albo jeszcze lepiej, jedź ze mną i oddaj się staraniom K. a. On słynie z umiejętnego i szczęśliwego leczenia słabości sercowych. Przystań na to, a z pewnością przyjdiesz do zdrowia!“

Henryk zaprzeczył smutnym skinieniem. „Oto leży jego księga!“ przemówił wskazując na książkę

otwartą, leżącą na oknie. Z niej poznałem stan mój.“ — „Widzisz Nils Gabryelu?“ ciągnął dalej uśmiechając się wdzięcznie, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela i spoglądając nań wielkimi oczyma (gdyż przed śmiercią oczy powiększają się i błyszczą) „widzisz, oto wschodzi twoja gwiazda! Jasna kolej oczekuje ciebie! Lecz blask twój sławy oświeci mój grób! Nie wątpię o tém; myśl ta zasnuwała mnie pierwój—teraz już nie. Jeżeli mnie to ugniała, zem tak mało zdziałał na świecie, to znowu pociesza nadzieja, że ty zdziałasz więcej, a ja się cieszyć będę tu albo na drugim świecie twojemi czynami i szczęściem twojem!“

Sternhek milczał. Rzęsiste łzy skrapiały mu lice; i przycisnął serdecznie Henryka do piersi.

Starał się ze względu na Henryka rozmowę zwrócić na inny, spokojniejszy przedmiot. Ale serce Henryka przepełnione uczuciami, tylko w wyłaniu się mogło znaleźć pokój. Stosunek obu młodzieńców stał się teraz innym niż dawniej. Henryk był duszą rozmowy, Sternhek szedł za jego myślą, słuchał pilnie i z wielkiem zajęciem, gdy młody poeta dał bieg wolny swym myślom i uczuciom, na co przedtém nie poważyłby się był w obecności surowego sędziego. W istocie dziwną uzyskuje wzniosłość i powagę ten, kto stoi na pograniczu życia i śmierci. Zdaje się on już słyszeć głosy tajemnicze wyższego świata; dla tego mędracy i silni

na ziemi uważają pilnie każde słówko konającego, cicho, jak uczniowie; pobożnie, jak dzieci.

Wejście radcy naprowadziło rozmowę na inny kierunek. Sternhek mówił o pracach ostatnich Henryka, zwracając się osobiście do radcy; mówił o nich jako znawca z takim uwielbieniem, że uniósł radością Henryka.

Wielka to rokosz być chwalonym przez męża, którego się czei, a który skąpy w pochwały. Henryk uczuł to teraz żywo, a do téj radości przyłączyła się jeszcze wyższa — że go Sternhek pojął zupełnie, tak że Henryk po jego słowach sam sobie głębiej zrozumiał. Zdawało się, że w téj chwili jasno ujrzał zadanie życia, coby chciał i mógł wykonać. Strumień życia wezbrał obficie w jego piersi: „Wracasz mi życie, Nils Gabryelu!“ zawołał. „O teraz wyzdrowieję! Wyzdrowieję koniecznie żebym znowu lepiej, czystiej pracował niż dawniej. Przecież nie nie zdziałalem do tego czasu. Lecz teraz, teraz mógłbym... Czuję w sobie życie nowe, nigdy mi nie było tak błogo — z pewnością przyjdę do zdrowia, lub może zachowano mi najlepsze wino na koniec?“

Wesoło zszedł wieczór w kole rodziny. Anieli niebiescy nie są piękniejsi ni szczęśliwsi niż był Henryk. Żartował z matką, z siostrami, nawet ze Sternhekiem najmiliej i najswobodniej, zdawał się najweselszym z obecnych siedzących przy ciaste-

czkach cytrynowych, przyprawy Ludwiki, któremi się „nasza najstarsza siostra“ nie mało pyszniła, a nawet blizką była mniemania, że ciasteczka te właśnie cudownie ożywiły Henryka. Ale niestety!

Właśnie gdy Henryk najweselęj rozprawiał z Ludwiką, uczuł gwałtowne bicie serca i bólesci.

Trwały nieustannie przez trzy dni, pozbawiając chorego przytomności, wiodąc go chyżo do celu naznaczonego ręką Wszechmocnego. Drugiego dnia opanował Henryka niespokój, przepowiadający zwykle, że dusza wybiera się na wielką podróż. Radca sam przenosił syna na rękach z pokoju do pokoju, z łóża na łóżo. Cała rodzina nie dozwoliła sobie snu, ni chwili spoczynku w ciągu tych dni niebezpiecznych. Suchém, zdrętwiałém a bolesném okiem spoglądała matka na ulubieńca, postępując za nim wszędzie, podpierając delikatnie jego poduszkę, siadając u nóg jego, uśmiechając się łagodnie, gdy myślała że ją poznał, wymawiając cicho jego imię.

Wieczorem dnia trzeciego powróciła choremu przytomność. Poznawał wszystkich, rozmawiał z rodzeństwem i dziękuje wszystkim. Spostrzegł że są znużeni i wybladli, prosił usilnie żeby się udali na spoczynek. Asessor temu przytomny nalegał także by go usłuchali, zapewniając, że według wszelkiego podobieństwa Henryk także usnie spokojnie. Asessor chciał przy nim czuwać całą

noc. Ojciec odszedł z córkami, a gdy się starano namówić do tego matkę, miasto wszelkiej odpowiedzi skinęła tylko ręką z tak bolesnym uśmiechem, że można było w nim wyczytać: szkoda trudu mówić o tém. — „Henryku, zostanę przy tobie!“ wyrzekła głosem błagającym. Wzięła jego rękę, przytuliła do piersi, oczy jego zamknęły się; i usnął spokojnie. Asessor siedząc cicho spoglądał na matkę i syna, lecz wkrótce musiał ich opuścić, gdyż odwołano go z ważnego powodu. Przyrzekł powrócić nie długo. Muntera nazywano w mieście „lekarzem nocnym“, gdyż on jeden tak w nocy jak i w dzień spieszył pilnie gdzie potrzebowano jego pomocy.

Matka odetchnęła głęboko pozostawszy samą. Złożyła ręce i wzniosła do nieba oblicze z wyrazem niepodobnym do tego, jaki widziano dawniej na jej twarzy. Nie była to trwoga szarpiąca serce, było to poddanie się woli Bożej zupełne i pokorne, pełne bólesci i miłości. Schyliła się nad synem mówiąc cicho, z głębi kochającego serca:

„Idź, moje drogie dziecko, idź! Nie będę ciebie dłużej zatrzymywała, bo ty cierpisz! Oby już przybył wybawca! Matka twoja mu nie powie, żeby cię dłużej zostawił. Oby przyszedł błogim aniołem i zakończył twe cierpienia, a ja — będę spokojna! Idź, synu pierworodny, dziecko wiosny mojej, idź! A chociaż nie powróci już wiosna dla matki two-

jój—idź, idź tylko! Żebyś miał spokój. Osładzałam ci kolebkę, dziecię moje, nie będę ci zatruwała pościeli śmiertelnej. Błogosławionys i błogosławiony Ten, co cię mi dał i który cię teraz zabiera w lepszą ojczyznę. Kiedyś i ja przyjdę do ciebie synu mój. Wyprzedź mię, dziecię! Tyś znużony, o, tak znużony. Podróż ostatnia była ci tak uciążliwą, spocznieś teraz. Przyjdź wybawczyni, przyjdź śmierci i dotknij serca jego, ale z lekka! Żeby nie cierpiał znowu, żeby nigdy już nie cierpiał. On nigdy nie zasmucił rodziców!“

W tej chwili Henryk otworzył oczy i zwrócił je czyste i spokojne na matkę.

„Bogu cześć! Nie czuję już boleści!“ wyrzekł.

„Bogu dzięki, dziecię moje!“ odpowiedziała.

Matka i syn spojrzeli na siebie wzrokiem pełnym miłości; zrozumieli się nawzajem zupełnie.

„Gdy mnie już nie będzie,“ mówił Henryk głosem słabym, urywanym, „donieś matko o tém ostrożnie Gabryeli! Ona taka tkliwa, a — tak słabych sił. Nie powiedz jój tego w dniu słabym i zimnym, ale — kiedy słońce jasno świecić i ogrzewać będzie, — kiedy natura będzie piękna i radosna, — wtedy — powiedz jój, że mnie już nie ma. Pożegnaj ją — powiedz jój odemnie, — że nie trudno — umierać, że tam jest słońce.“ —

Umilknął z uśmiechem na ustach i zamknął znużone oczy. Potém rzekł cicho:

„Zaśpiewaj mi matko, to spokojniejsz usnę. „Wolaśz mnie, idę!“

Temi słowy zaczynała się piosenka, którą Henryk napisał przed kilkoma dniami wśród boleści i nocy bezsennnej, — i sam muzykę do niej ułożył. Duch poezyi opuścił go w ostatnich czasach choroby, uczuł to boleśnie Henryk, lecz nowy ten smutek nie zachwiał jego duszy. Choć już nie było wieszczego natchnienia, to przecież piękny i czysty duch jego odbijał się w pieśni, którą na jego żądanie matka zaśpiewała głosem drżącym:

„Wolaśz mnie, idę, w ciemny grób się rzucić!
Życie uchodzi — o śmierci aniele,
Piosnkę ostatnią pozwól mi zanućić!
W mém biedném sercu wdzięczności tak wiele!

Przyjmij me dzięki z pełnej piersi, Boże!
Tobie ja śpiewam w ostatniém mém tchnieniu,
W twój świętą woli dziś ufność położę;
Ciebie wyznawał w szczęściu i w cierpieniu.

Piękném jest życie, lecz i śmierć jest błogą!
Ciało się trwoży nieznaną przyszłości;
Lecz z cieniów grobu, jasną wyższą drogą
Wiedzie słońce wiecznego życia i wolności!

Żegnaj mi piękny, uciech pełny świecie,
I drodzy memu sercu przyjaciele,

Bądźcie mi zdrowi; żyjcie w szczęścia kwiecie,
Przebaczcie jeślim wam zawinił wiele!"

"Zawinił!" powtórzył Henryk z boleścią: „Matko, czy tak było! matko!“ Niepokojnie otworzył oczy.

„Tak nie było, moje dziecko, matka przy tobie“ rzekła nachylając się ku niemu.

„Ach to dobrze,“ odrzekł spokojnie. Śpiewaj matko, jam bardzo znużony!“ dodał zamykając oczy.

Matka śpiewała:

Radość nie jeden kwiat mi uwiła,
Lecz w Bożem słowie pociecha najśłodszą!
Przyjaźń mi nieraz życie ozdobiła,
Lecz w twój miłości nadzieja najdroższa!

„O gdybyś wiedziała, jak się rozjaśnia! O to boskie!“ rzekł umierający, wyciągnął ręce, ale zaraz opadły nazad. Zmieniło się oblicze młodzieńca, śmierć lekko dotknęła jego serce i bić przestało. Jednak dziwne natchnienie ożywiało matkę, jej oczy błyszczały, a głos jej nigdy nie brzmiał dźwięczniej, piękniej, jak gdy dalej śpiewała:

„Cześć woli Bożej, cierpienia me kończy.
Święta miłości w śmierci zostań ze mną!
Z wami, o drodzy, wieczność mnie połączy;
Ziemia mi znika, niebiosą przedemną!”

Radca Frank spał niespokojnie, lecz zbudził go śpiew, którego dźwięki wydały mu się prawie nadziemskie. Chwila minęła nim się przekonał, że słyszy głos żony. Wtenczas z nieopisaną trwogą wpadł do pokoju chorego. Wszedł gdy Eliza ostatni wiersz śpiewała, na straszny widok załamała ręce i wykrzyknął: „mój Boże!“

Pieśń była skończoną. Straszliwa świadomość jakby mieczem przeszła serce matki. Ujrzała bezduszne zwłoki syna i ze słabym wykrzykiem trwogi i bólu upadła omdlała na śmiertelne łóżko.

VII.

ELIZA DO CECYLII.

Ostatni raz pisałam do ciebie w zimie, i na mojem sercu spoczywała mroźna zima — radość życia mego usnęła w grobie, okryta całunem, a mnie zdawało się, że już nigdy nie wróci ani wiosna, ani życie, że nie zdobędę się na słowa radośne i pełne nadziei. Ale teraz — teraz nadeszła wiosna, skowronek wyśpiewuje pieśń zmartwychwstania ziemi, słońce majowe rozświetla promieniami mój pokój i trawa zieleni się już na grobie pierwszego ulubieńca mego; a ja... Panie, który za-

dajesz, Panie, który goisz rany, Ciebie uwielbiam! Smutek, który zsyłasz, lekki jest, jeżeli go znosimy cierpliwie. Ukrywając się na chwilę — tak przynajmniej wydaje się słabemu wzrokowi naszemu — objawiasz się nieznadługo dobrotliwszym, wspanialszym jak pierwój: „Małą chwilkę“ nie widzimy Ciebie, i „znowu za małą chwilkę“ widzimy Cię, a serce raduje się, napawając się siłą i rozkoszą z kielicha, który Ty, Najlepszy wiecznie napełniasz. O tak! życie jest łatwe, jeżeli żyjemy w Bogu. —

Ale w smutnych godzinach zimowych zciemniał się był umysł mój, a serce powstawało przeciw mnie. Ach Cecyljo, nie chciałam żeby on umarł! On był przecież pierworodny, jedyny syn mój. Przy jego narodzeniu cierpiałam najdotkliwiej, nad jego kolebką śpiewałam najwięcej, najradośniej skakało serce moje przy pierwszych jego grach dziecinnych!.. On był moim dziecięciem wiosni, dał mi go Bóg w uczuć i życia mego wiosnie, — a potem, był taki zdolny, piękny, taki dobry! O nie — nie chciałam, żeby on umarł, żeby syna mego złożono w czarną ziemię! — Ale, gdy się zbliżała chwila stanowcza, gdy przeczuła co ma nastąpić, — ściemniło się we mnie. Ostatniej nocy — była to noc dziwna! — zmieniło się serce moje. Czy uwierzysz, Cecyljo, że nad łóżem śmierci syna mego swobodnie, a nawet tryumfująco śpiewałam! Teraz tego nie pojmuję, ale tej nocy — ubiegłych

dni cierpiał wiele, a cierpienia jego pojednały mnie z jego śmiercią, — ustąpiły z nią; on mnie prosił, jak niegdyś w dzieciństwie, żebym go uspiła śpiewaniem, — i ja śpiewałam. Rozkoszował w śpiewie, a głos mój się coraz wznosił. Z miłym uśmiechem, jakbym mu stało przed oczyma widzenie niebiańskie, mówił: „O! to boskie! „A ja śpiewałam mocniej i dźwięczniej. „Spostrzegłam zmianę w jego oku, w stanie oddechu i poznałam, że nadchodzi rozstanie się ciała z duchem, rozstanie się jego ze mną, — ale nie uczułam tego, ciągle śpiewałam, — myślałam, że śpiew mój unosi ducha jego ku niebiosom. Tej chwili byłam uszczęśliwioną, wzniesioną nad boleść ziemską. Wykrzyk męża mego obudził mnie ze snu słodkiego, a ja zobaczyłam wtedy — bezduszne ciało syna mego — i już nie więcej nie widziałam.

Było to omdlenie długie i głębokie. Zdaje mi się, że śmierć jest lżejszą. Przyszedłszy do przytomności, uczułam serce bijące na mej skroni, wzniosłam oczy — był to mój mąż. Głowa moja spoczęła na piersi jego. Najtkliwszymi słowami przywoływał mnie do życia. Córki stały wokoło z płaczem całując ręce i suknię moją. Wtedy i ja rozplakałam się i uczułam ulgę. Był to ranek i w pokoju już dniało. Objęłam rękoma małżonka:

„Erneście wesprzyj mnie — może zdołam...“ — więcej nie mogłam mówić, ale on mię zrozumiał i po-

wiedział: „Dzięki“ i przycisnął mię do bijącego serca.

Za boską pomocą zdołałam żyć.— Kilka godzin spoczywałam w łóżku.— Ewa czytała mi głośno— głos jój miły. Przyszłam na herbatę, starając się być jak zawsze. Mąż i córki wspierali mię, wszystko oddychało spokojem i miłością.

Gdy po zachodzie słońca była z Ernestem w sypialni, opanowała mię bojaźń jakaś: bałam się nocy, mojej pościeli, poduszek! Usiadłam na sofie i prosiłam Ernesta, żeby mi czytał. Łaknęłam za słowami pisma świętego. Siadł obok i czytał; lecz chociaż czytał silnym głosem, męzkim, to przecież słowa przebrzmiały tylko mimo moich uszów. Nie rozumiałam go, we mnie było ciemno i głucho. W tém zapukano z lekka do drzwi; zdziwiony cokolwiek Ernest zawołał: „proszę wejść!“ i Ewa otworzyła drzwi. Była blada i wzruszona — ale weszła pewnym krokiem i z pewnem postanowieniem. Zbliżyła się powoli, ukłękła między nami, biorąc nas za ręce. Chciałam ją podnieść, ale Ernest powstrzymał mnie, mówiąc łagodnie, ale stanowczo:

„Zostaw ją!“

„Ojcie! matko!“ wyjęknęła Ewa, „niepokoiliam was. Zbłądziłam — przebaczenia! Zasmuciłam was nigdy już tego nie uczynię — nie będę już nigdy

oporną waszym postanowieniom. Patrzcie — jak byłam nieposłuszną! Pierścień ten, te listy — przyjęłam od majora R. wbrew waszj woli; odeszłam to. Oto — com mu odpisała. Stosunek nasz zerwany na wieki, Przebaczenie, żem wybrała tę godzinę do wyznań moich, ale jam się obawiała własnej słabości, po przejściu téj chwili. O rodzice moi! Czuję i wiem, że on nie zasłużył być waszym synem, ale ja byłam oczarowaną — niewymownie kochałam go! — och, nawet go teraz kocham — nie — matko — nie płacz. Nademną nigdy już nie zapłaczesz łzami smutku, tyś już wiele płakała. Ze śmiercią Henryka zmieniło się wszystko we mnie. Nie obawiajcie się o mnie, ja wszystko pokonam i będę waszém dziecięciem posłuszném i szczęśliwém. Nie żądajcie tylko, żebym innemu oddała rękę, nigdy nie zaślubię innego, do innego należeć nie chcę. Dla was tylko żyć, was kochać, z wami tylko będę szczęśliwą. Ty, ojcie — weź to i odeszlij temu, którego już nie chcę widzieć — tylko nie gniewajcie się na mnie — i dopomagajcie mi!“

Łzy oblały jój twarz, którą położyła na kolanach ojca. Nigdy nie była tak piękną, tak uroczą. Ernest był bardzo wzruszony, położył ręce jakby z błogosławieństwem na jój głowę i wyrzekł:

„Gdyś przyszła na świat — byłaś długo prawie bez życia — w mojem objęciu otworzyłaś dopiero oczy, a ja dziękowałam Bogu. Ale gorętsze skła-

dam mu teraz dzięki, gdy ujrzał w tobie błogosławieństwo i pociechę naszej starości, kiedy zdolasz własne uczucia pokonać w celu zacnym i szlachetnym. Niech cię Bóg błogosławi i nagrodzi.“

Długo trzymał ją przy sercu, a lzy jego zwilżały jej skronie. I ja objąłem ją rękoma, okazując jej miłość i wdzięczność. Z rozjaśnionem mimo łez obliczem opuściła nas. „Naszem błogosławionem dziecięciem“ nazwaliśmy ją, gdyż ona ubłogosławiła nas pociechą. Podniosła nasze serce zwątpione.

Ernest przystąpił do okna spokojnie, przyglądając się nocy gwiazdzistej. Podeszłam do niego, ścigając wzrok jego rozjaśniony. Objął mnie rękami, mówiąc z cicha więcej do siebie:

„Tak dobrze! Takie usposobienie — to główna, nie ma go! I cóż z tego? To nas wszystkich czeka, prędzej czy później. Niczego nie dokonał, ale chęci miał nie zwykle, gdy go do wyższej pracowni powołano. Panie i mistrzu! Wziąłeś do siebie młodziana. Jemu tam dobrze, bo był przygotowany. To dla nas wszystkich najważniejsze.“

Słowa te głębokie na moim umyśle zdziałały wrażenie. Spokój zstąpił na mnie. W ciszy nocnej nie usnęłam, ale spoczywałam na jego piersi, na około mnie i we mnie był spokój. I w duchu życzyłam sobie żeby tak zawsze było, żeby dzień

nigdy nie zaświtał, aby słońce nie oświeciło już moich oczu stroskanych.

Jak te dni upływają! W bolesnych troskach zdaje się nam, że czas stoi i wszystko spoczywa, albo wlecze się pomału w zawrotach błędnych. Ale tak nie jest. Godziny dnia uchodzą w nieprzerwaną koleję; jak fale morskie wznoszą się i opadając uprowadzają z sobą łódkę życia — prawda że z wysep radośnych, ależ i z pośród skał smutku! Nadeszły godziny, w których żadna pociecha nie zaspakajała serca mego, kiedy daremnie walczyłam ze sobą i mówiłam: Teraz będę czytała, potem modliła się a nareszcie usnę. Nieopuszczała mnie boleść, prześladowała mnie wśród czytania, oddalała od modlitwy, odpędzała sen odemnie; wiele takich godzin przeżyłam, ale one przeszły, może jeszcze nadejdą podobne, lecz wiem, że i te znikną. Troskliwość małżonka i dzieci o mnie, spokój w domu, nieraz w nim wesołość, ulga we łzach, wieczna pociecha w wiecznem słowie — to wszystko wzmocniło i pocieszyło duszę moją. Teraz mi daleko lepiej. Do tego — on umarł czysty i nieskalany, młodzieńcem jasnego wejrzenia i gorącego serca. On był gotów — jak ojciec powiedział — do podróży w wyższe światy. Och! często widziałam w najgłębszym bólu, że są gorsze smutki, że nie jeden żyjący zasmuca matkę więcej niż mój, spoczywający pod zieloną mogiłą.

Zasadziliśmy na grobie jodły i topolę zdobiąc go zawsze świeżemi kwiatami. Na grobie młodego młodziana nie znać ponuręj boleści. Siostry oplakują go boleśnie — Gabryela zapewne najbardziej. W dzień atoli nie widać tego; zwykle jest wesoła jak dawniej; piosneczką, niewinnym żarciem przyozdobieniem domu, rozwesela jak pierwój umysł rodziców. Ale wieczorem, skoro wszystko zasypia ona wtedy gorzko płacze. Jestto rosa miłości na grób brata; — rano uśmiechają się oczy jasno, chociaż dużo łez wylały.

Skoro Jakobi dowiedział się o naszej stracie, przybył do nas. Wszelkie troski moje i Ernesta wziął na siebie, i okazywał się synem najczulszym. Niezadługo musiał nas opuścić, ale powód do tego jest radosny. Jakobi został pastorem w T. to zdarzenie czyni go niewymownie szczęśliwym, stawia go bowiem w możności ożenienia się, daje mu utrzymanie przyzwoite, a co więcej, stosowny do zdolności jego zakres działania, Ludwika cieszy się w duszy związkiem i stanowiskiem do którego dąży, a to tak ze względu na siebie jak i na rodzinę. Zda się, że miłość powiększyło nieszczęście, które spadło na nasz dom. Córkę moję miłszą niż kiedykolwiek w troskliwości o upiększenie życia rodzicielskiego. Poczciwa marszałkowa była dla nas przez cały czas najczulszą matką. Rodzice Henryka otrzymali nie jeden dowód współczucia od najszlachetniej-

szych i najznakomitszych ludzi w Szwecyi. Niepokalana sława młodego poety oświeciła dom smutku. Taka śmierć jak jego jest piękna — powiedział dobry nasz asessor, który przecież nie łatwo nazwie coś na ziemi pięknem.

Mamże ja Cecyljo, przed tém wszystkiem zamykać serce i siedzieć z moim smutkiem w ciemności? O — nie! I ja chcę rozweselić kółko ludzi z którymi żyję — i ja otworzę serce ewanielii życia i przyrody. Pochwyć chwilę tę i to dobro które ona przynosi. Żadnego spojrzenia przyjaznego, żadnego wietrzyka wiosennego nie pomnę bez wdzięczności ku Stwórcy; z każdego kwiatka wyciągnę kroplę słodczy, z każdej godziny kroplę wiecznego życia.

Tak — o tem wiem z pewnością — niechaj dzień życia mego będzie krótki albo długi, niechaj będzie posępny albo wesoły — to przecież:

„Dzień nigdy nie jest tak długi;

By po nim wieczór nie nadszedł.”

Wieczór, kiedy odejdę — do syna mego, — A w tedy — och wtedy obok niego zrozumieć słowa wieszczę, które tak często podnosiły ducha mego;

„Bo oto — stworzę nowe niebo i ziemię nową, że nie wspomną o dawnych, ale wiecznie radować się będę i cieszyć się nad tém, co stworzyłem.”

Wiele łez wylałam pisząc do ciebie, ale serce

moje spokojne. Już późno, głowę przytuliłam do Ernesta mego, i czuje, że tej nocy zasnę spokojnie.

Dobranoc, kochana Cecyljo!

VIII.

N O W E W Y P A D K I.

Było to po południu. Siostry pracowały pilnie nad suknią ślubną Ludwiki, gdyż Ludwika miała iść za mąż ku końcowi maja; tak postanowiła rada familijna. Suknia była jedwabna zielona, obszyta wieńcem dębowym—wzór tego wianka nie mało kosztował zabiegów i narad, lecz jakże wielką była radość, podziwienie piękności sukni, skoro ta skończoną była. Gabryela sprzeczała się jeszcze o wielkość żółędzi, ale Ludwika odpowiedziała stanowczo:

„Wzorek jest bardzo ładny.” Gabryela wpięła różę we włosy narzeczonej, i z upodobaniem wplatała jej liście w kędziory; ładnie to się wydawało bo właśnie słońce opromieniało głowę Ludwiki, twarz była piękniejszą niż zwykle, lica zakwitły żywszym rumieńcem, a oczy błękitem przezroczystszym; Ludwika spoglądała często przez okno, Jakobi, nowy pastor, był oczekiwany. Gabryela poszła do matki prosząc, żeby zobaczyła jaką Ludwika ładna i jak jej dobrze z różą. Matka ucałowała Gabryelę i spojrzała jej w oczy.

Szmerowi roboty towarzyszyła rozmowa sióstr.

Zajmowano się pastorem, urządzano szkoły, robiono masło i ser. Ustawiano porządek w domu, i kolęj potraw przy objadach, Ludwika chce prowadzić dom jak u rodziców, wiele także zmienia: „Trzeba postępować z czasem.” chce być bardzo gościnną w swoim domu—tak lubi Jakobi. Niektórych członków rodziny spodziewa się Ludwika mieć często u siebie, osobny dom ma być zbudowany dla tak miłych gości. Każdej niedzieli ma być Ludwika w kościele i słuchać kazania męża. Jeżeli kobiety przyjdą do jej domu z jajami; mają być mile przyjęte i znowu do przyjsia zachęczone. Wszyscy chorzy mają być pokrzepieni kroplami Ludwiki. Zdrowi zachęceni do czytania, pilności bywania w kościele i sadzenia drzew. Wszystkim grzesznikom ma się prawić kazanie o moralności. Każdej niedzieli ma się zaprosić niektórych wieśniaków poważanych z żonami na objad. Jeżeliby przyszły żony kościelnego lub wójta, wtenczas posadzi się je do kawy i położy się dla nich passyans. Każda dziewczyna wiejska ma służyć w domu pastora parę lat przed zamęciem, żeby się nauczyć pracowitości i dobrych obyczajów; to będzie dla niej sowitą, nagrodą. Na każdym weselu ma być pastor z małżonką, także i na chrzcinach, żeby się potem opiekować dziećmi po ojcowsku, żeby rosły w karności i na chwałę Boga. Wśród lata i w jesieni mają być zabawy z tańcami w domu pastora

ale bez gorzałki—zresztą nie braknie niczego, jedzenia ni piwa, ani starań i oka gosposi, ani też ochoczej muzyki do tańca. Dla żebraków z najdzie się w domu pastora stosowne zatrudnienie, i pożywienie, dla próżniaków stosowna przemowa o mozołności—a potem—przecż!—Tak urządzano powoli „Wiek złoty“.

Lecz niestety! szkoda tych planów złotych i złotego wieku, który zaprowadzić chciało, bo dwa listy do Ludwiki zakończyły wszystko. Jeden z nich przysłał Jakobi, donosił krótko i zwięźle, że nie otrzymał posady, że Ludwika nie zgani gdy się dowie z jakiej przyczyny.

Muszę odłożyć mój przyjazd do X., gdyż jestem teraz na usługach excelencyi O. który z podróży z Kopenhagi do Sztokholmu zapadł na podagrę, 6. maja spodziewam się być przy Tobie. Mam nowe widoki i pragnę najusilniej złożyć moje uczucia i myśli w Twoje serce wierne. Ludwiko!

Nie będę dłużej czekał i szukał, Ponieważ szczęście zawsze odemnie ucieka—zatrzymam je przeto siłą, i ufam w tę mierze w Panu, w Ciebie a na koniec w siebie. Ale rękę Twoją musisz mi dać. Jeżeli zezwolisz na to, przyjaciołko ukochana, wtedy zostanę również tak szczęśliwym, jak teraz wiecznie jestem twoim przywiązany.

J. J.

Drugi list skreślony ręką cudzą, bez wątpienia kobiecą, był następującej treści.

„Nie pogardzaj mną Pani, chociaż przeszkodziłam jój szczęściu, bo ja Ciebie błogosławię, Ciebie błogosławię, Ciebie Pani i męża szlachetnego z którym się masz połączyć. On jest dobroczyńcą moim, mego męża i dzieci moich. O, te dzieci, których przyszłość zapewnił, będą prosiły Boga, żeby Pani i jemu udzielił więcej szczęścia nad to, jakiego się tak szlachetnie zrzekł! Celem mego pisma jest prośba pokorna o przebaczenie, wylanie uczuć serca wdzięcznego przed tą istotą, która najlepiej może nagrodzić mego dobroczyńcę. Zechciej Pani dla niego wysłuchać łaskawie opowiadania o z wy-czajnem lecz smutnem położeniu.

Zapewne Pan Jakobi wspominał Pani nie raz nazwisko męża mego. On był kilka lat nauczycielem Pana Jakobiego, i obadwaj kochali się wzajemnie. Mąż mój piastował lat dwadzieścia urząd nauczycielski w W.; szczupłość zapłaty, nieszczęścia i drobne dzieci, powiększały nasze długie, które musieliśmy zrobić zaraz na początku urzędowania.—Mąż mój starał się o pastorat, ale go nie chciał otrzymać na drodze, którą zwykle teraz postępują, a na której często, zamiast zasłużonego, podehlebcę szczęście spotyka; on był do tego za skromny, a może i za dumny. Przez długi przeciąg czasu widział się zawiedzionym w sprawiedliwej nadziei, a z każdym rokiem pomnażał się niedosta-

tek w domu. Choroba osłabiła moje siły, jego zdrowie podkopywała obawa, że nie będzie mógł długów zaspokoić, że ma dziewięcioro dzieci niezaopatrzonych. Wiem, żebym serce Pani do głębi wzruszyła, gdybym wystawiła obraz licznej rodziny walczącej z troskami i biedą, ale lży zmyłyby moje słowa! Jakobi widział tę nędzę, on ją opiszę. Bo wizerunek, który przed każdym wzrokiem zakrywałam, jemu okazałam bliska rozpacz. Małżonka mego polecano na pastora w T. — on miał do tego więcej prawa niż Jakobi, — gmina go poważała i wszyscy wieśniacy głośno wypowiadali zamiar obrania jego — Ale dwaj możni posiadacze dóbr mogli zmienić kierunek rzeczy.

Hrabia D. i właściciel kopalni w B. mogli trzymając się za ręce, ustanowić pastora w obszernym T. Jakoż i oni z razu wyrazili poważanie swoje dla mego męża, i połączyliby się byli chętnie z gminą na jego korzyść. Po raz pierwszy odważyliśmy się weselszej oczekiwać przyszłości. W tém nagle usłyszeliśmy, że można jakaś osoba wstawiła się za Jakobim i nasze nadzieje upadły. Dwaj możni posiadacze dóbr przyrzekli głosy swe Jakobiemu, a myśmy zostali bez nadziei na przyszłość.

Dzień oboru zbliżał się. Nie poważylałam się pomówić z mężem o zamiarze, który powzięłam. — Ale wiele słyszałam o wzniosłym charakterze Jakobiego; matka i żona rozpaczająca — udałam się do nie-

go. Mówiłam z nim zgłębi serca, odniosłam się do jego uczucia, sprawiedliwości, do jego zacności, — odkryłam jemu, w co się obrócimy, jeżeli on nas zniszczy, za pomocą środków niekoniecznie szlachetnych. Obawiałam się, że gorzkie słowa prawdy obrażą go — Jakobi był aniołem. Skreśliłam mu nasze położenie, powiedziałam mu, że może nas wyrwać z nędzy — i zaklinałam go, żeby tak uczynił.

Prośba moja była nierozsądna i za taką miał z początku Jakobi. Ale usłuchał mnie, dozwolił się zaprowadzić do dawnego nauczyciela, obaczył na własne oczy trawiącą troskę na jego licu błędem i zapadłem, przekonał się, że nie przesadziłam — zapłakał, uściśnął rękę moją z pocieszeniem, i opuścił nas.

Nadszedł dzień oboru. Jakobi zrzekł się praw swoich. Małżonek mój, otrzymał znaczny urząd pastora w T. Łaskawy Boże! jakże to brzmiało nam w uszach a w sercach naszych! Długo nie mogliśmy uwierzyć szczęściu naszemu. Po zawiedzeniu piętnastoletnich nadziei, zaledwie poważyliśmy się pomyśleć o takim szczęściu. Pragnęłam gorąco objąć kolana dobroczyńcy naszego, ale on już dawno odjechał. Napisał kilka wierszy przyjaznych, które pojednały męża z jego szczęściem i zrzeczeniem się Jakobiego, które dopełniły miary szlachetnego postępku. Nie mogłam mu podziękować,

ale Pani, jego narzeczona ukochana, która go wkrótce zobaczysz, donieś mu, o donieś....“

Opuszczamy opisanie uczuć przy końcu listu, pochodziły one z serca gorącego, szlachetnego, przepełnionego wdzięcznością i szczęściem. Igła wypadła z rąk szwaczek, przy czytaniu głośnem listu przez matkę na prośby Ludwika i widoczne było zadziwienie, współczucie i rodzaj radości na ich twarzach. Wszyscy spoglądali na siebie w milczeniu wzrokiem łzą żalany. Gabryela pierwsza przerwała milczenie:

„Tak zatrzymamy dłużej u siebie Ludwikę,“ powiedziała, obejmując ją za szyję. Wszyscy zgodzili się na to jednogłośnie „ale“ — westchnęła Eleonora „przecież żal mi wesela i pastora! Wszystko było tak ładnie ułożone.“ Ludwika wylała kilka łez w milczeniu, zapewne nie dla zawiedzionej nadziei. Później wieczorem rozmawiała z nią matka starając się dowiedzieć, co też czuje z tego powodu.

Że zwykłą szczerością odpowiedziała Ludwika że ją z początku bardzo to zabolalo. „Leczyłam“ ciągnęła dalej „na prędkie połączenie się z Jakobim — tyle widziałam w przyszłym położeniu mojem pięknego i radośnego dla nas, teraz to wszystko zniszczone — może na zawsze — a przecież nie wiem, czy inaczej życzyłabym sobie. Jakobi dobrze uczynił, szlachetnie postąpił; czuję, że teraz kocham go i poważam bardziej jeszcze niż pierwój.“

Radca był prawie weselszym tego wieczora niż zwykle. Niewymownie serdecznym był dla najstarszej córki, zachwycił się tém, jak przyjęła ów wypadek i zdawało się, że ją teraz wyżej ceni. Dnia drugiego zajmowano się ciągle szyciem — Gabryela czytała — i „Ezyka Menweda lata dziecięce“ zwróciły wszystkie myśli — jakby łaską czarodziejską — od pastora, raju straconego, do bogatych czasów średniowiecznych Danyi i „Ezyka syna królewskiego.“

IX

NOWE WIDOKI I TAKIEŻ ŚRODKI.

Jakobi przybył. „Szwagier“ uskarżała się matce żartobliwie Gabryela, chciał uściskać pierwój najmłodszą siostrę, nim udał się do Ludwika.“

Ludwika przyjęła go serdeczniej niż pierwój, równie jak cała rodzina. O ile Jakobi stracił na dobach doczesnych, o tyle zyskał na poważaniu i miłości u przyjaciół. Wszyscy mieli chęć potajemną wynagrodzić mu stratę posady. Nie zaniedbał i sam myśleć o sobie, a nakarmiwszy się ziemskim posiłkiem, i niebieskimi przysmakami których mu Ludwika zastawiła obficie, — po rozmowie dwu godzinnej z narzeczoną przedłożył jój wyniki rodzicom, którzy nie bez zdziwienia i niepokoju usłyszeli jego chęci. Jakobi bowiem miał zamiar niezadługo odprawić wesele, a potem wybrać się do

Sztokholmu, gdzie chciał otworzyć zakład wychowawczy dla chłopców. Kto wiedział, że Jakobi bardzo mały uskładał sobie kapitałik, że dochód jego roczny wynosił pięćdziesiąt talarów, że się poróżnił z protektorem, że narzeczona bez posagu; że więc tylko na pracowitość własną mógł liczyć, kto o tém wiedział, temu zdawało się nagle to urządzenie domu wyjęte z powieści, obiad serca mego i wieczera duszy mojej, które teraz powszechnie nie podobają się. A przecież Jakobi z mocną wolą rozłożył przed rodzicami już gotowy i obmyślany plan i prosił o pozwolenie nazwania Ludwika żoną jak najprędzej—Eliza westchnęła, radca czynił trudności, które Jakobi rozumnie usuwał i zbijał.

„Czy zamysły jego są także twojami Ludwiko?“ zapytał radca po chwili. „Czy zgadzacie się ze sobą?“ Ludwika i Jakobi podali sobie ręce, spojrzeli na siebie, a potem na ojca wzrokiem łzawym, ale jasnym i pewnym.

„Nie jesteście już dziećmi“ mówił ojciec dalej, rozumiecie wasze przedsięwzięcie. Ale czy zastanowiliście się nad niem dostatecznie?

Oboje to potwierdzili. Nim jeszcze spodziewał się pastorału w T. już mieli tę myśl.

„Oczekuje was życie pełne trosk“ mówił radca poważnie—i zwłaszcza dla ciebie Ludwiko, będzie ono takim. Od ciebie zależy powiększej części pomysłne wykonanie zamysłów męża. Czy będziesz

znosiła wesoło i bez skarg, co się tylko zdarzy? czy podzielisz sumiennie jego troski?

„Tak—uczynię to?“ odpowiedziała Ludwika z zupełną, serdeczną wiarą.

„A ty Jakobi?“ ciągnął ojciec dalej głosem drżącym, „czy zastąpisz jej ojca, matkę i rodzeństwo? Czy przyrzekniesz mi, że ani teraz, ani potem—o ile to będzie w twojej mocy, Ludwika nie pożałuje, że opuściła dom rodzicielski?“

„Tak mi Boże dopomóż, jak się o to starać będę“ odpowiedział wzruszony Jakobi, podając radcy rękę.

„To idźcież dzieci do matki po błogosławieństwo; moje już macie!“ I ze łzami uściśkał oboje. Eliza poszła za przykładem męża. Ona to przeżywała, że przywiązanie wzajemne, ochota do pracy i usposobienie szczęśliwe — dostateczną są szczęścia rękojmią. Ale sprzeciwiła się co do wesela. Rodzice chcieli dać córce znaczną wyprawę, a ta nie mogła tak prędko przyjść do skutku. Ludwika stanęła po stronie matki, Jakobi więc musiał się zgodzić choć niechętnie, iż Zielone Świątki, które przypadały tego roku przy końcu maja, pozostaną jak dawniej oznaczone dniem ich ślubu.

Potém narzeczeni opowiadali rodzeństwu o nowych zamiarach i środkach; usłyszeli wielokrotnie „daj Boże!“ i „Boże uchowaj!“ Wielokroć uści-

skano się serdecznie, i dalej zabrano się do sukni ślubnej, do dębowego liścia i żółędzi.

Wieczorem, w czasie zebrania się rodziny, skoro matka weszła do bawialnego pokoju spostrzegła, że „mała panienka“ jest przeciw jej zięciowi i jego zamysłom.

Jakby przez zarazę, która łatwo udziela się jednako usposobionym, jeśli się kochają, nawet bez wypowiedzenia myśli słowami, przeszła niechęć od Gabryeli do matki, której zamysły Jakobięgo zdawały się coraz lekkomyślniejsze i niebezpieczniejsze. Jakobi szukał osobnej rozmowy z matką, by się nagać o Ludwicę i swoich nadziejach, wtedy Eliza nie mogła przenieść na siebie, by mu nie powiedzieć, że czém dłużej zastanawia się nad jego zamiarem, tém bardziej przekonywa się o tegoż niedorzeczności. Ale Jakobi odrzekł radośnie:

„Pan jest opiekunem głupców!“

Temi słowy przypomniał Elizie jakąś jej znajomą, która podobnie zaufała opiece z góry, lekkomyślnie powzięła zamiar podobny do zamysłu Jakobięgo, i zyskała nędzę. Eliza opowiedziała mu ten wypadek, on zaś odrzekł:

„Czy matka czytała uwagę zapisaną na końcu pewnego dzieła lekarskiego?“

„Nie—jaką uwagę?“

„Co szewcowi pomaga, to krawcowi szkodzi.“

Roześmiała się Eliza i nazwała Jakobięgo „upar-

tym szewcem“. On śmiejąc się także, ucałował serdecznie jej rękę i wniósł się w grono młodzieży, które zgromadziło się w około stołu i przypatrywało nowym, niezwykłym grzankom do herbaty; Ludwika chciała niemi uczcić narzeczonego, i zapewniała, że prócz świeżości, mają jeszcze wiele innych zalet.

Przy herbacie szepnęła matka żartobliwie w ucho Ludwice, gdy Jakobi osładzał swoją herbatę:

„Lube dziecię, w twoim domu będzie dużo cukru wychodzić, twój przyszły mąż nie obchodzi się z nim oszczędnie.“

Ludwika odpowiedziała również cicho: „Ale nie będzie się mógł gniewać, jeśli cukru dużo wyjdzie!“

„Niech więc bierze ile chce, dozwól mu!“ I obie śmiały się.

Później wieczorem, matka widząc Jakobięgo tańczącego z Ludwiką i Gabryelą, przyczém radością swą wszystkich rozweselał, a oczy błyszczały mu życiem i szczęściem, pomyślała w duszy: „i cnota ma właściwą sobie lekkomyślność.“ Serce jej zaś pogodziło się z Jakobim i jego zamiarami.

Dnia pewnego opowiadał Jakobi narzeczonej i jej matce o posłuchaniu u ekscelencyi O. w P..., które tak się odbyło:

Gdym wszedł do sali, biskup N. kłaniając się nisko wychodził właśnie z pokoju ekscelencyi. Ztamtąd dolatywały rozmaite głosy, grzeczne i żartobliwe słowa, i zaraz wyszedł sam pan O. w welnianych póneczochach, bez obuwia, co okazywało, że mu podagra dokucza, odprowadzając biskupa. Siwy włos, krótko ucięty, ułożony miał prosto na szerokiém, piękném czole; wyniosła jego postawa, w długiej, ciemnej sukni porannej, nakazywała uszanowanie. W rękę trzymał laskę, na której siedziała papuga, krzycząc nieustannie za odchodzącym biskupem: „Idź precz, idź precz!”

Wesołość rozlana na twarzy ekscelencyi przy wyjściu z pokoju, znikła nagle skoro mnie obaczył. Prosiłem go pierwój listownie o przebaczenie, że z jego łaski nie korzystałem. Surowe, odtrącające wejrzenie było jedyném jego przywitaniem. Winem i pieczywem był zastawiony stół w sali, ekscelencya prosił biskupa by wziął szklankę z winem, i rozmawiał z nim dalej żywo, nie troszcząc się o mnie bynajmniej. Nakoniec odszedł biskup żegnany przenikliwym głosem papugi, przyczém pan O. uśmiechał się nieznacznie.

Wreszcie odesłał służących, spojrzał na mnie bystro, siwém okiem, wzrokiem prawdziwie przenikliwym zmierzył mnie i zapytał krótko:

„Czego pan żadasz odemnie?”

Nigdy nie doznałem takiego przyjęcia; usiłując

jednak stłumić przykre uczucie, rzekłem: „Chciałem podziękować waszej ekscelencyi za łaskę, którą...”

„Którą pan odrzuciłeś od siebie jak ladajakie cacko” — przerwał mi mowę. „Panu zapewne dostąpienie takich posad bardzo łatwem się zdaje i myślisz je rozrzucać na wszystkie strony.”

Wyrzekł to głosem cierpkim, ironicznym. Zaklinałem żeby mnie wysłuchał, wynurzyłem mu moją wdzięczność, i jak najkróciój i najjaśniej wystawiłem mu przyczynę, dla której musiałem się wyrzec dobra przez jego łaskę nabytego. Zakończyłem słowy: że w stracie mojej i obawie narażenia się dobroczyńcy, pociesza mnie tylko uczucie dopełnionego obowiązku, zadosyć uczynienie sumieniu, i przekonanie żem dobrze postąpił.

„Postąpiłeś jak szaleniec!” przerwał mi szybko, „jak prawdziwy szaleniec. Coś podobnego uchodzi w powieściach, ale w rzeczywistości doprowadza tylko do wyprawienia siebie i rodzinę z torbami. Do niedarowania zawstydziłeś mnie pan! Do katal! przecież trzeba było rozważyć tę rzecz i uczucia, nim pan żądałeś mojego wstawienia się. Czyż mogę znać wszystkich potrzebnych, co niezasłużenie cierpią nędzę i mają dziewięcioro dzieci. Dla pana tylko rozpisywałem listy, wydawałem obiady, przemawiałem pięknie nie wspominając o czém inném. Postarałem się dla pana o pastora, jeden z naj-

lepszyc w kraju, a pan go oddajesz jakby to było.... tego za wiele. Nie przychodź pan już do mnie i nie mieszaj mnie w swoje sprawy — odtąd nie będę się troszczył, ani pytał o pana. Nigdy mnie pan o nic nie proś!”

Dotknął mnie żywo, a jeszcze więcej zasmucił.

„Tylko jedną mam prośbę, którą tak długo będę powtarzać, pokąd wysłuchania nie otrzymam — o przebaczenie waszjej ekscelencyi. Nigdy więcej nie będę nadużywał dobroci waszjej ekscelencyi, już i tak zbyt wiele dla mnie zrobiłeś. Moim zamiarem jest doświadczyć teraz sił własnych w zawodzie nauczycielskim. Chcę otworzyć w Sztokholmie zakład naukowy dla chłopców. Tam wkrótce wyjadę...”

„Doświadczej pan — podróżuj — czyż co ci się podoba — nie troszczę się już o to. Sprawami pana zajmować się więcej nie będę. Gdybym postarał się dla pana o dziesięć pastorałów, wszystkie darowałbyś pierwszym lepszym biedakom, mającym zasłużone żony i dziewięcioro dzieci. — Lundholmie, wymyj tę szklankę, nie pijam nigdy po biskupie!”

I odwróciwszy się ekscelencya wszedł do pokoju, złorzeczając podagrze, nie rzekłszy mi ani słówka pożegnania — a papuga obracała się ciągle na kiju, wrzeszcząc z całej siły:

„Idź precz! Idź precz!”

Tak pożegnany — zapewne po raz ostatni — wyszedłem z domu pana O. Wyznaję że chwilkę zatrzymałem się na schodach i nie mogąc się przezwyciężyć w żalu, wylałem kilka łez na kamień. Nie strata możnego opiekuna tak mnie bolało — lecz ja pierwój czciłem i kochałem tego męża; patrzyłem na niego z rozkoszą, jako na najszlachetniejszego człowieka na ziemi. Zdawało mi się, że i on mi sprzyja, wierzyłem w to mocno i wiara ta była mi droga. Teraz zaś tak nagle zmienił się dla mnie, a co gorsza, przynajmniej wówczas tak mi się zdawało, zmienił się niesłusznie, stał się niesprawiedliwym. Wiele na tém ucierpiałem, żem w nim ujrzał mniej szlachetności i wyrozumiałości, jak mu przypisywałem. Takie uczucia — taki żal do ekscelencyi objęły mnie w pierwszej chwili. Rozważywszy spokojnie rzecz całą, trochę go tłómaczę.

Musiał być źle uwiadomiony, powziąć nieprawdziwe wyobrażenie o moim postępku. Nie zastanowiwszy się nad nim, nie znając dosyć pobudek, miał w istocie wiele oczywistych powodów do niezadowolenia. Zresztą podagra mu dokuczała, niecierpliwiąc go i drażniąc. Pisałam już ztąd do niego i nie tracę nadziei, że zmieni niekorzystne do mnie uprzedzenie w dawną przychylność.“

Ludwika wcale nie sądziła ekscelencyi tak łagodnie. Znajdowała że Jakób zbyt jest pobłażającym

a na pana O. mocno się oburzała: „Najlepiej o nim zapomnąć i o niego nie dbać,” powiedziała.

Jakobi uśmiechnął się i wyrzekł: „biedny eksce-lencya!”

X.

NOWE ZAPADNIĘCIE.

Kiedy maj pisał swoje dzieje miłosne zielenią i życiem, Jakobi zaś i Ludwika swoje pocałunkami, dzieląc je na wiele rozdziałów; kiedy wszyscy w domu przygotowali się do wesela, oddychając uciechą i wesołością — wtedy jeden wzrok smutniał widocznie, jedno lico bledniało u Ewy.

Mówią zwykle, że miłość jest igraszką dla mężczyzny, zadaniem życia dla kobiety. Jeżeli się to często sprawdza, to może przyczyną tego jest, że praktyczne życie opanowuje myśli i działalność męża, niewiasta zaś więcej wewnątrz, sobą żyje, i nie ją silnie nie odrywa od cierpień miłosnych. (Pani marszałkowa przebaczyć nam musi, że mówimy o mężczyźnie i kobiecie, czego ona tak nie lubi. Nie stało się naszym powołaniem na świecie myć podłogę i garnuszki, więc rozprawiamy, chociaż i tamto możebyśmy potrafil.) W cichym domowym zakresie nie znalazła nic Ewa, coby utrzymywało jej siły po uczynionej z siebie ofierze. Nic nie od-

rywało duszy jej od myśli i uczuć tak drogich dawniej jej sercu. Na cicho tlejący ogień wiał teraz ciepły wiatr wiosenny tak pełen miłości, wiało niewinne tchnienie szczęścia i serdeczności narzeczonych i jeszcze inny więcej zatruty wicher. Zaręczyły majora R. z jedną z piękności stolicy, z jedną z dawniejszych współzawodniczek Ewy, doszły do jej uszu i zraniły boleśnie biedne jej serce. Chciała to ukryć, chciała nie wyjawiać ostatków miłości, którą wszyscy ganili, której się sama teraz rumienić musiała, sama nią w sobie pogardzać; postanowiła sobie nie martwić już rodziny swoją słabością i cierpieniem, nie chciała męczyć pokoju i radości, które zawitały w dom, po tylu ciosach — ale jej słaba dusza uległa, nie zdołała sama nieść ciężaru. Coraz bardziej usuwała się Ewa z rodzinnego koła, stawiała się cichszą i więcej w sobie zamkniętą, szukała samotności i nierada była, gdy jej kto w tym przeszkadzał. Nawet dla Eleonory była skrytą, chociaż ta, jak dobry anioł, stała jej przy boku. Łagodny wzrok Eleonory spoczywał na Ewie z tkliwą niespokojnością, wszystkie przykre wrażenia starała się od niej usuwać, wszelką trudzącą pracę wzięła na siebie i pielęgnowała siostrę, jak matka słabe dziecko. Ewa nie sprzeciwiała jej się, ale zdawała się zaledwie spostrzegać miłość otaczającą ją, codziennie więcej zapadała w swą

chorobę moralną. Niepokój panujący w tym czasie w domu nie dawał zwracać dosyć uwagi na usposobienie Ewy i sobie po większej części była zostawioną. Od kilku wieczorów Ewa zaraz po herbacie udawała się do swego pokoju na dole, gdzie wówczas córki mieszkaly, i nie wracała już wieczór, tłumacząc się lekkim bólem głowy. Było zasadą rodziców, gdy dzieci wyrosły, by do niczego małego ni wielkiego ich nie przymuszać, nie skłaniać inaczej jak miłością. Ale miłość silną była w domu; przyjemność z jaką ojciec widział córki wieczór w okolo siebie, była dostatecznym powodem, by, bez ważnej przeszkody żadnej z nich nie brakło. Gdy więc Ewy nie było przez trzy wieczory, zaniepokoiło to ojca, a matka poszła do niego podczas gdy reszta rodziny z kilką przyjaciółmi zajęta była muzyką. Ale matka nie zastała Ewy w próżnym pokoju. Wracając niespokojna spotkała Ullę zabierającą się do modlitwy.

„Gdzie Ewa?“ zapytała Eliza na pozór obojętnie.

Ulla zatrzymała się, zrumieniła, pobladła i odrzekła z drżeniem:

„Wyszła — zdaje mi się.“

„Gdzie wyszła?“ zapytała Eliza szybko i niespokojnie.

„Zdaje mi się — na grób panicza.“

„Na grób — tak późno? Czy przez więcej wieczorów już tam chodziła?“

„Trzeci wieczór dzisiaj! Ach pani, to bardzo nie dobrze!“

„Co nie dobrze, Ullo?“

„Że panna Ewa tak późno na grób idzie i przed dziesiątą nie powraca — i tak chętnie jest samą! Wczoraj panna Eleonora z płaczem usilnie ją prosiła, aby nie szła, lub jej z sobą pójść dozwoliła. Nie chciała na to przystać panna Ewa, mówiła, że nie pójdzie, niech panna Eleonora wraca do towarzystwa, a ją samą zostawi. Ale skoro to nastąpiło, wyszła zaraz panna Ewa, tylko w cienkiej chustce na głowie. Tego wieczora tak samo uczyniła. Ach! pani, i ja już nad nią płakałam. Musi ją wielki smutek uciskać, bo codziennie jest bledsza.“

Eliza bardzo zmartwiona pospieszyła do męża. Znalazła go pilnie zatrudnionego wśród ksiąg i papierów. Porzucił jednak wszystko, skoro ujrzał stroskaną twarz żony. Opowiedziała mu, co słyszała od Ulli i dodała, że pójdzie zaraz na cmentarz.

„Idę z tobą, rzekł radca. Powiedz tylko Ludwice, aby wstrzymała wieczerzę do naszego powrotu; zresztą nikt tam nie spostrzeże, że nas nie ma. Tak się całkiem zajęli muzyką!“

Jak rzekli, tak zrobili. Poszli oboje małżonkowie.

Było wpół do dziesiątej, ale w połowie maja powietrze było chłodne, wilgotne, mgła spadała.

„Dobry Boże,“ rzekł radca cicho, śmierć sobie sprowadza, o tym czasie i w taką pogodę siedząc na cmentarzu.“

Gdy małżonkowie zbliżali się do cmentarza, oba-czyli postać kobiecą szybko w drzwi wchodzącą; nie była to Ewa, bo ta siedziała na grobie brata, i podobna widmu patrzyła nieporuszenie przed siebie. Postać, która weszła przed małżonkami zbliżyła się cicho do grobu i zatrzymała się o kilka kroków.

„Ewo!“ wyrzekł głos błagający i troskliwy.

Była to Eleonora.

Zakryty gęstemi drzewami stanął w milczeniu radca z Elizą. Cmentarz był pusty. Już raz stał on tutaj i słuchał rozmowy, ale jakże różnej.

„Ewo!“ powtórzyła Eleonora raz jeszcze naj-tkliwiej.

„Czego chcesz odemnie, Eleonoro?“ zapytała Ewa niecierpliwie, nie ruszając się z miejsca, „prosiłam cię przecież, abys mnie samą zostawiła.“

„Ach, nie mogę cię odstąpić, Ewo! Pocóż tu siedzisz wśród wilgoci i zimna, na ziemi? Chodź, chodź ze mną do domu!“

„Idź sama Eleonoro! powietrze to może ci szkodzić. Idź do wesołych, bądź z nimi szczęśliwa.“

„Pamiętasz Ewo, jak przed wielu laty byłam

chorą na ciele i duszy? Wiesz kto wtenczas porzucił wesołych, aby mnie pocieszać? Także prosiłam wtenczas, byś odeszła, ale zostałam. I ja teraz zostanę.“

„Ach idź, zostaw mnie samą. Samą jestem teraz na świecie!“

„Ewo! boli mnie to co mówisz. Ty wiesz przecież, że cię kocham nad wszystko na ziemi. Smuciłam się gdyś odjechała, dom pustym mi się wydawał, lecz pocieszałam się myślą: Ewa wkrótce powróci! Przybyłaś, ucieszyłam się, myślałam, że razem będziemy szczęśliwe. Widzę, że ci teraz nie wystarczam, lecz kocham cię jak przedtém, a jeśli myślisz, że nie czuję twego cierpienia, że nie płaczę z tobą, to niesprawiedliwą jesteś dla mnie! Ach Ewo! przez niejedną noc, kiedy myślałaś że śpię doskonale, siedziałam pod twemi drzwiami, słyszałam że płaczesz, i płakałam i modliłam się za ciebie, ale nie śmiałam wejść do twego pokoju, bo widziałam, że serce twoje zamknęło się przedemną.“ Eleonora płakała gorzko.

„Prawdę mówisz, Eleonoro,“ odpowiedziała Ewa, nie jestem otwartą jak niegdyś. To uczucie, ta miłość dla niego, pochłonęła całą duszę moją. Chwilę mniemałam, że potrafię ją pokonać, ale — teraz już w to nie wierzę.“

„Żałujesz twego wyrzeczenia się? Było tak szlachetne! Pragniesz jeszcze związku z nim?“

„Nie, to już przepadło. Umrzeć wolałabym, Ale widzisz, Eleonoro, ja go tak bardzo kochałam—miłość dała mi poznać jak czarownem, jak boskiem może być życie — o Eleonoro! jasny, promienistem słońcem ogrzany dzień letni, podobniejszy jest do téj zimnej ponurój godziny wieczornój, jak życie, któremi na chwilę zabłysło, do przyszłości, która teraz przedemną.

„Tak zdaje ci się teraz Ewo, tak myślisz teraz ale wkrótce będzie inaczej. Teraz czujesz zamięszanie po burzy, lecz i to się kiedyś ułoży. Obaczysz niedługo że odstąpią cię bolesne uczucia i życie się przed tobą rozjaśni. Pamiętasz, jak nieraz patrzyłaś na niebo, kiedy chmury się na niem rozdzielały i mówiłaś: „Wyjaśnia się, jak piękne jest niebo!“ A niebieskie twe oczy jaśniały przy tem swobodą i radością. Wierz mi, Ewo, lepsze czasy wróca, będziesz znowu patrzeć swobodnie w niebo z uczuciem radości!...“ „Nigdy, rzekła Ewa z płaczem, ach, nigdy ten czas nie powróci! W ten czas byłam niewinna — to jasno widziałam nad sobą niebo; teraz tyle złego, tyle nieczystego skalało moją duszę, kalają jeszcze! O Eleonoro! gdybyś ty знаła wszystkie moje uczucia — przestałabys mnie kochać! Czy uwierzysz, że niewinne szczęście Ludwiki budzi we mnie zazdrość. że nanowo powstająca radość w domu budzi we mnie gorycz, gorycz i przeciw moim najbliższym, moim kochanym? O, sa-

ma się sobą brzydzę, sama sobie najostrzejsze robiłam wyrzuty, błagam z gorącemi łzami, a przecież...“

„Droga Ewo, miej cierpliwość sama z sobą, ty nie będziesz...“

„Ach! już sprzykrzyło mi się życie i ja sama sobie. Tak mi jest jak komuś, co już szedł długo i zmęczony jest, a jeszcze iść musi i nigdy celu nie dojdzie. Zdaje mi się, że jeszcze się wam wszystkim ciężarem stanę. Gdy was widzę wszystkich szczęśliwych, wesołych razem, a czując pierś i głowę przepełnione goryczą, w ten czas uciekać muszę w tę chłodną rosę wieczorną, pragnę już spóczyć w ziemi, na którą ona pada, — tęsknię za grobem, chciałabym się weń schować!“

„Przedemną się nie schowasz, mnie nie opuścisz. I ja pójdę za tobą, gdziekolwiek pójdziesz. Na cóż mi życie, gdybyś mnie w rozpaczy opuściła? Nie pójdiesz sama w grób Ewo, ja pójdę za tobą, nie pozwolisz abym tu koło ciebie siedziała, to usiądę pod murem kościelnym, aby ta sama rosa wieczorna ciebie jak mnie przejęła chłodem, ten sam zimny wiatr twoją i moją pierś obwiał, jeden grób nas obie pochował. Dla ciebie chcę umrzeć—jesli ty dla mnie żyć nie zechcesz! O Ewo, czyż niechcesz żyć dla mnie, nas tyłu, którzy cie Kochamy? My będziemy próbowali, usiłowali wrócić ci szczęście. Bóg nam dopomoże i nadejdzie czas,

kiedy obecny smutek snem się wyda, kiedy wszystkie miłe wrażenia życia odżyją dla ciebie. Będiesz znówu niewinną, będziesz więc — bo twoja cnota jest wyższą, prawdziwszą niewinnością, własnym trudem i ofiarą nabytą. O Ewo! gdyby ten którego prochy pod nami spoczywają, którego duch może nam teraz niewidzialny towarzyszy, który był lepszy i czystszy jak my wszystkie, gdyby on mógł nam dać usłyszeć swój głos; prosił by ze mną: „Ewo, żyj, żyj dla kochających cię!“ Prędko przemija ziemskie życie, jego uciechy i boleści, ale do brze jest żyć dla radości drugich, bo to daje rozkosz w niebie, wielki pocieszyciel wszystkich strapiionych nie opuści cię. Nie opuszczaj ty jego. Miej cierpliwość, wytrwaj! Pokój powróci..“ Głos ustał, obie siostry trzymały się w objęciu i mieszały łzy swoje. Po chwili głowa Ewy spoczęła na ramieniu Eleonory, a ona wyrzekła słabym, urywanem głosem:

„Nie mów już więcej, Eleonoro, uczynię co zechcesz. Prowadź mnie, rób ze mną co chcesz — jam za słaba aby sobą kierować, — wspieraj mnie, ja pójdę za tobą. Tyś moim dobrym aniołem!“

Inni jeszcze aniołowie opiekuńczy zbliżyli się i objęli siostry w tklive ramiona. Przez nich prowadzona, wróciła Ewa do domu. Była uległa i kochająca, i wszystkich tklive kilkakrotnie przeproszała. Bardzo była wzruszona zdarzeniami tego

wieczora i wzięła od matki kilka kropel uspokajających nerwy. Eleonora pomogła jej położyć się w łóżko i czytała jej święte słowa pokoju, dopóki Ewa nie usnęła.

Téj saméj nocy chodził radca niespokojnie tam i nazad po sypialnym pokoju i mówił do żony już w łóżku spoczywającej.

„Podróż do kąpiel w twoim towarzystwie byłaby dla niej najlepsza. Ale — niewiem jak ja zostanę bez ciebie, a potem skąd wziąć pieniądze? Straciłiśmy wiele, musieliśmy wiele wydać — teraz czeka nas Ludwiki wesele — i przecież bez pieniędzy nie wyprawimy nasze dziecko z domu. Trzeba było na odbudowanie domu pożyczyć musimy więcéj długu zaciągnąć — nie widzę sposobu. Ewę musimy ratować, jej duszę i ciało leczyć, cokolwiek by to kosztowało. Muszę pożyczyć, pieniędzy...“

Erneście, tego nie potrzeba,“ rzekła Eliza, a radca zatrzymał się i patrzył, jak usiadłszy, radośnie na niego spoglądała. „Chodź rzekła, usiądź koło mnie, pozwól że ci przypomnę rzecz która się zdarzyła przed piętnastu laty.

„Cóż to za historia? zapytał, ale uśmiechnął się, siadł przy łóżku Elizy i wziął podaną mu rękę.

„Przed dwudziestu pięciu laty...“

Przed dwudziestu pięciu laty? Boże uchowaj! obiecałaś cofnąć się tylko o piętnaście lat.“

„Cierpliwości mój drogi, to pierwsza część mo-

jéj powieści. Czy pamiętasz jeszcze, że przed dwudziestu pięciu laty, zaraz po pobraniu się naszym, układałeś sobie że zwiedzisz piękną ojczyznę twéj matki — widzę już Erneście, że to sobie przypominasz — mieliśmy tam podróżować i używać wolności i pięknej Bożej natury! Ciebie ten zamiar cieszył bardzo. Lecz różne zdarzenia, pielęgnowanie dzieci, nawet twéj pracy usunęły z roku na rok i coraz dalej naszą podróż. Długo jeszcze była ona jasnym punktem przyszłości, na który lubiłeś oczy zwracać, teraz od jakiegoś czasu zdaje się, iż o niéj zapomniałeś, bo zapomniałeś o wszelkiej osobistej radości i chęci wśród pracy dla twoich, dla rodziny i społeczności. Ja zaś nie wyrzekłam się dla ciebie podróży do Norwegii i przed piętnastu laty znalazłam do niéj środki.“

„Przed piętnastu laty? Nie rozumiem cię?“

„Teraz przychodzę do drugiej części mojej powieści. Wiesz Erneście, że przed piętnastu laty nie byliśmy tak szczęśliwi jak teraz? Zapomniałeś o tem? tem lepiej. Ja także zaledwie sobie to przypominam, hart miłości zatarł dni ciemne. Ale to pamiętam jeszcze, że w owym czasie nie umiałam się znaleźć wśród rzeczywistego życia i wszystkiego dobrego jakie mi przynosiło i pocieszałam się pisanie romansu. Aby pielęgnować postacie mego utworu miałam parę razy to nieszczęście, że nie

usługiłam jak należy memu panu i małżonkowi. a pan mój nie umiał nigdy sam się pielęgnować.“

„Zbyt aimable!“

„Nie bierz mi tego za złe! Jednego wieczora zaszła kolizya po między jego herbatą a moim romansem, i powstała z tąd niedobra historia. Wtenczas przyrzekłam sobie w sercu, że jeszcze obydwóch rywali pogodzę. Widzisz — mój rękopism — byłś łaskaw nazwać go bazgraniną — posłałam człowiekowi światłemu, odznaczającemu się dobrym sądem i smakiem, co dowiódł, bo mu się „bazgranina“ podobała i — cóż powiesz na to? — zapłacił, zań znaczną summę, aby go zatrzymać i drukować. Nie patrz tak surowo, Erneście, nigdy odtąd nie wzięłam już pióra do ręki do pisania romansu, własny mój romans za wiele mi dał do czynienia i nie chciałam nigdy więcej robić tego, czego byś sobie nie życzył. Przewyciężyłeś wszystkich rywali! Ale tego pierwszego chciałam użyć za środek do norweskich podróży. Dla tego małą wypłaconą mi sumę dwieście talarów złożyłam do kasy oszczędności, a przez lat piętnaście tak wzrosła że celu może dokonać. Jeśli kiedy, to teraz czas jéj użyć. Ja nie mam już ochoty do podróży, Pragnę tylko spokoju. Ale ty i ...“

„Myślisz że jabym mógł twoją ...“

„Erneście! jakżebyś mógł nie wziąć tej sumy słysząc jaką radość sprawiała mi sama myśl o tém?

Te co roku przymnażane pieniądze, aby tobie kiedyś niemi przyjemność zrobić, były dla mnie jakby ukrytym skarbem radości który mnie wzmacniał i ożywiał. Jeżeli czasem jakaś mała chmurka zaszła między nami, czyja byłam słabą lub drażliwą, czy ty byłeś surowym, to myśl o tym skarbie pocieszała mnie i godziła z życiem. Uszczęśliw że mnie teraz spełnieniem mojej nadziei. Weź tę sumkę i mile przepędź za nią lato, proszę cię oto na miłość dzieci. Weź Ewę z sobą, a jeśli można i Eleonorę. Nic więcej nie rozweseli Ewę jak taka podróż z tobą i Eleonorą wśród wielkiej, pięknej natury. Przed miesiącem można pieniądze podnieść z kassy. Urlopu nie mogą odmówić człowiekowi który lat trzydziści pracuje nieprzerwanie w usługach kraju. Gdy już Ludwika z mężem odjedzie, a wiosna i natura będą w najpiękniejszym kwiecie, wtenczas udasz się w podróż, pokrzepisz się troszkę po tyloletniej natężonej pracy, i uleczysz ranę w sercu naszego chorego dziecka.

XI.

ZAMIARY I ZAMIARY RÓŻNE.

Nazajutrz z rana weszła Ewa do pokoju ojca. Wstał zaraz od roboty, wyszedł tkliwie na przeciw niej, posadził ją przy sobie na sofie, objął ramio-

nami, wziął za rękę, spojrzał na nią serdecznie i bawczo i rzekł.

„Chcesz czego odemnie, dziecię moje? Mogę co dla ciebie zrobić? Mów!”

Ewa ośmielona taką dobrocią wynurzyła ojcu stan swojej duszy, który aby pokonać, aby pozyskać pokój i siłę, pragnęła wejść w czynniejsze życie. Miejsce nauczycielki było opróżnione w jednym z zakładów wychowawczych w mieście i Ewa chciała je przyjąć, ale tylko na lato, w którym to czasie pragną się obie z Eleonorą przygotować, i w jesieni otworzyć same zakład wychowawczy dla dziewcząt, do czego się zdawna przysposabiała; i co im dać może być pożyteczny i samoistny. Ewa prosiła ojca o pozwolenie wykonania powziętych zamiarów. „Eleonora i ja, dodała, mówiłyśmy o tém wiele dziś zrana i myślemy, że potrafimy nasz zamiar wykonać, z radą i pomocą na jaką możemy liczyć. Ach ojczel! wstydzę się mojej własnej słabości! Muszę prędko znaleźć środki pokonania jej! Chcę działać, pracować, wśród użytecznego zajęcia zapomnieć o przeszłości i osobie, a żyć tylko, by cieszyć tych którzy mnie kochają, a którym sprawiłam tyle niespokojności, tyle zmartwienia.”

Mocno wzruszony ojciec przycisnął córkę do piersi i rzekł: „Dziecię, drogie dziecię! Masz słusność i słusznie czynisz! Będzie tak jak pragniesz i wszystko uczynię, co będzie w mojej mocy ku poparciu

twego zamiaru. Piękne zakłady wychowawcze wychodzą z mego domu. To dobrze, bo nie pożyteczniejszego niema na świecie. Tylko jeden warunek położę tobie i Eleonorze. Jesień i zimę poświęcicie swemu zakładowi, ale to lato darujecie ojcu. Pani B. niech szuka nauczycielki gdzie chce, ale nie w moim domu. Ja jej teraz żadnej dać niemogę.“

Ach ojcze! każda nie zajęta godzina jest mi teraz ciężarem.“

„Będziemy ciężar nieść razem Eleonora, ja i ty, bo razem za kilka tygodni chcę się udać z wami w podróż do Norwegii, do której dawno tęskniłem, chcę zwiedzić piękną ojczyznę mojej matki. Wszak prawda Ewo, że chętnie odetchniesz wraz ze mną świeżem, górskim powietrzem? Samemu ta podróż nie byłaby mi miłą, w twojem zaś i Eleonory towarzystwie odmłodzi mnie. Nasze głowy smutek uciśnął, ale wśród pięknej Bożej natury podniesiemy je, i odetchniemy swobodnie. Wszak pojedziesz ze mną? Kiedy przystajesz, to chodźmy do matki, bo jej zawdzięczamy, że podróż może przyjść do skutku.“

I poszedł z córką do żony. Eleonorę u niej zastał. Kwartet jaki złożyli był więcej harmonijny, niż jakikolwiek Mozarta!

Cały dzień Ewa była bardzo ożywiona, ale wieczór dostała mocnej gorączki. Trwoga przejęła całą rodzinę. Lękano się, że się nowy grób otworzy

a niespokojność wyrażało każde oblicze. Z usilnością na pół bez przytomną, gwałtowną, żądała Ewa by asesora przyzwano. Przyszedł zaraz.

Przebaczenia, przebaczenia!“ rzekła Ewa, podając mu rękę, „byłam bardzo niewdzięczna. Ale byłam chora na duszy i wszystko we mnie zmienione. Teraz za sprawą Eleonory będę znowu lepsza i zdrowsza. W tej chwili jestem słaba, ręce mam rozpalone, głowa mnie boli. Dajcie mi moją małą szkatułkę żebym ją w ręku trzymała, głowę na niej wsparła, pierwaj nie będzie lepiej ze mną. Przyjacielu, pokrzep mnie, abym moich ani nikogo już nie martwiła, lecz cieszyła.“

Asesor otarł w milczeniu łzę z oka. Ewa wsparła czoło na szkatułce, mówiła żywo, lecz chwilami bez związku o zamiarach na przyszłość.

„Pięknie, bardzo pięknie rzekł asesor przerywając, ja także będę służył wczem potrafię, będę uczył cały rój dziewcząt botaniki, a czasem poprowadzimy je do lasu i na zielone pole, aby uczyły się poznawać piękność świata. Ale teraz nie mów już więcej Ewo, tylko napij się spokojnie z tej szklanki.“

Chętnie przyjęła Ewa uspokajający napój i uciśzyła się po nim. Była najposłuszniejszą i najmiłszą pacjentką i okazywała dawnemu przyjacielowi zaufanie, które jego serce przenikało. Byłby chętnie dzień i noc siedział przy jej łóżku,

Ewa zasłabła na nerwową gorączkę, która ją prawie trzy tygodnie trzymała w łóżku a rodzinę niepokoiła. Jej samej; zdrowiu jej duszy, pomogło to wstrząśnienie, a jeszcze więcej niezmierna miłość z jaką wszyscy pielęgowali. W jednym z dni gdy już zdrowszą była i siedziała w łóżku, widząc się otoczoną temi wszystkimi drobnymi przyjemnościami, które miłość i rodzina zgromadzają w około ukochanej chorej, Ewa nachyliła się do Eleonory i rzekła: „Ach któżby nie chciał żyć widząc się tak kochaną.“

Tymczasem zbliżał się dzień wesela Ludwiki.

XII.

NIESPODZIANKA.

Na trzy dni przed weselem wspaniały cztero-konny powóz toczył się przez ulice miasta X. i turkotem silnym wywoływał wszystkich ciekawych mieszkańców do okien.

„Kochana siostró“, zawołała żona kupca hurtownego, pani Suur do pocztmistrzyni Bask, „czy widziałas wspaniały powóz podróżny, który dopiero przejechał. Czy widziałas ładnego chłopczyka który siedział po lewej stronie i z swoją biel-

tką szyjką i otwartym kołnierzykiem od koszuli tak po pańsku wyglądał. Jak się popatrzył na mnie, i jaki piękny! — Wygląda na księcia.“

„Kochana siostró“, rzekła pocztmistrzyni, „a widziałas tego pana, który siedział z mojej strony, po prawej ręce w powozie? To wspaniały pan trzeba przyznać. Tak wysoko i rozparty siedział w powozie, tak owinięty w przepyszne futro, że nic mu twarzy nie było widać. To muszą być znakomici panowie.“

„Patrzałam tylko na chłopczyka“, dodała zapracowana i zabrudzona przy domowej robocie Anusia, z spojrzeniem więźnia wyglądającego z za kraty w wolniejsze, piękniejsze życie; „taką spokojną ma twarzyczkę z wielkimi niebieskimi oczyma, że przez szkła od powozu wyglądał czysty i poważny jak anioł z nieba.“

„Jak gdybyś wiedziała jak aniołowie w niebie wyglądają!“ rzekła sapiąc z gniewem pocztmistrzyni, z surowym spojrzeniem na Anusię, „możesz się do tego nie mieszać. Radabym przecież wiedzieć, co to są za możni panowie. Nie dziwiłabym się, gdyby to był sam król, lub następca tronu, który tak incognito z swoim synem jeździ po kraju.“

„Kochana siostró, musiałas zgadnąć! Tak jest z pewnością! Bo zupełnie wyglądał jak książę, ten

śliczny panicz, który się na mnie przez okno popatrzył, a nawet do mnie uśmiechnął.“

„No, moje panie, mamy prawdopodobnie jakichś znakomitych gości w mieście!“ zawołał zadyszany radca miejski Nyberg, wchodząc do pokoju.

„Czy zatrzymali się tutaj?“ zawołały obie kobiety.

„Moja żona widziała jak powóz stawał, i...“

„Boże uchowaj, panie radco, o czym też pan myślisz, że nie robisz hałasu w mieście i nie gotujesz się do należącego przyjęcia? Przecież trzeba całe mieszczaństwo zwołać?“

„Gdzie? Co? kto?“ pytał radca miejski, otwierając oczy szeroko jak obłąkany, „miałbyż to być...“

„Z pewnością następca tronu w własnej osobie, a może nawet król...“

„Wielki Boże!“ wykrzyknął radca, i wyglądał jak gdyby się ratusz walił.

„Pospiesz-że się pan w imie Boże, pobiegnij i obacz, dowiedz się, zamiast tu stać i patrzeć przed siebie jak bydlę,“ zawołała pocztmistrzowa prawie odchodząc od siebie, podskakując na sofie wielkim swoim korpusem. „Kochana siostra mogłaby także tam pobiedz, Anusia jeszcze bardziej, co siedzi i wymęczyć nie może swego haftu. Poskocz prędko Anusiu i obacz kto to, ale wracaj na-

tychmiast mnie wszystko powiedzieć — ruszajże biedna lichoto!“

Radca miejski pobiegł, kochana siostra Suur pobiegła, Anusia pobiegła, także my z czytelnikiem pobiegniemy, aby obaczyć wysiadającego z wspaniałego powozu słusznego, niemłodego już mężczyznę z jedenasto-letnim chłopcem, wątłej budowy ciała i szlachetnej powierzchowności. Był to excelenca O. i jego syn najmłodszy.

Wysiedli do domu Franków i do nich weszli. Excelenca otworzył drzwi sali nie zapowiadając się i przedstawił się sam Elizie, która wprawdzie zdziwiona, przyjęła go z zwykłą, właściwą sobie uprzejmością, żałowała że męża nie ma w domu, a w duszy myślała, iż Jakobi nie przesadzał wcale opisując powierzchowność excelencyi. Był on w najlepszym humorze, wyszukał zaraz, że Eliza i on byli w pokrewieństwie, nazywał ją odtąd „kuzynką“, wiele miłych rzeczy powiedział jój o jój rodzinie, o której nie mało słyszał, a szczególnie o pewnym młodym człowieku, którego wysoko szacował. Powiedział nareszcie excelenca, że jakkolwiek się cieszy osobistém poznaniem kuzynki, musi wyznać, że tym razem jego odwiedziny tyczą się głównie wspomnianego młodego człowieka, i zapytał o Jakobiego.

Wezwany Jakobi przybył prędko, nie bez widocznego na twarzy wzruszenia. Pan O. wyszedł

naprzeciw niego, podał mu przyjaźnie rękę i rzekł: „Cieszę się bardzo widząc pana! Nieznośna moja podagra jeszcze mnie nie odstąpiła, ale nie mogłem przejeżdżając blisko miasta nie obrócić tędy drogi, aby powinszować panu blizkiego wesela i pomówić z nim o jednej rzeczy — ale najpierw proszę przedstawić mi narzeczoną!”

Jakobi uczynił to z radością. Pan O. wziął rękę Ludwika i rzekł: „Życzę pani szczęścia w związku z jednym z najlepszych i najzaciewniejszych ludzi jakich znam. Miło mi powiedzieć to osobiście narzeczonej Jakobiego.” Spojrzał na nią uprzejmie lecz przenikliwie i pocałował jej rękę. Ludwika zarumieniła się i widocznie więcej była zadowolona, niż się to zgadzało z jej poprzedniem postanowieniem niedbania o excelenę. Jej siostrą przypatrywał się także pan O. bystrym wzrokiem, który zdawał się badać więcej duszę niż ciało. Z widocznym upodobaniem spoczęły jego oczy na Gabryeli, przyczem rzekł powoli: „Miałem także córkę, jedyną — straciłem ją.” Smutne uczucie zdawało się go obejmować, ale powściągnął je, wstał, poszedł do Jakobiego i rzekł głośno i uprzejmie:

„Mówiłeś mi, kochany panie Jakobi, kiedyśmy się ostatni raz widzieli, że chcesz otworzyć w Sztokholmie zakład wychowawczy dla chłopców. Cieszę się tém, bo wiem że niepospolicie jesteś uzdolniony ku nauce i wychowywaniu młodzieży. Chcę

umieścić u ciebie małego ucznia — mojego syna! Wyświadcysz mi istotną usługę podejmując się tego, gdyż za dwa miesiące, w którym to czasie pragnę ci go powierzyć, wyjeżdżam w dość długą podróż, i radbym zostawić syna mego w dobrym ręku. Chciałbym aby dwa lub trzy lata został pod twoją opieką. Nie potrzebuję dodawać, że gdybym ci nie ufał najzupełniej, nie powierzałbym ci co mam najdroższego na ziemi. Dla tego nie zostawię ci żadnych przepisów, oprócz tego jednego: uważaj duszę jego jak złoto, a ciało jak srebro, zwłaszcza w pierwszych czasach. A jeżeli prosby mogą wyjednać macierzyńską troskliwość, to zanoszę je do Pani, dodał zwracając się do Ludwika. Uważaj pani na moje dziecię, on już nie ma matki.”

Z żywym wzruszeniem przyciągnęła Ludwika chłopczyka do siebie, uściskała go i ucałowała serdecznie. Uśmiech radości rozjaśnił oblicze ojca, którego żadne słowa Ludwika nie byłyby tak uspokoiły, jak ta niema, ale wyraźna odpowiedź serca. Jakobi słuchał ze łzą w oku, wiele nie zdołał odpowiedzieć, ale pan O. zrozumiał go i uściśnął mu rękę serdecznie.

„Czy nie można koni kazać wyprządz? Czy wasza excelenca nie zechce z nami obiadować?” proszono serdecznie.

Ale „niepodobna” jakkolwiek by sobie tego ży-

czył. Obiecał się na obiad do hrabiego X. w S. o trzy mile za miastem.

„Ale śniadanie—mała przekąska, która natychmiast będzie podana. Mały hrabia Axel pewno chętnie przyjmie śniadanie,“ zapewniała uprzejmie Ludwika, opiekując się już teraz przyszłym uczniem męża. Mały hrabia Axel nie odpowiedział „nie“, a excelencya coraz weselszy i serdeczniejszy przyjął śniadanie w tak miłym towarzystwie.

Z pośpiechem i zadowoleniem nakrywał Bergstrem stół dla wysokich gości. Tymczasem pan O. z widoczną przyjemnością rozmawiał z Jakobim i Ludwiką, do téj ostatniej często zwracając mowę i badając ją. Matka i narzeczony cieszyli się w sercu, że przy właściwym jej spokojowi i rozsądku bardzo dobrze egzamin odbyła.

Przy oknie bawił Axel Gabryelę swoim nowym złotym zegarkiem, repetierem, zmuszając go do wybijania godziny, co spokojnego chłopca bardzo zajmowało, a Gabryela stosując się do niego, dziwiła się przymiotom zegarka, słuchała jego uderzeń, a swą szczerą wesołością i żartami ujęła sobie zupełnie chłopczyka.

Śniadanie było gotowe, szczęśliwy Bergstrem wniósł je, pan O. jadł i chwalił, a będąc znawcą, prosił Ludwikę o przepis niektórych przysmaczków; przyczém wypił maderą zdrowie narzeczonych.

Przy końcu śniadania wrócił radca do domu. Niezawisłość jego charakteru prawie z dumą graniczącą odbiła się zapewne i w ukłonie jakim powitał hrabiego O., a na który ten ostatni odpowiedział trochę z pańska, ale po chwili przymus zniknął ze stron obydwóch. Poznali i ocenili nawzajem jeden drugiego charakter i dążności, i rozmawiali tak żywo, że excelencya dłużej jeszcze niż dwie godzin bawił.

Żalujemy hrabiego w S. i jego obiadu, bo pierwszy musiał czekać, a drugi wystygł, ale nic na to nie możemy poradzić.

Pan O. odjechawszy, mile po sobie zostawił wrażenie; jego zachowanie się i rozmowa każdego ożywiły. Jakobi podskoczył wesoło, uściskał Ludwikę i rzekł:

„Cóż powiesz, Ludwisiu, o tym człowieku? I ucznia mamy, który dwudziestu innych pociągnie. Ludwika pogodziła się zupełnie z excelencyą. Bergstrem zyskał odtąd nową rachubę czasu. Wszystko co się zdarzyło było odtąd „przed“ albo „po“ bytności „jego excelencyi.“

„Tam do diabła! To był excelencya O.“ rzekła kochana siostra Bask, do kochanej siostry Suur. „Ktoby to myślał! I po to tylko przybył do miasta, aby odwiedzić Franków. Jadł tam śniadanie i za-

trzymał się kilka godzin. Jest nawet krewnym radczyni.

„Jój krewnym? Tak on jest jój krewnym, jak ja siostrzenicą króla. Z pewnością nie!“

„Tak, tak, nazywał ją przecież „łaskawą kuzynką.“ Trzeba przyznać, że radczyni ma w sobie coś delikatnego i pańskiego. Nie widziałam jeszcze kobiety, któraby takie ręce miała.“

„Hm? wielka sztuka po pańsku wyglądać i piękne mieć ręce, kiedy kto je myje w różanej wodzie, nic niemi nie robi, tylko się przechadza po domu! wiem ja to dobrze.“

„Tak, tak! kto chce się przydać na coś w domu, ten nie może mieć takich rąk, siedzieć i cały dzień romanse czytać. Radabym wiedzieć, jakby było szło pieczywo nieboszczykowi Suurowi (przez które doszedł do hurtownego handlu), gdybym ja się była chciała bawić w wielką panią. Nie, żebym nie mogła — kochana siostra wie, że miałam także skłonność do gryzmolenia i pisania, tak mi Boże dopomóż; gdyby był mój zdrowy rozum prędko szaleństwu końca nie położył, stałabym się może znakomitą autorką, drugą Staell! Ale poszedłszy za nieboszczyka Suura, postanowiłam dać pokój głupstwu, a pilnować pieczywa chleba i bułek; teraz zaniedbałam zupełnie moje talenta, i Frankowie już mnie nie uważają za stosowne towarzy-

stwo i coraz więcej się wznosząc, coraz bardziej się od nas usuwają.

„Niech się wnoszą jak chcą, ja pewno się im kłaniać nie będę — przyrzekam to im — absolutnie nie będę. Gniewa mnie tylko, że Anusia sobie znie-mi rady dać nie może. Kiedyś mi ją zabiorą ze wszystkiém — to będzie jedyna wdzięczność za wszystko co dla niej robię, ale tym państwu powiem, że ani im, ani excelenicy nie myślę się kłaniać. Że jeden tak dobry jak drugi. Z pewnością powiem!“

XIII.

WIECZÓR W WILIJĄ ŚLUBU.

„Bóg niech młodzież błogosławi! Ale gdy pomyślemy, że dzieci wcale rzadkością nie są, musimy się dziwić, że ludzie takie wielkie rzeczy robią ze swoich dzieci. Kochane dziecieczki, aniołki, czasem dobrze dokuczą. A najnieznośniejsze, to jest pierwsze dziecko w domu. Mają go za szczęście, że cud i nigdy dosyć nie jest zarzucone pie-szczotami i podarkami od matki, ciotek, krewnych i całego świata. Gdy krzyczy i wrzesz czy, to niezawodnie geniusz się w nim ukrywa, gdy milczy to na filozofa rośnie. Zaledwie ma tydzień, już rozu-

nie po szwedzku, a nawet obce języki. Gdy —uka— si, słodki aniołek! On ma ząbki, kasa w istocie, ach to rozkosz boska. Gdy przybywa drugie dziecko, to już o połowę nie jest tak cudowne, krzyki i ząbki nie tak zadziwiające. Przy trzecim już wcale nie ma nic cudownego. Ciotki wstrząsają głowami i mówią: „nie brak dziedziców w tym domu, no no, byle tylko wystarczyło wszystkich wyżywić!“ Daje Bóg czwarte, piąte, szóste, — wtedy już przestrasch. Rodzice zgadzają się z wolą Bożą, ale przyjaciele żalują ich: kochane dziecieczki! co to z tego będzie? Dom pełen dzieci! Niedaleko do tuzina! Biedna kobieta! z tego można zachorować na ciele i na duszy. Tak, tak, moi przyjaciele, takich rzeczy nie kładą w romansie, ale tak się dzieje w rzeczywistości! Tak!“

Takie i tém podobne kazanie prawila marszałkowa narzeczonym w wilią ich ślubu. Wieczerała tego dnia u Franków i od czasu do czasu dawała pożyteczne na przyszłość nauki. Jakobi śmiał się serdecznie z rozprawy o dzieciach i szukał spojrzeń Ludwiki, ale te były zwrócone na półmiski, które podawała z poważną twarzą. Radca i Eliza spojrzeli na siebie z uśmiechem i podali sobie ręce. Cała rodzina była tego wieczora w różowém usposobieniu. List do Petrei zadowolnił kochających ją, a Ewa siedziała w kole rodzinném, wracająca do zdrowia, z blademi różami na licach. Radca sie-

dział między Ewą i Eleonorą i kreslił na karcie plan przyszłej podróży letniej. Miano zwiedzić dolinę Tiste, Ringeriget, Tellemarken, przez Drontheim udać się do Norrlanda i widzieć tam słońce świecące o północy.

Gabryela oglądała swoje kwiaty i podała mirt, z którego nazajutrz miała wic koronę dla Ludwiki. Jakobi siedział obok matki i zdawał się mieć ję wiele do powiedzenia, nie słyszano co mówił, ale kilkakrotnie pocałował ją w rękę, jak gdyby ję dzię— kował za szczęście swego życia. Oddychał pokojem i radością. Wszystko już było przygotowane na dzień jutrzejszy i nie odwoływano nikogo od pogadanki wieczornej. Ślub podług życzenia Jakobiego miał się odbyć w kościele, po czém następował obiad „en famille.“ Wieczór w najętém na ten cel pomieszkaniu miało się zgromadzić liczne towarzystwo. Sala duża, z ogrodem obok, została na ten cel wybrany. Było to wolą radcy, ażeby po raz ostatni, może na lat wiele, zebrać licznych znajomych i przyjaciół swoich i córki, obaczyć się z nimi i grzeczność im uczynić. On sam z pomocą Eleonory, gotowój zawsze do każdej posługi i Jakobiego, zajął się urządzeniem tego wieczora, ażeby Eliza nie miała ztąd trudu lub niepokoju.

Przy wieczerzy w wilię siedzieli obok siebie narzeczeni. Jakobi uderzył kilkakrotnie swoim talerzem o talerz Ludwiki, co z ję strony wywołało

surowe spojrzenia i napomnienia i dało powód wielu żartom.

Później, gdy się już udano do spoczynku, Ludwika zastała swoją gotowalnię założoną darami narzeczonego, rodziców, rodzeństwa i przyjaciół. Wiele robótek było od Petrei. Te dary obudziły u Ludwiki żywe uczucia radości i żalu, że się z ukochanymi wkrótce rozstanie. Pobiegła ich raz jeszcze uściskać, co się bez łez wzajemnych nie obezło. Ale wieczorna rosa zwiastuje zwykle jasny poranek — tak i tu było.

XIV.

DZIEŃ ŚLUBU.

Jasno i ciepło zaświeciło słońce w poranek Zielonych Świątek. Liście i kwiaty błyszczały rosą poranną, ptaszki śpiewały, dzwony kościelne wesoło dźwięczały. Korona mirtowa wcześniej została uwita,

Matka z Eleonorą i Gabryelą zajęta była ubraniem panny młodej. Spodziewały się, że Jakobi wystąpi z najwyższą wytwornością, a siostry Ludwiki obawiały się, by pięknością swojej osoby nie zaćmił oblubienicy, która mu chętnie na to przyzwa-

łała. Gabryela układała jej włosy — w której to sztuce była mistrzem — pół-otwarte pączki róży powtykała w wieniec mirtowy i przy staraniu i zręczności dokonała w istocie szczęśliwego dzieła. Ludwika pięknie wyglądała w prostą, a piękną ślubną suknię prawie własną ręką uszytą, a zadowolenie i piękny spokój twarzy jej rozjaśniały.

„Tak blado dziś wyglądasz w białej sukni, Ewo, rzekła Eleonora, pomagając jej do ubrania, trzeba abyś wzięła na szyję coś czerwonego, bo inaczej zaniepokoisz pannę młodą.“

„Dobrze Eleonoro. Wezmę ten pąsowy szalik, przy którym i twarz moja wyda się rumianą. Nie chcę już nikogo niepokoić!“

Gdy się rodzina w świątecznych szatach na śniadanie zgromadziła, miły przedstawiała widok. Ojciec rodziny tylko zdawał się być prawie smutny. Gdy Jakobi wszedł, obaczono ze zdziwieniem, że wzruszenie dnia tego nie dało mu przyłożyć wiele starania do ubioru. Wracał z przechadzki, rozgrzany był, włos w nieładzie, widocznie serce miał przepełnione, był jednak pełen godności. Ucałował czule rękę i usta narzeczonej, ofiarował jej

świeżo zerwaną wiązaną polnych kwiatów i pięknie oprawny zbiór kazań najlepszych mówców kościelnych, który to dar, zacna i lubiąca takie książki Ludwika, wysoko oceniła i z radością przyjęła.

Po śniadaniu oddalił się Jakobi, aby ubiór poprawić. Potem wszyscy do kościoła. Pogoda była śliczna, tłumy świątecznie przybranych ludzi spieszły do kościoła, częścią dla kazania, częścią więcej jeszcze dla obaczenia państwa młodych. Miłe zdziwienie ogarnęło rodzinę, gdy od wejścia na dziedziniec do drzwi kościoła, kilka młodych dziewcząt rzucały kwiaty na drogę i sam kościół ujrzeni ubrany w zieloność i kwiaty. Ludwika ujawszy rękę ojca, uczuła dłoń zimną i drżącą, a spojrzawszy w twarz jego wyczytała niepokój.

„Ojcze, rzekła cicho do niego, ja się czuję tak spokojną, tak szczęśliwą!“

„I ja także, dziecię moje,“ odrzekł, ściskając jej rękę; w istocie, wkrótce powierzchowność jego była spokojną i poważną jak zawsze.

Jakobi przez czas obrzędu był mocno wzruszony. Płakał z rozrzewnienia i radości. Ludwika na pozór była spokojna. Twarz jej pobladła, ale oczy świeciły jasno i radośnie — sprzeczność niezwykła u państwa młodych.

W powrocie z kościoła zdarzył się wypadek, który zrobił przyjemność wszystkim, a zwłaszcza rad-

cy. Przechodząc koło resztek spalonego domu obaczyła rodzina rój pszczoł ulatujący po nad drzewami ogrodu. Okrążył go jakby szukając schronienia, zwrócił się nagle ku zwaliskom i usiadł na dawnym ognisku kuchni, chcąc, jak się zdaje, otwór pieca obrać sobie za stałe mieszkanie. Poczytali to wszyscy za szczęśliwą wróżbę, a radca, skoro odprowadził córkę do domu, pospieszył na to miejsce i przeniósł pszczoły w dogodniejsze dla nich schronienie. Gabryela towarzyszyła mu z dziełem barona L. o chodowaniu pszczoł.

Gdy Ludwika matkę znowu uściskała, która zostawała w domu przy Elwie, dostała drżenia nie spostrzeżonego przez nikogo, wyjawszy matkę, ale trwającego parę godzin. Trochę poważniejszą jak zawsze była przez dzień cały. Jakobi zaś, wypłakawszy się, ściskał wszystkich, całował żony swęj usta, włosy, ręce i nogi, i miał ochotę tańczyć z wszystkimi. Tak był rad, szczęśliwy i miły, że wszystkich rozweselał.

O w pół do piątej po południu zgromadzono się w ogrodzie, gdzie muzyka, przechadzka, rozmowa, lody i owoce przyjemnie czas zajęły, a Bóg dawał najjaśniejsze niebo, najspokojniejsze powietrze. Wieczorem tańczono w wielkiej sali. Żadna z pań nie siedziała, zaledwie który z panów mógł stanąć, wszyscy musieli skakać. O balu nie mamy nic więcej do powiedzenia, ale nie możemy pominąć w mil-

czeniu, co po nim nastąpiło. Gdy towarzystwo chciało przejść z sali tańca przez ogród do jadalni na wieczerzę, spostrzeżono, że tymczasem dęszcz mocno padał i jeszcze kropi. Panie się zakłopotwały, bo zostawiły chustki po drugiej stronie, udając się w pogodę do sali. Podług mniemania ludu szwedzkiego, jest to w porządku i szczęśliwie, jeśli dęszcz pokropi ślubny wieniec, jednak ostrożna i oszczędna panna młoda nie miała chęci jedwabne trzewiki zamoczyć. A tamte wszystkie panie potrzebowały chustek. „Zaraz ja wszystkiemu zaradzę“, zawołał Jakobi, ujął zdziwioną oblubienicę w ramiona i przeniósł przez ogród. Co ję przez drogę szepnął do ucha, nie wiemy, ale o tém możemy zapewnić, że ten czyn zjednał mu łaskę u wszystkich pań.

Kilka dni przebyła młoda para po weselu u rodziców, i były to dni radosne, tylko zbyt niepokojne wśród rozrywek, bo wszyscy znajomi i przyjaciele chcieli państwa młodych mieć u siebie i ucieić. Marszałkowa dała obiad, po którym oświadczyła, że z niemi pojedzie do Sztokholmu, gdzie ważne okoliczności wymagają dłuższego ję pobytu. Eliza żałowała że traci w nię wyborną przyjaciółkę, prawie drugą matkę; lecz z drugiej strony cieszyła się, że Ludwika i Jakobi będą ja

blizko mieli. Już tu ich zapraszała, aby często w Sztokholmie u nię obiadowali. Wprawdzie pani Gunilla i Ludwika nigdy zupełnie sobie nie przypadały, bo obie się nawzajem chciały nauczać, ale za to między Jakobim i panią Gunillą wielka była harmonia. Przy pożegnaniu marszałkowa rzekła ze łzami do Elizy i ję męża: „Czy obaczemy się kiedy? Stara już jestem — do niczego się nie przydam na świecie — no, no! Pan o wszystkim dobrze postanowi. A słuchaj, dodała z cicha z uśmiechem do Elizy, o młodą parę bądź spokojna, ja tam nad niemi będę czuwać. Przy pierwszym dziecku zaproszę się na kumę! Może się wtedy spotkamy! Tak, tak, mam przecucie, że się w Sztokholmie obaczemy. Bądź zdrowa kochana, droga Elizo. Bóg z wami moi przyjaciele, On niech wam daje wszystko dobre. Pomyślcie czasem o staręj! Adieu!“

Po trudach spakowania, zwłaszcza rzeczy Ludwika, po smutku przy rozstaniu wróciła w dom spokojność, przerywana tylko miłemi przygotowaniami do podróży na Zachód. Radca w tym czasie jakby odmłodniał, i żywsza jeszcze serdeczność łączyła go z żoną. Tak czasem w pośród jesieni wracają najpiękniejsze dni letnie. Dla czego? Bóg to wie!

Niewidzialny jeniusz naszej powieści prowadzi nas w tej chwili zdala od spokojnego domu, na dalekie wybrzeże, gdzie widzimy

XV.

POKÓJ CHORÉJ.

Jeśli słońce świeci nad głową Ukrzyżowanego, jeśli ptak śpiewa wesołą piosnkę w obec rozdartego serca, to się nam srogiem zdaje. Ale nieświadoma ironia natury nigdy tak gorzką nie jest, i piękną pozostaje w porównaniu z ironią rzeczy ludzkich. Tu właśnie mamy taką próbkę. Patrz na te świecące fałszywe kamienie, te kawałki różowej gazy, resztki teatralnego stroju! Zdają się one szydzić z nędzy panującej w pokoju, a jednak gdzież im właściwsze jak tu otoczenie. W lichém pomieszkaniu brakuje światła, brakuje nie tylko wygod, ale niezbędnych potrzeb życia. Na nędzném łożu leży kobieta, która musiała zapamiętać dni piękniejsze, sama jeszcze jest piękną, choć cierpienia pomarszczyły przedwcześnie młode lico. Gorączka pali zapadłe policzki, świeci w czarnych oczach, jęj usta poruszają się dziko, — ale nie ma nikogo, kto by przyjazną ręką ochłodził spalone usta, rozgrzane

czoło, żaden napój łagodzący nie stoi koło łóżka. Dwoje nowonarodzonych dzieci leżą krzycząc koło choréj matki. Niespokojne przewidzenia zdają wstrząsać nieszczęśliwą w gorączce. Czasem podnosi się na łóżku z dzikimi ruchy, ale bezsilna upada napowrót; blade, skurczone usta mówią następne, bez związku słowa z rozdartego wnętrza:

„Gorzka to.... gorzka droga! Ale muszę.... muszę do nóg upaść aby.... pomocy! Moje siły złama-
ne.... nie zdołam.... słuchać krzyku dzieci w pół
nagich, głodnych! Rodzice! rodzeństwo! pomóżcie!

.
Noc jest! Wiatr zimny wieje! Strach mnie bierze....
Fale wznoszą się i wznoszą... Pędzą łódź na brzeg, —
chcą roztrzaskać o skały!... Ach... czemuż od razu
wśród burzy nie przepadła w morzu? Tak trudno
umrzeć! A ty któryś winien wszystkiemu — siedzisz
zimny i patrzysz na to. — Nędzny samolubie! Nie
masz-że serca w piersi? Świątynia w gruzach, a ty
który ją rozwaliłeś wychodzisz z gruzów! — — Ja
nie wiedziałam co to nieszczęście: — — nie wiedzia-
łam że to tak jest! Nędza!.... Ale ty niegodziwy,
który...

„Cicho! Czy to ona? Czy to moja matka przy-
brana wchodzi tak jasna, miła i cicha? Rozja-
śnia się. Ona położy ciepłe ręce na moje dzieci,
koldrą je otuli, jak to ze mną czyniła. „Siedzi go-
łęb na gałazce liliowej!“.... Czy to ona? Nie, to

księżyc, wygląda blade z czarnych chmur. Jak zimno patrzy na mnie i na moją nędzę! Precz! precz!”

„Siostry, ja pragnę! Czyż żadna z was nie poda mi kropli wody? Wszystkie, wszystkie opuściłyście mnie.... Ale w mojej głowie tak dziwnie. Może ja zwaruję jeśli dłużej pić będę chciała. Tak ciemno! Boję się!... Boję się czarnego ptaka!... Skoro on powróci, to będzie znowu rozdzierał mi serce.... Ale gdy raz wyzdrowieję i siły odzyskam, to go zabiję.... własnymi rękami go zniszczę! Dzień i noc knot się pali w lampie mego serca, zowie się on *nienawiść*, a oliwą jest *gorycz*....“

„Kiedyż odzyskam siły? Widzicie jak źle obchodzicie się ze mną, jak przywiązaliście mnie do tego łóżka? Słyszycie krzyk dzieci? Dzieci które przez srogie obejście się ojca ze mną, zawcześnie przyszły na świat i umierają. Dajcie jeść dzieciom, na miłość Boską, siostry! Niech ja umrę, ale dzieci ratujcie!”

„Teraz ucichły! Dzięki! Dzięki! Czy jutro umrę? Nie, nie, jeszcze nie!... Głębia tak ciemna! Ha! co za przepaść!...“

„Wkrótce nadejdzie czarny ptak! Uciekłam przed nim, — ale on mnie dogonił i wydarł mi skrzydła, już nie mogę lecieć....“

„Pomóżcie mi, muszę się ubrać. Dajcie mi moje strojne suknie! Prędko! Wieczór wystąpię przed

ludźmi, żeby mnie podziwiali, abym słyszała oklaski, wywoływania, aby mi wieńce u nóg padały! Widzicie siostry jak to wspaniałe, to jest czas w którym się żyje, prawdziwe upojenie się radością! Widzicie, jak to błyszczy, promień! Słyszycie oklaski? Co za hałas? Ale czemuż przebrzmiał? Czemu znowu cicho? Cicho i ciemno jak w grobie!... Była to krótka radość! Przeklęty ten, kto ją tak krótką uczynił! — —

„Nie patrz tak ostro na mnie, ojcze przybrany. Czyż nie dość już jestem biedna? Twój wzrok surowy — przebija mnie! Daj mi twą rękę, abym ją złożyła na palącą skroń moją!... Ty odwracasz się. Odchodzisz! O!!!

Tak tu samotnie! Brzeg ma takie twarde kamienie! Trudno je rozbić!...

„Nie chcę umierać! Jeszcze młoda jestem, — tak chciała życia! Niechcę zapaść w wieczne nic! Nie!..“

„Kto mnie uratuje? Oto nadchodzą szumiące, fale!... A może to wasze białe ręce, siostry, które do mnie wyciągacie? Czy to was widzę jakby szare mgliste cienia błędzące po tym trupów wybrzeżu? Czy pomarliście także? Słyszycie hałas? To jest śmierć! To czarny ptak nadlatuje! Teraz muszę uciekać!... Uciekać... albo... umrzeć!“ . . .

Z gwałtownym wysileniem podniosła się niechętnie z łóżka, postąpiła parę kroków i upadła

bez życia. Głowę uderzyła się o krawędź łóżka, i krew wytrysła z jej skroni.

W tej chwili wszedł cicho wysoki, czarno ubrany mężczyzna. Jasne włosy otaczały szlachetne, nie młode już oblicze; słodki, a poważny wyraz twarzy, kochający wzrok niebieskich oczu wskazywały lepiej jeszcze jak suknie które nosił, czym był sługą. Za nim szła kobieta, której nie ładną twarz ozdabiał podobny wyraz piękności duszy jak u mężczyzny. Z głęboką litością obejrzał się mąż ten po pokoju i zbliżył do łóżka. „Wielki Boże!“ szepnął — przychodzimy za późno. Podobno już dzieci nie żyją, i — matka także!“

Od ciemnego tego obrazu odwróćmy teraz oczy i zatrzymajmy je na jaśniejszym, ukazując nam.

XVI.

KRAJOBRAZ.

Na jednej z gór Dowrefela widzimy troje podróżnych, starszego mężczyznę i dwie młode kobiety. On zdaje się nie lękać trudu dla siebie, ani dla nich, zdaje się chcieć ćwiczyć ich siły, z niemi igrac. Ale czyni to z taką miłością, tak troskliwie i serdecznie podaje im rękę, zachęca je, by jeszcze troszkę sił natężyły, a obaczą widok najswspanialszy, wypoczną, pokrzepią się „w chatce odpoczynku.“ Córki idą za nim z uśmiechem, dla niego prze-

zwyciężają słabość sił i znurzenie. Teraz już są na szczycie — i nie żałują trudu! Świat leży przedniemi tak bogaty z górami i dolinami, ciemnymi lasy, żyznemi równiny, a dalej łączy się niebo i morze w uroczystym spokoju. Z wykrzykiem podziwienia wyciągnął ojciec ręce ku wspaniałemu widokowi, a wiatr górski, tu nie bardzo ostry, łagodny jak tchnienie wiosenne, ochłodził miłe lica podróżnych. Ojciec idzie do „chaty wypoczynku“ aby dostać mleka dla siebie i swoich. Tymczasem jedna z córek spoczęła na kamieniu mchem obrosłym ścianę skały mając za sobą, Kwitnące i pachnące rośliny wiją jej wieniec u nóg, a radośne śpiewy ptaków rozlegają się z doliny. Siostra stojąca przy niej, (ona o nią wspiera głowę, podczas gdy wiatr igra z ciemnymi jej włosy,) patrzy na wspaniałe ręką natury sadzone ogrody, na jasny strumyk między zielonością drzew, jej zaś kochające, a nie namiętne serce cieszy się widokiem, zdającym się mówić: „tu można żyć cicho i spokojnie!“ W tem słyszy swe imie wymówione miłym głosem Ewy, która wzrokiem i ręką wskazuje na niebo, gdzie się właśnie chmury rozdzielają, a oczy jej niebieskie świecą jak przyjaźne światełka, gdy tklawie uśmiechając się mówi: „Eleonoro, widzisz, wyjaśnia się!“

„Wyjaśnia się? Dzięki Bogu!“ szepnęła Elenora a łzy radości zapęłniły jej oczy, gdy przytuliła w milczeniu twarz swą do czoła siostry.

„Czuję i myślę jak ty Gabryelo, zwłaszcza gdy jestem z moimi, w domu. Chętnie więc żyję na ziemi, przynajmniej jak długo nie jestem lepiej do śmierci przygotowany. Ale właśnie pragnę żyć i działać, tak, aby urzecz z pewnością co we mnie leży, — tu rwie się i tęskni do wolności duch jeszcze spętany.“

„Dziwnie,“ rzekła Gabryela wpół nierada, „jak niepodobni są ludzie do siebie! Do działania nie mnie nie pociąga. Ja niegodna mniemam, że najmiliej jest nic nie robić!“ I wsparta piękną główkę z wpółprzymrużeniami oczyma o matkę, która spojrzała na nią jakby mówić chciała: „Żyj tylko — a doryć dla mnie czynisz!“

Petrea mówiła dalej: „Kiedy słyszę lub czytam o ludziach, którzy dla wielkiej myśli żyli i działali, przez których ludzkość postąpiła, którzy wszelkie swe siły, wszelkie technienie temu oddali, dla tego cierpieli i pomarli, o! wtenczas płaczę z gorącej tęsknoty, pragnę podobnie życie moje poświęcić. Oglądałam się, słuchałam, czekałam i pragnęłam sposobności. Ale świat przeszedł swoją koleją. Nikt, nic mnie nie potrzebowało!“ Petrea śmiała się i płakała razem mówiąc to, ze łzami i z uśmiechem słuchały ją matka i Gabryela. Mówiła dalej: „Gdy się zdarzyła sposobność pójścia za mąż myślałam, że tu może znajdę zakres działania. Ale czuję niestety, że nie byłby to właściwy dla mnie, zwłaszcza z człowiekiem innych dążeń, innych upodobań jak ja,“

„Ależ, dziecko kochane,“ przerwała matka trochę niespokojnie, jakżeż przyszło do tego że on pewny twojej sympatii i prosi o rękę? Z listu widać że najlepszą ma nadzieję przyjęcia, myśli że doskonale sobie przypadacie.“

„Ach!“ odrzekła Petrea zarumieniona i trochę zmieszana, „To miało dwie przyczyny, częścią moją, częścią jego winę. Na wsi, gdzie go poznałam, był on bardzo sobie zostawiony, nikt o niego nie dbał. Nudził się, zaczęłam go więc troszkę rozrywać.“

„Bardzo szlachetnie!“ przerwała Gabryela z uśmiechem. „Nie tak bardzo jak mniemasz,“ odpowiedziała Petrea rumieniąc się na nowo, „bo — najpierwej chciałam jego rozerwać, ale potem i samą siebie chciałam rozerwać. Wistocie to prawda że... że... ja nie miałam nic do czynienia, a zajmując się panem M. — steldem, myślałam, że nie będę się tak nudzić, jeśli i jego sobą zajmę. Dla tego rozmawiałam z nim nieraz o różnych przedmiotach, przygotowywałam mu morele, opowiadałam dla niego różne rzeczy, śpiewałam wieczór dla niego. „Zejdź o gwiazdko!“ i niebroniłam mu wierzyć jeśli zechce, że on tą gwiazdką.... Matko, Gabryelo, przebaccie! Wiem sama, że nie dobrze czyniłam.... ale niewiecie jak to niebezpiecznie siedzieć bez zatrudnienia, z duchem chciwym czynności: i mieć

przed sobą cel, który... śmiejecie się! Bóg niech wam za to błogosławi! Wistocie rzecz ta nie zasługuje, aby się na nią traicznie zapatrywać — ale stałaby się traiczną, gdybym ją wzięła na seryo i za pokutę moich grzechów poszła za pana M.—skeld. Jaby dla niego miała tylko wartość jako rozrywka i gospodyni domu, a tego bym długo nie wytrzymała. On mnie istotnie nie kocha; ani kochać może, i łatwo się pocieszy po odmownej odpowiedzi.“

„Niech się więc pociesza, a ty przestań myśleć o całej tej rzeczy,“ dodała żywo Gabryela.

„I ja tak myślę.“ rzekła matka, bo pójść za mąż tylko aby mieć zaopatrzenie, swój dom, nigdy dobrem nie jest, a w twojem położeniu zupełnie niepotrzebne. Ty wiesz drogie dziecię, że mamy dosyć dla siebie i siebie, a stosowny zakres działania znajdziesz niezawodnie. Ojciec wkrótce powróci do domu, nim się naradzimy, on nam pomoże.“

Petrea westchnęła i rzekła: „Przeczuwałam wprawdzie, myślałam, może tylko marzyłam.—przecież to żyje w mojej duszy— że jest droga, jest czynność, która by mnie według sił moich uczyniła użyteczną i szczęśliwą. Nie mam już tak wielkich pretensji do świata jak dawniej, mniej wierzę w siebie ale gdybym mogła jak isierka spłynąć w światło, które ludzkość przenika i dusze ludzkie pokrzepia być jednym, drobnym w nim atomem, dziękowa-

łabym Bogu i czuła się szczęśliwą. Wiecie, że zrobiłam próbę—że spisałam w księgę coś z tego co we mnie żyło i żyje, i posłałam rękopism pod sąd światłego wydawcy, aby jeśli wyrok wyda łaskawy puścił go w świat. Jeśli się to poszczęści, to otworzy mi się zakres działania,—będę jeszcze użyteczną i szczęśliwą, moich ucieszę i...“

Tu przerwano mowę Petrei, podając jej duży pakiet papieru do niej zaadresowany. Z tajemną obawą chwyciła go Petrea, a serce biło jej mocno gdy oderwawszy pieczęć, ujrzała swój rękopism. Światły wydawca odesłał go nazad, z listem zawierającym niemiłą wiadomość, że nie może się podjąć druku tej książki, ani nic za nią ofiarować.

„Więc i ta droga zamknięta,“ rzekła Petrea, i wsparła czoło na ręce, aby niewidziano, jak ją to boli. Zawiodła się na swoich zdolnościach. Droga ta zamknięta—coż przedsięwziąć? Czy pójść za pana M.—skeld? Ciemności ją ogarniały.

Ale Gabryela nie myślała wcale, aby już zawód literacki miał być dla Petrei zamkniętym, gniewała się na księgarza. „On się pewno nie zna i niema smaku dobrego!“

„Ach,“ rzekła Petrea na wpół z uśmiechem, „jaby sobie także tak chciała pochlebiać, gdyby tylko książka została wydrukowaną, wtedy można by...ale o tém nie ma co myśleć!“

Gabryela przeciwnie znajdowała że warto o tém

mysleć i nie wątpiła wcale, że wten lub wów sposób znajdą się środki, a pan wydawca przekona się o swej niesłuszności.

Matka zgadzała się z Gabryelą, radziła tylko czekać przyjazdu ojca, który wszystkiemu zaradzi.

Bądź tylko spokojną, dodała łagodnie pocieszając, rozważemy tę rzecz, a środki drukowania znajdą się troszkę poczekawszy.

„I możesz mieć w domu tyle spokoju i wolności, ile zechcesz; dodała Gabryela; „chcesz cały dzień czytać i pisać, to nikt ci nie przeszkodzi, ja będę się bić z wszystkimi twymi przyjaciółmi i znajomymi, jeśli to potrzebne do zachowania twej spokojności. Przyjdę tylko i powiem ci, kiedy czas na śniadanie, a kiedy na obiad; przyjdę w dzień odejścia poczty, zapukam do drzwi, zabiorę twe listy i wyprawię. Wieczór — to przyjdziesz do nas, a obaczysz jak będziemy ci radzi. Będziesz się czuła szczęśliwą, wśród umiających cię ocenić. A twoją książkę poszlemy w świat i jęj się jeszcze musi dobrze powieść!“

Głosy drogie! głosy w szczęśliwój rodzinie, w jakimże wypadku, w jakim smutku nie zdołały byście pocieszyć!

Petrea uczuła zbawienny ich balsam. Płakała łzami miłości i wdzięczności. Godzinę później stała przy oknie i patrzyła na krajobraz. Boże Narodzenie się zbliżało, wszystko było w poruszeniu

w mieście, by obchodzić wesoło piękną uroczystość. Postawiono namioty na rynku, a ludzie kupowali.

Ptaszek przyleciał i usiadł na ramie okna, spojrzął na Petrę, zaświegotał wesoło i poleciał dalej. Orzeźwiające uczucie przeniknęło Petrę.

Tys ptaszynko, wesoła, pomyślała, wiele istot weseli się. Moja niepomyślność nikomu nie szkodzi, nikogo nie boli. Czemuż mnie tak uciskać? Świat jest wielki, stwórca możny i dobry. Jeśli ta droga nie dla mnie, to wskaże mi inną!

I była wesołą wieczór wśród swoich.

Ale gdy noc nadeszła, a Petrea ujrzała się samą, gdy świat zewnętrzny nie ukazywał już rozlicznych swych obrazów, gdy nie słyszała obok siebie żadnego miłego, kochającego głosu, wtedy boleść i niepokój wróciły w jęj pierś.

Nie mogąc spać, parta nieprzewyciężonym popędem, usiadła z westchnieniem, wzięła nieszczęśliwy rękopism i zaczęła go przeglądać. Spostrzegła niejedno podkreślenie ołówkiem lub paznokciem, znak pytania, z czego widać było, że znawca przeczytał rękopism i wydał wyrok: „Nie ma wartości!“

Ach! na jego wartość Petrea tyle liczyła, tyle już snuła miłych nadziei dla siebie i rodziny. Czyż to wszystko napróżno? Petrea czytała. Poznała słuszość niejednego zarzutu zapisanego na brzegach

rękopismu; ale coraz bardziej się przekonywała, że one się tyczą więcej drobnostek, pojedynczych wyrażen. Petrea czytała i czytała i mimowoli własnem dziełem czuła się porwaną. Serce jęj wzrosło, oczy zapłonęły i nagle ożywiona uczuciem, które bez wątpienia, (jakkolwiek porównanie tu zajść nie może), wzmocniło Corregia i pocieszyło Galileusza, powstała, położyła ręce na rękopism i zawołała:

„Ma wartość!”

Żywo wzruszona poskoczyła do Gabryeli, uściśkała ją z uśmiechem i rzekła:

„Obaczysz, że ja jeszcze dojdę do celu!”



CZEŚĆ CZWARTA.

I.

PETREA DO IDY.

Z mojej pustelni, pokoju pod strychem.

„Złudzenia, złudzenia!” wołasz przy każdej radości, wierze, miłości w życiu. Z całych sił odpowiadam ci i wołam twemi słowy: ludzisz się, ludzisz! To od tego zależy w co wierzymy, co kochamy. Piękność i wartość życia miałyby dla nas kobiet przemijać wraz z pierwszą wiosną, z kwiatem miłości! Nie, temu nie wierzę, Idol! Takie mniemanie jest więcej złudzeniem, niż cokolwiek innego w świecie. Życie jest bogate: jest to drzewo wiecznie zielone, bo czerpie soki żywotne z nieśmiertelnych źródeł. Kwiaty jego są rozmaite, nie równej farby i blasku, ale piękne są wszystkie, nie zapoznawajmy żadnego, we wszystkich ukryty wieczny owoc życia.

Bremer, Ognisko. T. II.

Młodzieńcza miłość! — promienisty kwiat świata! Któżby zaprzeczył jej uroczącej piękności, któżby nie dziękował Stwórcy, że nią obdarzył dzieci tej ziemi? Lecz wszystkim tym, którzy piją jej nektar, wszystkim, którzy go są pozbawieni, wołam, że są inne, równie szlachetne kwiaty, nie wędniejące wśród mrozów życia, kwiaty z których kielicha napawamy się życiem z żywota Bożego.

Gdybyśmy tylko wiedzieli, jak blisko nas mieści Opatrzność źródło naszej szczęśliwości, gdybyśmy umieli od dzieciństwa je pielęgnować i z niego korzystać! — Rzadko wówczas życie nasze szłoby przez ponure pustynie. Szczęśliwe są dzieci, którym już wcześniej rodzina i dom ojcowski otworzą oczy na rzeczywiste bogactwo życia. Dowiedzą się one jaka słodycz, radość i pokój płynie z błogich rodzinnych węzłów, z serdecznego związku między rodzicami i dziećmi, jak godne ocenienie tych stosunków w młodości, daje pokój w latach późniejszych.

Chcesz, abym ci doniosła o moim domu, mój rodzinie. Jak zacznę o tém, Ido, to nie prędko skończę. Ten przedmiot jest mi tak obfity i drogi, a jednak — jak słabym będzie obraz, który skreślę, jak martwym w obec rzeczywistości!

Dom, który jest dla rodziny, jak ciało dla duszy — powstał znowu z popiołów, tam właśnie, gdzie przed jedenastu laty został spalony. Gdybyś była

ze mną, dziś na śniadaniu w bibliotece! To właśnie dzień urodzin Eleonory, a nasza rodzina przygotowała jej niespodziankę drobnymi dary, zgodnymi z jej upodobaniem (bo łączącymi ozdobę z wygodą). Dary były nieznaczne: — jednak sprawiły nam wiele radości. Ze łzami w oczach przyjęła je, i myśmy ofiarowali je ze łzami. Bez słów, w milczeniu czuliśmy żywo nasze szczęście i miłość, jaka nas łączy. Słońce rzuciło właśnie swe promienie do pokoju — widzisz Ido, promień słoneczny zaglądający w dom codziennie, jest najlepszym obrazem jego stanu, miłości, która mu przyświeca, bo rozjaśnia ciemności i chmur nawet używa, ku podniesieniu światła. Teraz, abyś moja droga Ido, tego obrazu zbyt czułym nie nazwała, opowiem ci o wszystkich córkach rodziny. Zaczynam — bo cześć trzeba oddać, komu cześć się należy, przedstawieniem ci

„naszej najstarszej siostry“

Znaną z pracowitości, moralności i prawienia morałów, poważnych min i wielu dobrych przymiotów. Poszła ona za mąż przed jedenastu laty z zbyt małym, prawie żadnym mieniem ziemskim ale i mąż i ona umieli nie zakopywać talentów pod ich opiekuńczymi rękami dom ich stał się, domem dobrze zaopatrzonym. Ośmiu Jakobinów w nim powstało, ale do żadnej rewolucji nie przyszło, bo

wzorową moralność wyssali już z mlekiem matki. Nazywam ich „olbrzymami“ z powodu niezwyklej siły i szybkości tych dzieciaków, na których liczymy ku obaleniu pewnej przegrody — ale o tém później — w tym celu jednak i w nich i w matce staram się rozniecić rodzaj dumy staro-gockiej.

Dalej więc Jakobi i jego żona zawiadywali zakładem wychowawczym dla chłopców, on ich uczył historii, łaciny i t. d. ona myła, czesała, moralizowała i rzeczywiście niejednemu sierocie zastąpiła matkę — to trwało lat jedynaście, teraz zaś Pan nasz niebieski własce swój powołał Jakobiego, nie do wieczności jeszcze, ale przez swego anioła t. j. konsystorza, na miejsce pastora w naszym mieście. co było celem ich najwyższych życzeń, odkąd się połączyli. Ich sprowadzenie się tutaj sprawia wielką radość obydwom naszym rodzinom (trudno rozstrzygnąć której więcej). Tak Ludwika będzie pastorem i na pożądanem stanowisku, by morały rozdzielać, których część zasłużoną siostra Petrea z pokorą przyjmie. Morały Ludwiki mają teraz więcej słodyczy, nie tak surowe jak dawniej wpłynął na to Jakobi. Stało się z niemi jak to się dzieje w każdym szczęśliwym małżeństwie i oboje się nawzajem udoskonalili, a cała nasza rodzina utrzymuje że ona bez niego nie byłaby tem czem jest dzisiaj, ale on bez niej, jeszcze dalej by pozostał za obecną swoją wartością.

Róża rodziny, Ewa, przeżyła raz w życiu wielki smutek, ciężką walkę, z której wyszła zwyciężko. Prawda że obok niej szedł anioł i pomagał jej. Odtąd miła drugim i sobie, żyje na pociechę rodziny, zająca i zadowolona, rozdzieliła kilka kosztów, lecz w krótkce zapewne już nie będzie miewała do tego sposobności. — Mówiłem że w ciężkiej walce miała przy boku anioła. Przed laty był ten anioł brzydką, nie miłą dziewczyną, sobie ciężarem, a nikomu radością. Teraz nikt w rodzinie nie jest więcej szanowany i kochany, nigdy z pomocą Bożą korzystniejsza zmiana nie zaszła. Chętnie dziś każdy do Eleonory się zbliża, na nią patrzy. Rysy jej twarzy wprawdzie się zmieniły, nie stała się białą i rumianną, ale upiękniał ją w istocie wyraz — miłości i rozumu, pokoju, zapomnienia o sobie, a uprzejmości dla wszystkich. Jedynym jej celem wszystkim pomagać i służyć, każdy szczególną pokładając w niej ufność i stała się sercem, spokojem naszego domu — a przy tem sama, dobrem drugich szczęśliwą. Najserdeczniejsza jedność między nią i Ewą, żyćby bez siebie nie potrafiły.

Wiesz przedsięwzięcie, którego podjęły się siostry w młodych jeszcze latach, wiesz jak im się wiodło, jak zakład ich wychowawczy dla dziewcząt pozyskał im ogólny szacunek i zaufanie, a po dziesięciu latach pracy, skromne, a od zakładu już nie zależne utrzymanie. Gdyby chciały żyć wyła-

czniej dla rodziny mogłyby teraz usunąć się od kierownictwa zakładu i zdać je na Annę P. która potrafiłaby je zastąpić, bo wzięta niegdyś przez siostry za pomocnicę, wyrobiła się pod ich wpływem na osobę niepospolitego charakteru i zdolności. Nazwisko siostr Frank, stało szanowane na czele pożytecznego zakładu ale pewno ich dzieło nie byłoby się tak powiodło tak pięknie i z korzyścią dla ogółu rozwinęło, gdyby nie pomoc człowieka, który się z nią krył przed oczyma ludzi i którego imię nigdy za to uczczonem nie zostało. Bez gorliwej troskliwości, starań i rad assessora Muntera, jak to siostry same przyznają nigdy by był zakład wysoko nie stanął. Jakaż dziwna, tkliwa wytrwałość leży w duszy tego człowieka! On był i jest dobroczyńcą naszej rodziny, ale mów mu o tem, jeśli go do najwyższego gniewu nie chcesz doprowadzić, bo wdzięczności nie sądzi się godnym, podziękowania nie przyjmie! Chce teraz wyjechać z miasta i osiąść w swej teraz posiadłości wiejskiej, wszystko tu go z żalem pożegna, ale on nie może dłużej zostać, zbyt dzień i noc pracuje w swym lekarskim zawodzie. Widocznie jego zdrowie upada, więc radzi jesteśmy że cokolwiek odpocznie, siły pokrzepi. Wszyscy go serdecznie kochamy, a jedna z nas spisek przeciw niemu zrobiła, w skutku którego druga ma się z nim — połączyć i dla tego poczei-

wy nasz asesor jest teraz tajemnie śledzony.. ale ja miałam mówić tylko o córkach rodziny.

W domu jest jeszcze osobny mały światek, do którego nic złego przystępu niema — tam żyją kwiaty, muzyka, ptaki i Gabryela. Porankowi zabrakło by najświetniejszego powabu, gdyby nie było kwiatków i ptaszków Gabryeli, słońce południowe zdałoby się ciemne, gdyby światła jego nie ożywiły gitara i piosnki Gabryeli. Jéj pulki na kwiaty przeistoczyły się powoli w oranżeryę, wprowadzie nie wielką, jednak mieszczącą piękne winne latorośle — właśnie pełne gron — wiele słicznych i rzadkich roślin i tworzącą rodzinie jakby małe Włochy w domu, gdzie wśród północnej zimy używać może płodów południa. Kryty ganek prowadzi z mieszkania do oranżeryi i tam zwykle po obiedzie pijamy w zimie kawę. Tam także przebywają ptaki w obszernych klatkach. Na zielonej pulce leżą dzieła o botanice i pismo o pielęgnowaniu drzew szwedzkich z wielu zajmującemi artykułami. Tam stoją dwa wygodne, poręczowe krzesła, pokryte haftem na kanwie, wśród najmilszych kwiatów i ptaków. — Dla kogo, zgadniesz łatwo. Matka nasza chętnie siedzi, czyta i przegląda na „małą panienkę“ (tego imienia Gabryela nigdy nie utraci) gdy ta ostatnia patrzy na kwiaty w słońcu lub bawi się z ułaskawionemi ptaszkami. Można

w istocie powiedzieć, że Gabryela zarzuca matce kwiatami wieczór jej życia.

Człowiek pewny, drogi sercom szwedzkim, wy-
rzekł raz, że przyrodzonym, głównym rysem życia
na północy, jest przewyciężona zima: to samo po-
wiedzieć by można o życiu domowém, życiu poje-
dynczych ludzi. J tu nietrudno o zimna, śniegi i
słoty, o mróz pod którym serce drętwieje i stygnie,
zima w domu jak za domem rada panować.

Ale pokonać ją, ciepło utrzymać można, byle pie-
legnować i żywić nieustannie święty ogień, byle
nigdy miłość nie stygła, nie zamierała. Bo gdy to
nastąpi, to wszystko trudem i uciskiem, i sen tylko
pożądany. Lecz jeśli tak nie jest, jeśli niebo ognia
swego użycza, to ciepło w sercu i w domu, życie
kwitnie nieustannie, a wszystko obdziela się nawza-
jem obfitości jego szczęścia owocami. Jeśli tak jest
w domu, to mniejsza choć zima na dworze, choć
śnieg pada!

Ale muszę wrócić do Gabryeli, którą dowcip, we-
sokość, kochające i niewinne serca uczyniły słu-
sznie ulubieńcem rodziców i radością wszystkich.
Ona nie przestaje zapewniać, o swojej niezdolno-
ści, nieużyteczności, zamykowaniu słodkiego „far-
niente,“ ale nikt jej tego nie gani, bo nikt się bez
niej obejść nie może, i każdy ją znajdzie tam, gdzie
jej zapotrzebuje zdolną i gotową do posługi jak
nikt inny. Od jakiegoś czasu Gabryela nie układa

już zagadek ani szarad. Zdaje mi się że może po-
wód znalazłby się w baronie L. który popadł nie-
gdys posądzeniu że dom podpałł, a teraz że sercu
jednemu ogień podkłada, że wzrokiem i słowy za-
wraca główkę—niechęć wyrzec—serce.

Teraz pozostała jeszcze, ta Petrea“ jak ją do-
tąd nazywa przyjaciel domu, ale nie w złém zna-
czeniu.

„Ja Petrea“ rozmaite już miała przygody w
świecie, najpierwej z swoim nosem, z którym nie
umiała się zgodzić, potem z niejednym w sobie i
za sobą, i długo zdawało się, że jej własny świa-
tek nigdy z chaosu nie wyjdzie.

A przecież wyszedł, ujrzałam światło! Z wdzię-
cznemi łzami w oczach piszę to, a może kiedyś do-
kładniej ci opowiem, jak do tego przyszło. Błogo-
sławiony niech będzie ten dom, który sprostował
moje zbłąkania, rany serca uleczył, cichą przystań
otworzył i kochającą opiekę, wśród której po bu-
rzy mogłam wytechnąć, odpocząć i znaleźć siebie.
Bez tego domu i jego wpływów Petrea byłaby się
niezawodnie stała — koboldem, a nie jak teraz dość
rozsądną istotą. Znasz obecne moje prace, które
dają mi patrzeć głębiej w życie i widzieć więcej
piękności i poezji, niż jej przeczuwałam w młodych
marzeniach! Nie przez to jedynie, ale w znacznej
części pod tym wpływem, moje lat trzydzieści dają
mi wiosnę, która chybaby własną winą zwiędnąć

kiedy mogła. Jeśli teraz jeszcze czasem trafi się u mnie łza boleści nad dawnym błędem lub obecnym brakiem, — jeśli udręczy tęsknota za nie odkrytem lepszym, czystszy, silniejszym. — Cóż ztąd? Niech łzy płyną, byle oko zostało jasnym! Niech niebo upokarza, byle tylko ku sobie wiodło.

Jednym z środków uszczęśliwienia Petrei jest to, że bardzo mało ma potrzeb. Próżne drobnostki, igraszki i ozdóbki złudzeniem się jej być zdają, nie dba o nie i jak może najmniej ma zniemi do czynienia. Za to ma środki do niejednej serdecznej radości i użycia. Nie zaręczam czy nie przyjdzie jej kiedy szalona myśl do głowy wyprawienia uczty w swoim pomieszkaniu na strychu, i ucztowania wszystkich kochanych przysmaczkami jakiego kto lubi. Matka musi mieć ulubione placuszki, a Ludwika spełnić pojednawcze zdrowie z „raptusem.“

Chcesz usłyszeć summa summarum o stanie Petrei, to czytaj co następuje: co jej było źródłem niepokoju stało się teraz uspokojeniem. Wierzy w prawdę życia w ogóle, i życia własnego. Pokoju jej nie zamieszają przypadkowe wewnętrzne czy zewnętrzne przykrości i troski, bo je uważa za chmury i burze przechodzące, po których słońce znowu zawita.

Gdyby naraz zapadł się jej ulubiony pokój na strychu, uważała by to za przemijające nieszczę-

ście, i z gotowością poszłaby dalej, — nawet wyżej! Dosyć o Petrei i jej losie.

Jeszcze jedną córkę miała ta rodzina, piękny jej obraz żyje w pamięci wszystkich, ale żałobą pokryty. Bo nie w pokoju opuściła dom, nie była szczęśliwą, ciemność powlekła jej życie. Większa część członków rodziny mniema że Sara już nie żyje i opłakała ją. Lecz ja nie wierzę jej śmierci, mam pewne przeczucie że ona powróci i jeszcze będę mogła miłość jej moją dowieść. Zdaje mi się, że mogłabym jej teraz nie jedno powiedzieć, co by na nią dobrze i miło działało, już mam dla niej, gdy powróci, gotowe zamiary, — i czekam ją wytrwale, albo też wskazówki gdzie ją znaleźć mogę, a choćby z Grenlandyi lub puszczy arabskiej jej głos mnie wezwał, znajdę drogę do niej!

Jakżeż potrafię teraz skreślić ci naszych drogich rodziców? Wszystko w domu patrzy na nich z miłością i czcią; już lat czterdzieści jak się pobrali, a zdaje się, że wyżyć by nie mogli bez siebie. Za słabe moje pióro na ich obraz, kilka ulotnych rysów sobie tylko dozwolę. Ojciec w krótkce będzie już miał lat siedmdziesiąt, a myślisz może że kiedy spoczywa? Nie przestaje pracować, gniewa się gdy z rana godzinę później jak zwykle wstanie, radby nic z życia nie utracić. Lecz nieszczęściem wzrok jego słabnie i to go zmusza mniej być czynnym, jakby chciał — Wieczorem lubi byśmy mu głośno

czytały romanse i powieści. Matka chwali się w żar- cie, że za jęj wpływem powziął to upodobanie ojciec przyznaje z uśmiechem, dodając że właśnie dla starych dobre czytanie romansów; bo młodość, serca utrzymuje. Zresztą nie zmienił się ojciec w niczem, może jeszcze lepszy, wspanialszego ser- ca niż kiedykolwiek, dla tego też tak mi czcigodny i drogi. O Ido! Jakież to uszczęśliwiające uczucie móżdź najserdeczniej kochać i wielbić tych, którzy nam życie dali! — Teraz z zakrwawionem sercem muszę rzucić cień smutku na jasny obraz życia, a pada on z pięknego wizerunku matki! Z trwogą wi- dzę, że długo nie będziemy się już nią cieszyć. Od dwóch lat niknie. Nie jest chora, ale słabnie widocznie i żaden przeciw temu środek lekarski dotychczas nie oka zał się skutecznym.

Teraz mówią że przyszła wiosna ją pokrzepi, po- jedzie do kąpiel, będzie pić wodę salcerską — oj- ciec by chętnie powiózł ją na koniec świata, gdyby tego była potrzeba — dają nam nadzieję, że się pewno wzmocni i ona ją podziela, z uśmiechem zgadza się na wszystko co doradzają lekarze, mówiła że chcia- łaby żyć z nami dłużej, że szczęśliwą się wśród nas czuje — a przecież coś mi w niej mówi, nawet w jęj uśmiechu, że nie ufa na prawdę tęg nadziei. Ach! patrząc na jej twarz codzien bledszą, na nad- ziemski wyraz jęj słodkich rysów, chód coraz po- wolniejszy, którym wśród nas się przesuwa i każde-

mu przygotowuje co mu miłem być może, — czę- sto nie mogę leż powstrzymać na myśl, że ona nas może w krótkce opuścić. Ale czemuż mam nie ufać? Czemuż jak drudzy nie mieć dobrej nadziei? O chcę ją mieć, zwłaszcza dla ojca, który by już bez niej nie potrafił nigdy rad być na świecie. Teraz droga matka troszkę silniejsza i żywsza, jak już dawno nie była, pokrzepia ją oczekiwane przybycie Lu- dwiki z jęj rodziną i bliski inny dzień radośny, ty- czący się ojca. Radośnie teraz porusza się matka z kalendarzem w ręku, obmyśla i przygotowuje wszystko do wesolęg uroczystości. Ojciec odda- wna życzył sobie posiadać obszerne pole próżne, graniczące z naszym małym sadem, aby tam zało- żyć coś większego i pożyteczniejszego dla ogółu, ale on dla dzieci zawsze tak wiele ofiarował, że mu na wykonanie ulubionego zamysłu nigdy nie po- zostało. Za to dzieci od lat dwudziestu oszczędza- ły i pozyskały nareszcie sumę, aby zakupić to pole. W siedmdziesiątą rocznicę urodzin ojca za pomocą małych naszych „olbrzymów“ upadnie parkan, a jeniusz nowego pola, w pięknej postaci Gabryeli poda ojcę kontrakt kupna tęg nowęj po- siadłości na jego imię. Wszyscyśmy uszczęśliwie- ni myślą, jak go to ucieszy, jak tam będzie czyścił kopał i sadił, jak to jego starość rozraduje i oży- wi! Oby dożył wido ku drzew które zasadzi, oby zielone ich gałęzie ocieniły jego głowę, a szmerich,

szeptał mu o błogosławieństwie jego potomków w czwartym pokoleniu, za dobroczynne jego działania i wpływy.

Mogłabym ci jeszcze mówić o kółku przyjaciół które coraz serdeczniej wiąże się z naszą rodziną, o nowym staroście Sternheku i jego żonie, których wszyscy bardzo lubimy; jego przybycie do naszego miasta było zwłaszcza ojcu pożądanem, bo uważa Sternheka prawie jak syna; i o służących w domu mogłabym pisać, bo oni są już więcej przyjaciółmi niż sługami, ale boję się znowu przedłużyć. Może zdaje ci się, że obraz mój zbyt jednostajnie jasnymi barwami nałożony, może pytasz:

„Jako? Więc w waszym domu nigdy nie zdarzają się owe drobne straty, szkody, przeciwności, zaniedbania, nieporządki, starcia, kroki pośpieszne lub nierozsądne, słowem wszystkie te duchowe owady, które ukąszeniami swemi budzą niecierpliwość, niepokój, nudy, i nawet najszczęśliwszych rodzin zwykle nie oszczędzają?“

I owszem! Wszystko to się zdarza, ale jak prędko przychodzi, tak prędkiej jeszcze znika nie zostawiając truciizny po swém ukłuciu; zaraz używamy przeciw nim powszechnego lekarstwa, które się zowie: „zapomnieć, przebaczyć, poprawić!“ I brzydkie owady coraz rzadziej nawiedzają. Zresztą one nie lubią i unikają czystej, łagodnej atmosfery.

Chcesz droga Ido przekonać się o prawdziwym obrazu, to przybądź i popatrz! Przyjedź! Wszystkich nas bardzo ucieszysz! Znajdziesz u nas roz-targnienie, może spokój którego twoje serce potrzebuje! Przyjedź i wierz mi Ido, że jeśli na świat patrzymy troszkę z wysoka, na przykład z pokoju pod strychem, to widzimy złudzenia przesuwające się jak chmury po niebie, ale to niebo nad niemi w wiecznej światłości.

II.

GODZINA PORANNA.

„Dzień dobry!“ rzekł Jeremiasz Munter, wchodząc raz z kieszeniami pełnymi książek do pokoju Petrei, który od innych części domu odznaczał się tylko wielką prostotą i brakiem ozdób. Szklanka z pięknymi świeżymi kwiaty była jedynym zbyt-kiem.

„Witam serdecznie!“ zawołała Petrea, patrząc błyszczącym wzrokiem na wchodzącego, i na to, co z sobą przynosił.

„Dziś mi pewno panna Petrea rada, bo z skar-bami dla niej przychodzę. Proszę patrzeć.“ Rzekł asessor, kładąc na stół książki jedną za drugą

i wymieniając co zawierają. Należały one do dzieł które myślącym ludziom nowe otwierają światy. Petrea oglądała je z uniesieniem zrozumiałém tym tylko, którzy jako ona tego źródła roskoszy szukali, tęsknili za niém i znaleźli je. Asessor używał w milczeniu radości z jaką patrzyła na książki i o nich mówiła.

„Jakże bardzo dobrym pan jesteś“, wyrzekła, „że tak o mnie myślisz. Ale ja dowiodę, że także pana dziś oczekiwałam.“ Z wyrazem szczerzej przychylności zdjęła z pulki dwa talerze; na jednym leżała kragła bułka, na drugim śliczne grono winne, wieńcem własnych liści artystycznie otoczone. Postawiła to na stoliku przy oknie, tak, że słońce padało na owoc.

Asessor spojrział na ten pojętny obrazek okiem holenderskiego malarza owoców.

„Pan musisz nie tylko przypatrzeć się śniadaniu, ale je zjeść“, rzekła zawsze żywa Petrea. „Bułka jest w domu upieczona, a Ewa ułożyła tak ładnie winogrona na talerzu i je tu przyniosła.“

„Ewa“, powiedział asessor, „pewno nie pomyślała czy ja dziś przyjdę.“

„Właśnie obie spodziewaliśmy się pana, i ona dla tego przygotowała sama śniadanie.“ Petrea patrzyła przytém badawczo na asessora, który nie krył miłego wzruszenia, i urwawszy jedno gronko usiadł w milczeniu.

Petrea znowu wróciła do książek. „Ach! życie takie krótkie, a tak wiele jest do uczenia się! Prawda, że to wyrzekł przedemną poganin Hippokrates, ale zawsze dziwną jest rzeczą, że ludzie ograniczają, oznaczają lata nauki. Bogu dzięki za nadzieję, że przez wieczność będziemy uczniami! Ach, wuju Munterze! cieszę się serdecznie prze-mysłowym kierunkiem naszego czasu. Ułatwi on ludziom nabycie światła i rozpoczęcie duchowego życia. Bo prawdziwemi są słowa wyrzeczone przed dwoma tysiącami lat: „Skoro konieczne potrzeby człowieka są zaspokojone, wtedy zwraca się on ku duchowym i wyższym. Dla tego dopiero po ukończonym długim tygodniu roboty nastąpi dzień odpoczynku świata, w którym rozmnoży się na ziemi liczba cichych czcicieli, szukających dóbr wiecznych nie doczesnych, lud, którego życie składać się będzie z zapatrywania, pojęcia i czci, który Stwórce wielbić będzie w duchu i w prawdzie. Wtedy nadejdzie dzień, o którym aniołowie śpiewali: „Pokój na ziemi!“

„Pokój na ziemi?“ powtórzył Jeremiasz powoli i smutnie. „Kiedyż on przyjdzie? Pierwój musiałby wstąpić w serea ludzkie, a tam.... tam żyje niejeden szatan, niepokój, bolesna tęsknota, którą nie zaspokoi.... ale cóż to znowu? Co z tego będzie?“

„Ach, Boże!“ zawołała Petrea odchodząc od siebie, „ona żyje! ona żyje!“

„Co za ona? Kto żyje? Nie! Dziś w istocie panna Petrea jest dziwna!“ rzekł assesor wstając.

„Patrz pan, czytaj!“ zawołała Petrea odchodząc od siebie ze wzruszenia i pokazując assesorowi rozdarty kawałek papieru, „patrz, to leżało w książce!“

„Cóż to jest? Kawałek oddarty jakiegoś obrazka;—ręka która róże rzuca na... grób, zdaje mi się. Podobno już to gdzieś widziałem?“

„Z pewnością! to jest obrazek kobiety przy krzaku różanym, który ja niegdyś, dzieckiem będąc, Sarze darowałam. Sara żyje! Patrz! To jej ręką napisane.“ Druga strona obrazka była pokreślona dziecinną ręką, jednak na czystym miejscu stało napisane pięknym pismem Sary;

„Róż nie będzie na grobie Sary!
O Petreo, gdybyś wiedziała.....“

Myśl nie była dokończona, plamy od łez ją zamylały.

„Dziwnie“, rzekł assesor. „Te książki które wczoraj dostałem, były kupione w U. Miałaby ona się tam znajdować? Ależ...“

„Z pewnością jest tam!“ zawołała Petrea. Patrz pan na książkę, z której wypadł ten papier, na pierwszej kartce stoi nazwisko: „Sara — Szware“

prawie zatarte. Ona niezawodnie jest w U., albo przynajmniej tam o niej dowiedzieć się możemy. O Sara! Biedna Sara! Ona żyje, może w smutku i biedzie! Jeszcze dziś będę przy niej, jeśli ona w U. się znajduje.“

„To troszkę trudno, chyba by panna Petrea latać umiała!“ rzekł assesor. „Ztąd do U. jest mil siedmnaście.“

„Ach, a ojciec właśnie odjechał i powóz wziął; on byłby ze mną pojechał. Ale mogę wiać starą dorożkę, która w domu została i...“

„Toby bardzo było stósowne, aby kobieta sama jedna jechała dorożką, po tych drogach słotą popsutych, i patrz.... patrz pani jakie grube chmury wiatr pędzi, jak się rozsuwają nad nami! Niezawodnie dzień cały dęszcz by lał na dorożkę...“

„A żeby padał ogniem i siarką,“ przerwała mu porywczo Petrea, „ja muszę jechać. O Boże! ona była moją siostrą, jest nią — napróżno wołać mnie nie będzie! Natychmiast biegnę do matki i...“ Petrea wzięła kapelusz i płaszcz.

„Panno Petreo, proszę się uspokoić na chwilę. Mówię pani, że jechać nie możesz. Dorożka cię nie dowiezie, próbowałem jej, zepsuta.“

„To pójdę piechotą, a jak sił mi nie stanie czołgać się będę, a tu zostać nie potrafię.“

„To jest pani stałe postanowienie?“

„Stałe i ostatnie!“

„No, to i ja się z panią poczołgam“, rzekł assessor, „choćby tylko, aby widzieć, jak to się uda. Idę do domu, ale za godzinę będę tutaj. Proszę mieć cierpliwość choć na ten czas i czekać na mnie; nie pójść, czyli chciałem mówić, nie poczołgać się bezemnie.“ Assessor zniknął, Petrea pospieszyła do matki i rodzeństwa.

Nim jeszcze cała rodzina usłyszała wiadomość i narada się skończyła, już stanął lekki powóz podróżny przed drzwiami. Assessor wysiadł, wszedł i podał ramię Petrei. Wkrótce siedział obok niej, opierał się żywo włożeniu w powóz zapasów żywności na drogę i butelki wina, pomimo tego Eleonora je włożyła, i pojechał na

III.

PRZYGODY.

Dragi to już raz w swoim życiu assessor i Petrea puszczały się razem w drogę, i teraz znowu jak niegdyś przyjazne gwiazdy nie zdawały się przyswiecać ich podróży, gdyż zaledwie wyjechali, deszcz puścił się mocny, a chmury szare i ponure, jakby ołowiem ciężkie, zasunęły się nad ich głowami. Osmutnia widok takiego nieba gdy u wstępu

ważnej podróży badawcze zwracamy nań oko. Do tego przyłączyły się inne, niepomysłne w drodze wróżby. Konie wspinały się kilkakrotnie, jakby nie chciały iść naprzód, a sowa leciała za powozem, usiadła tuż przy nim na gałęziach drzew, i znowu podlatywała gdy ją mijał, by go dalej oczekiwać.

Podróźni nasi przybywszy w las, gdzie dla złej drogi powoli jechać musieli, zobaczyli po prawej ręce kobietę starą, ciemną, zabrudzoną, zgarbioną i tak odstęczającą powierzchowności, tak podobną do czarownicy, jak tylko może nią być kobieta; zatrzymała się, popatrzyła przez chwilę na podróźnych, a potem znikła nagle za drzewami lasu. Assessor mimowoli przestraszył się jej widokiem i rzekł: „Co za różnica między kobietami! Najpoważniejszym i najszykarskim stworzeniem na świecie są kobiety!“ Widok stariej czarownicy popsuł mu humor. Z nią razem znikła sowa, może dla tego że swój swego szuka. Ale ja biedną kobietę niesłusznie może tak opisuję, a ona jest najpocziwszą istotą. Dobrze, że nasz Ojciec i Pan lepij nas zna i ocenia jak my jedni drugich.

Petrea jechała w milezeniu. Jakkolwiek ludzie mają się za oświeconych i wolnych od przesądów, przecież nie potrafią ujsć zupełnie przed wrażeniem rozmaitych przeczuć i wróżb, które, podobne sowom, przeciągają nieustannie po świecie i trwożą

ludzi od czasu upadku Adama. Wiadomą jest rzeczą, że Hobbes, który zmartwychwstania najzupełniej zaprzeczał, nigdy spać nie chciał obok pokoju gdzie trup leżał. Petrea najmniejszego nie miała podobieństwa z Hobbesem, lecz z natury była trochę przesadną, i jak po większej części ludzie, którzy dużo na miejscu siedzą, u wstępu podróży nie mogła przezwyciężyć pewnej niespokojności, jak się też jęj powiedzie. Tego zaś dnia, słota, ponure niebo, złe wróżby, zmieniły niespokojność w przeczucie nieszczęścia. Nie wiedziała czy grozi Sarze lub jęj — lecz mniemała ostatnie i badała siebie, jak nieraz już w życiu, czy też jest przygotowana na wypadek, któryby ją oddzielił od kochanych, pozostających na ziemi. Petrea uczuła żywo, jak ją teraz wiąże byt ziemski, jak drogie jęj życie, i trwoga ją przejęła. Wszystkie dusze mają swoje wysokości, ale także bagniska, wąwozy, dół, nie mówię o przepaściach, bo te nie wszystkim duszom wspólne. Częste wstępowanie i utrzymywanie się na wysokościach zbliża ludzi do nieba. Dusza Petrei była nierównym gruntem, więcej jeszcze jak u innych ludzi, ale w niej tkwiła, jak to już widzieliśmy, gorąca żądza isć wyżej, i skoro spostrzegła jak bardzo przylgnęła sercem do ziemskiego żywota, usiłowała mocno w duszy wznieść się na wysokość, z której zbyt piękny i rozległy otwiera się widok, by nie spłoszył wszel-

kiej obawy, gdzie miłość się oswobadza i żyje w wyższem przeobrażeniu. Udało jęj się to, udało najzupełniej; nie przestała czuć wartości obecnego życia, lecz przejęła się głęboko przeświadczeniem, że właśnie wartość ta polega na związku z życiem zagrobowém, przemienioném, promienistém. Żywa jęj wyobraźnia wysnuła rozmaite sceny nieszczęścia i śmierci, lecz Petrea uczuła, że wśród każdej chwili skonu umiałaby wznieść serce i zawołać: „Bogu chwała na wieki!“ — Uspokojona, przeświadczona że jadąc w przedsięwziętym celu dopełnia obowiązku, z lekkim sercem, odważna już teraz, z swobodnym wzrokiem i słowy, zwróciła się do towarzysza podróży i tak umiała wciągnąć go w rozmowę i zajmującą ją uczynić, że wkrótce oboje zapomnieli o słońcu, złej drodze i niepomyślnych wróżbach. Wbrew temu wszystkiemu droga szła dobrze i miło, nigdzie śladu nie było niebezpieczeństwa, wiatr spał w chmurach, a w oberżach raz tylko usłyszeli z ust zaspanego stróża: „Niech djabli porwą!“

Nazajutrz po południu stanęli nasi podróżni szczęśliwie w U. Petrea na prędcie się posiliwszy, zaczęła poszukiwania. Skutki jęj i assessora usiłowań pokrótce wspomniemy.

Nie podlegało wątpliwości, że Sara z małą córeczką była w tém mieście, mieszkała nawet w oberży, gdzie assesor z Petreą zajechał, ale jechała

pod przybraném nazwiskiem. Opisywano ją, że bardzo schorowana i osłabiona, a jój położenie można było ztąd poznać, że dała gospodarzowi kilka książek do sprzedania, co on uczynił. Jedna z tych książek dostała się do Petrei, z zapomnianym w niój kawałkiem obrazka. Sara musiała zatrzymać się w U. dni kilka, bo była słabą, przed tygodniem jednak odjechała, a z książki wpisowej w oberży widać było, że się udała w stronę miasta, gdzie mieszkali rodzice Petrei, ale inną drogą, niż nasi podróżni jechali, krótszą, a daleko gorszą.

Sara była więc na drodze do domu, może już tam. Tą myślą pocieszała się Petrea, zasmucona obrazem jój smutnego stanu. Obliczywszy jednak czas od wyjazdu Sary z U. widoczném było, że już od kilku dni powinna była stanąć w domu, Petrea więc myślała z obawą, że zapewne znowu Sara na drodze zasłabła. Chętnie byłaby się zaraz dnia tego puściła nazad i szukała jój śladów, ale względ na starego przyjaciela wstrzymał ją od tego, jakoteż od udzielenia mu swoich trosk. Assesor nie był zupełnie zdrow i potrzebował wypoczynku. Zimno i ślota działają niekorzystnie na ciało i duszę. Umówiono się, że nazajutrz z rana puszcza się znowu w podróż.

Assesor powiedział Petrei, że to właśnie dzień jego urodzin, a może myśl o tém smutnie go usposobiła. Petrea pragnąc go rozweselić użyła chwili,

gdy przed wieczorem poszedł znajomego, którego miał w U. odwiedzić, by przygotować mu małą niespodziankę.

Wystarała się, Bóg wie jak, (co człowiek chce silnie, to zawsze potrafi) kwiatów i liści, oświeciła jasno pokój, rozpałała ogień na kominku, zastawiła na stole przysmaczki, które assesor najlepiej lubił i w lichéj izbie oberży wywołała komfort, bardzo zawsze miły assesorowi.

Papa, mama i wszyscy członkowie szczęśliwych rodzin przyzwyczajeni są do uroczystego obchodu ich imienin i urodzin i rozlicznych niespodzianek. Ale nikt dotąd nie obchodził w samotném życiu assessora dnia jego urodzin, kwiatów dotąd nie napotykał w swéj wędrówce; z wykrzykiem więc podziwienia i radości wszedł z ciemnéj, mokréj ulicy do świetnie przystrojonego pokoju.

Petrea uszczęśliwiona była niezmiernie, że jój się udało rozweselić starego przyjaciela. Oboje miło bardzo spędzili wieczór. O nieszczęśliwych wróżbach na drodze czynili sobie rozmaite spostrzeżenia i wyznania, żartobliwe wymówki i zamknęli osądzeniem, że wszelkie takie znaki i przepowiednie po większej części — nic nie znaczą. Gdy się przed nocą rozdzielali assesor ścisnął rękę Petrei ze słowy:

„Jeszcze żaden dzień nie dał mi tak miłego wieczora.“

Wdzięczna za te słowa, ucieszona nadzieją, że odszuka utraconą i oplakaną przyjaciółkę młodości, Petrea prędko usnęła. Assesor uczynił przeciwnie, po północy jeszcze siedział przy stoliku i pisał.

Mężczyzna i kobieta — w romansach dużo jest mowy o mężczyźnie i kobiecie, jakby różnych istotach—jakkolwiekbaż, oboje są ludźmi, czują i myślą i działają nawzajem na siebie w życiu. Ich sposób i środki działania są różne; ta różnica z obopólną przychylnością i usiłowaniem ozdobienia sobie życia stwarza jedność wdzięczną i doskonałą.

Nazajutrz dzień był pogodny, słońce jasno świeciło. Oczy assessora były zmęczone, jak gdyby mało spały. Gdy śniadał z Petreą, wywołano go, by coś obaczył przy powozie. Czy to w skutku pierwotnego grzechu, spadku po matce Ewie, czy z innéj przyczyny, Petrea szybko zbliżyła się do stołu, na którym leżały papiery assessora, mające być wraz z pieniędzmi włożone zaraz w podróżny pugilares. Teraz uczyniła,— uczyniła, czego jéj pewno żadna uczciwa czytelniczka nie przebaczy—przejrzała szybko papier świeżo zapisany, wyjęła go i schowała u siebie! Po chwili wszedł assesor, szybko wsunął papiery w pugilares, bo już konie były gotowe — i odjechali.

Pogoda była przesliczna, a Petrea używała jéj jak — nie, więcej jak dziecko; cieszyła się każdym

przedmiotem, który jéj oczy dostrzegły błyszczącym w słońcu po deszczu i rosie porannej, jak gdyby przyodziany świątecznym strojem. Świat był dla niéj zawsze, i więcej może jak niegdyś, czarownym pierścieniem; już nie w obłęd wprowadzającym, w półpogańskim, ale prawdziwie chrześcijańskim, w którym rzecz każda, chwila każda ma znaczenie, tak jak każda kropla rosy błyszczy się w świetle słoneczném. Oprócz tego, jesień była ulubioną porą roku Petrei, a przy bogactwach natury obfitowała jéj dusza w mile myśli. Jest to czas w którym ziemia zaprasza na ucztę wszystkie swe dzieci. Droga przedstawiała coraz nowe, zawsze wesole widoki. Tu na łące dojrzałe żółtozłote kłosy wznoszą się ku niebu, a wśród nich tłumy ptasząt świegocą. Dalej czerwone jagody kaliny kryją się w liściach otaczającej ją pełnej róży i także znajdują biesiadników powietrznych, których karmią; obok samotnej chaty kwiat kartofel na polu wskazuje, że owoc już dojrzały, a dzieci wlas biegną zbierać jeżyny i orzechy. Petrea w sercu dziękowała niebu za wszystkie niewinne uciechy ziemskie. Myślała o domu, rodzicach, siostrach, Sarze, która wkrótce znajdzie się w ich kole i którą ona starannie będzie pielegnować, godzić z życiem i szczęściem. W pięknej porannej godzinie myśl każda jasne przybierała barwy; Petrea czuła się bardzo szczęśliwą, a kradzież u assessora popełniona

i cel dla którego popełniła ją, przyczyniały się nie mało do jój rozweselenia. Z obfitości serca mówią usta; Petrea ożywiła swego towarzysza i oboje bawili się bombardując po drodze jabłkami i gruszkami spotykane dzieci, które się wcale tém nie przestraszały.

Jechali tą samą drogą, którą się Sara była udała, a w pierwszej oberży przekonali się, że Sara tu była i odpoczywała znowu dla zdrowia. Toż samo dowiedzieli się na trzech następnych stacjach ale na piątej od miasta stracili ślad Sary. Nie było tam wcale podróżnych tak wyglądających, a nazwisko jój nie stało zapisane w księdze gościnnej. Zaniepokoili się Petrea! Po namysle postanowiła wrócić z assessorem do poprzedniej oberży, z której właśnie przybyli i dochodzić, gdzie się Sara z tamtąd udała.

Tymczasem wieczór już nadszedł. Słońce zachodziło, a nasi podróżni jechali właśnie przez jeden z najciemniejszych i najniebezpieczniejszych lasów Szweyji, o którym niedawno powiedziano: „Cień lasu osklepia przykre wspomnienia, a pomniki morderstw stoją przy drodze. Teraz już wprawdzie góry mniej gęsto są obrosłe, ale jeszcze są doliny, gdzie nigdy drzewo nie było zrabane i skały których promienie słońca nie dotknęły.“

„Tutaj dwóch ludzi zamordowało się nawzajem,“ rzekł pocztylion z najweselszą twarzą, zatrzymując

konie, aby trochę odpoczęły, bo droga była ciężka, a biczem wskazywał wielką kupę gałęzi, kamieni i ziemi znajdującą się po lewej stronie drogi, a która nie mile robiła wrażenie. Przechodzący rzucają na nią co znajdują pod ręką i tak na krwią skropionym miejscu wzrasta coraz wyżej pomnik przekłety morderstwa.

Stał on rażący i wstręt budzący wśród zielonych drzew i zdawało się, że jakie tylko najbardziej pokrzywione, najbrzydsze gałęzie i korzenie może wydać ziemia, to właśnie tam je zgromadzono, ten utworzono z nich pagórek. Z pośrodku jednak suchych gałęzi i kamieni wyrastał krzak zielony, podnosił liście ku światłu i jakby świeże krople krwi czerwieniły się nad kopcem jagody, oświecone słońcem, które zachodząc, jasnym pasmem światła przerzynało gościniec i las.

„Ten krzak kwitnący,“ rzekł Jeremiasz, patrząc nań wyrazistym okiem, „naprowadza na myśl, że to co społeczność ludzka słusznie potępia, wyższa potęga może zakryć kwieciami miłości.“

Słońce zaszło, powóz ruszył z miejsca, ale konie przechodząc pod kopiec nastraszyły się, skoczyły w bok, a powóz w rów pociągniiony wywrócił się.

„Żegnaj mi życie!“ przemówiło serce Petrei, ale po chwili, sama nie wiedząc jak się wydobyła z powozu, stała już zdrowa i nieuszkodzona po drugiej stronie, na miękkiej łączce. Assessorowi

nie powiodło się tak dobrze. Mocne uderzenie w prawą nogę nie dozwalało mu bez mocnej boleści stanąć na niej. O kilka kroków dalej leżał omdlały jego stary sługa i krew mu szła z zranionej głowy, przy koniach stał młody pocztylion i płakał. Położenie i pora wcale nie były przyjemne, ale Petrea, po przerażeniu pierwszej chwili czuła się znowu spokojną. Wodą deszczową z rowu przywołała omdlałego do życia, swoją chustką od nosa obwiązała mu głowę. Potem pomogła mu podnieść się, ale nie mógł ustać na nogach, głowa mu się kręciła. Wkrótce pan i sługa siedzieli obok siebie oparci plecami o grubą sosnę i smutnie patrzyli na powóz wywrócony w głębokim rowie. Assesor swój wypadek lekceważył, służącym więcej był zakłopotany, jednakże bladł z bólu. Cóż było robić? Gdyby można powóz wydobyć z rowu i obydwóch rannych tam wsadzić, Petrea siadłaby na kozioł i pojechałaby dalej, ale powozu pocztylion, z jej pomocą, ani poruszyć nie mógł. Jej ręce nie odpowiadały dobrej woli i odwadze. Pocztylion powiedział, że niedaleko w lesie leży folwark, ale on za nic w świecie tam nie pójdzie, koni nie odstąpi.

„Czekajmy więc, rzekł assesor cierpliwie, ktoś zapewne będzie jechał tędy i nam pomoże.“

Czekano, ale nikt nie nadjeżdżał, jak gdyby się ludzie bali coraz ciemniejszego lasu. Petrea obawiała się, aby staremu przyjacielowi nie zaszkodzi-

ła wilgoć, wśród której siedzi wieczór na ziemi, otuliła więc assessora i jego sługę czém tylko mogła, nie wyjmując własnego płaszcza i rada, że on tego nie zauważał, rzekła stanowczo:

„Pójdę sama szukać folwarku i sprowadzić wam pomoc.“

Nie zważając na sprzeciwianie się, prośby i groźby, chcącego ją zatrzymać assessora, pospieszyła po tych słowach w las, w tę stronę, w której pocztylion wskazywał folwark. Biegła szybko, nie myśląc o osobistém niebezpieczeństwie, a pragnąc tylko jak najprędzej dobieć się pomocy dla pozostałego przyjaciela.

Zmęczyła się prędkim krokiem i zatrzymała chwilę by odetchnąć. Ruch szybki rozgrzał jej krew piękności i cicha wielkość lasu, świeże powietrze napawały ją mimo woli przyjemnem uczuciem, lecz to znikło, gdy posłyszała jakby szeptanie w lesie. To nie wiatr poruszał liście, może człowiek był blisko? Petrea znowu zatrzymała się i odetchnęła silnie. Usłyszała mówienie, świstanie — bez wątpienia byli ludzie w lesie! Jakkolwiek Petrea była odważną, czasem aż do szaleństwa, jednakże zadrdzało jej serce, stanęło jej w myśli położenie bezbronne w jakim się znajdowała, samotność i straszne zdarzenia które o tym lesie opowiadano. Już też i nie była w wieku w którym człowiek na lek- kich nogach, bezmyślny i zuchwały stoi na świecie;

już jej życie stały wzięło kierunek, miała swój cichy pokój, spokojny zakres działania i kochała go więcej, niż wszystkie przygody na świecie, których niegdyś była tak chciwą; nie dziw więc że było gwałtownie jej serce i zatrzymała się słuchając. Głosy zbliżały się. Przez chwilę myślała Petrea uciekać w przeciwną stronę, to wszystko, wstręt budzące i niebezpieczne co ją spotkać mogło przerażało ją, ale odwaga przemogła i zawołała: „Kto tu jest?” Umilkło wszystko. Nadaremnie Petrea wołała: „Jeśli tu jest człowiek, to w imię Boże niech da pomoc podróżnym w nieszczęśliwym wypadku!” Teraz zaszemrały blisko liście i odezwały się dziecinne głosy. W krótko obaczyła przed sobą dwoje małych, bosych dzieci, chłopczyka i dziewczynkę; ci na jej prośbę, obiecali ją zaprowadzić do swojej nie dalekiej chaty. Po drodze dali Petrei jagód z swego pełnego koszyka i opowiedzieli, że zapoznili się w lesie szukając krowy, lecz jej nie znaleźli, a mała dziesięcioletnia dziewczynka kłopotowała się, „że chora pani mleka mieć nie będzie.“

Podczas gdy te małe anioły — stróże prowadzą Petreę przez las, my pospieszmy i obaczmy co się tam stało przed parą dniami.

W owym czasie przejeżdżał tamtędy najęty wózek, na którym siedziała kobieta z małą dziewczynką. Ujrawszy w lesie chatę, otoczoną kwitnącem polem kartofli, kobieta prosiła wiozącego ją

chłopca: „Zatrzymaj się chwilę, muszę troszkę spocząć, bo bardzo jestem chora.“ Wysiadła, zawlokła się z pomocą woźnicy do chaty i prosiła gospodyni o szklankę wody i o pozwolenie położenia się na chwilę na jej łóżku. Głos proszący był zaledwo słyszalny, a twarz trupięj bledości. Mała dziewczynka płakała i łkała gorzko. Zaledwie złożono biedną chorą na ubogiem i nie bardzo czystym łóżku gdy zapadła w sen głęboki, z którego dopiero po trzech godzinach obudziła się, wtenczas obaczyła że najęty woźnica zniósł jej rzeczy doizby. a sam odjechał.

Przez trzy dni usiłowała chora nadaremnie wstać z łóżka, ale upadała skoro parę kroków postąpiła, usta jej drżały, a gorzkie łzy spływały po bladych licach. Czwartego dnia uspokoiła się, ale po obiedzie prosiła gospodyni, aby jej wyszukała jakąś pewną i uczciwą osobę, któraby jej małą dziewczynkę za stosowną nagrodę, zaniósła na miejsce które wskazała bliżej, na liście doręczenia. Gospodyni powiedziała że jej siostrzeniec jest bardzo roztropny i poczciwy i zapewne podjąłby się tego zlecenia. Na prośbę chorą tego jeszcze dnia wybrała się do niego o, ale ostrzegła, że on daleko mieszka, więc późno wróci. Gdy odeszła, chora wzięła papier i ołówek i napisała co następuje słabą, drżącą dłonią.

„Już się dalej nie dostanę — czuję to! Zginę nim
Bremer, Ognisko. T. II.

dosięgnę przystani. O Rodzice! drogie rodzeństwo! Ulitujcie się nad moją małą, nad mojem dziećciem, które u drzwi waszych stanie i pokorną, ostatnią moją prozbę zanieś: dozwólcie jęj ogrzać się wjwaszym ciepłym domu, gdy matka w zimnym grobie spocznie na zawsze. Patrzcie, jak ona wygląda! Patrzcie, jak na jęj małej twarzyczce znać już biedę; — niepodobna do matki! jęj słodkie rysy przypominają raczj tę, którj imię nosi, a którj obraz anielski nigdy nie wyszedł z mojęj duszy.

„Matko, ojcze, siostry! wielebym wam chciała powiedzieć, ale siły niemam pisać. Przebaczcie mi! Przebaczcie smutek którj wam bylam powodem! Bardzo zbłądziłam, ale i bardzo cierpiałam. Przeszłam świat i nie znalazłam nigdzie pokoju, odkąd opuściłam wasz dom błogosławiony. Droga moja wiodła mnie przez pustynię, — pałacy samum wiał na lica — spalił je, zniszczył...

„O wasze błogosławieństwo błagam, świat opuszczając, na którj tyle błądziłam, tyle cierpiałam! Pozwólcie mi powiedzieć, Sara, którą niegdyś zwalście córką i siostrą, nie jest przecież całkiem niegodną. Upadła nisko, ale starała się podnieść z upadku, a wasze obrazy, niby dobre anioły, otaczały ją na drodze poprawy. Ucieszy to wasze szlachetne serca gdy usłyszycie, że umiera w skrusze i nadziei. — w Ojcu miłosierdziu ufność położyła.

„Ręka miłosierdzia strzegła moich dni dziecin-

nych, — późnjej podniosła moją umierającą głowę i serce nowem, lepszem życiem natchnęła, — przywiodła mię do tego, że ufam Panu litościwemu w niebie.

Ojczel ty którj mi byłeś jego obrazem na ziemi, którj tak bardzo kochałam, — najlepsza matko! którj głos jeszczeby teraz mógł przywołać życie w moją pierś znękaną — ulitujcie się nad mojem dzieckiem, moją małą Elizą, nazwijcie ją swoją! Dzięki, błogosławieństwo wam!

„Nigdy nie było moim zamiarem, wrócić samj, jako ciężar, do waszego domu. Nie! chciałam tylko moją córkę do waszych drzwi przyprowadzić, widzieć jak się dla nięj otworzą, a potem cicho oddalić się i umrzeć. Ale nie mogłam dostać się tak daleko — Bóg niech prowadzi do was siorotę bez ojca i matki!

„Teraz bądźcie zdrowi! Już nie mogę dłużej; — ćmi mi się w oczach. Na kolanach piszę te ostatnie słowa: Rodzice! rodzeństwo! przyjmijcie moje dzieć. Oby wam dało kiedyś zapomnąć błąd matki!... Przebaczcie!... Wszystko moją winą! Nikogo nie oskarzam. Bóg niech wam nagrodzi, a mnie będzie miłosierny!

Sara.

Z pośpiechem Sara złożyła list, zapieczętowała i napisała gdzie go zanieść. Potem upadła, znużona wysileniem obok spiącego dziecka, pocałowała

je tklowie i szepnęła, „Po raz ostatni!“ Ręce i nogi miała zimne jak lód, czuła zimno przenikające wszystkie jej żyły, całe ciało, trętwiejące członki, zdało jej się że zimny wiatr wieje jej w twarz. To śmierć przychodzi, myślała Sara, samotne i nędzne jest moje łóżko śmiertelne, — ale na inne nie zasłużyłam! Traciła przytomność, jednakże w głębi jej duszy walczyły jeszcze ostatnie, może najszlachetniejsze potęgi życia, boleść i modlitwa. Nakoniec te zostały zagłuszone, ale nie na długo, gdyż nowe wrażenia obudziły nagle usypiające życie.

Zdawało się Sarze, jak gdyby głos anielski jej imię wołał i powtarzał, łagodne ręce nacierały elektrycznym ogniem jej ztrętwiałe członki, jej nogi przyciśnione zostały do piersi, w której życie głośno biło, gorące łzy na nie spadły, roztopiły lodowate zimno, uczuła serce uderzające przy swoim, technienie śmierci z jej lica uciekło przed gorącymi pieścizotami, pocałunkami, łzami..... o, nie sen że to?! Sen stawał się coraz żywszym, jaśniejszym. Życie walczyło ze śmiercią i zwyciężyło.,, Saro! Saro!“ wołał głos pełen miłości i trwogi. Sara otworzyła oczy i rzekła: „O Petreo! czy to ty jesteś?“

Wistocie była to dobra Petrea, której boleść nad stanem Sary, radość z jej powrotu do życia nie dałyby się opisać. Sara wzięła rękę Petrei i przycisnęła ją do ust; pokora tego ruchu, tak niepodobna u dawnej Sary, przejęła głęboko tklive serce

Petrei. „Daj mi pić!“ rzekła Sara słabym głosem. Petrea obejrzała się za jakimś napojem pocrzepiającym, ale w izbie nic nie było, oprócz dzbanka z mętą wodą. Ani kropli mleka, a krowa w lesie została. Petrea chętnie by krwią serca okupiła trochę wina, widząc że Sara umiera prawie z osłabienia. Zbolesnem uczuciem podała jej złą wodę, wciśnawszy do niej kilka jagód, by napój więcej orzezwiającym uczynić. Sara dziękowała jakby za nektar.

„Niema tu w pobliżu jakiego folwarku, jakiego dworu, gdzieby można znaleźć ludzi i pomoc?“ Pytała Petrea małych swych przewodników. Nie znali nic bliższego jak wieś; ale tam w oberży, mówiły dzieci, można wszystkiego dostać. Droga nie była tak blisko, ale dziewczynka знаła ścieżkę przez las, która prędzej tam doprowadzi. Petrea po chwili rozmysłu, dodawszy Sarze odwagi i nadziei, pospieszyła z małą, szybką dziewczynką w drogę do wsi.

Dziewczynka szła naprzód, biała jej odzież świeciła Petrei w ciemnym lesie, ale ścieżka którą dziecko wychowane w lesie szło lekko i pewno, była dla Petrei prawdziwą drugą próbą. To suknie jej zawieszały się na gęstych krzakach, to gałęź schylająca się zaczepiała jej kapelusz i ciągnęła wtył głowę, to upadała na pnie i kamienie, których ominąć nie mogła w ciemności i pośpiechu. Napróżno

las wspaniały wznosił się w koło, na próżno świeciły gwiazdy na niebie i zsyłały swe promienie w ciemność lasu, na próżno szemrał strumyk opadający ze skały wśród cichego wieczora; Petrea obecnie nie miała zmysłu dla piękności natury. Światelko błyszczące ze wsi było jej miłszym widokiem nad wszystkie słońca i gwiazdy firmamentu.

W oknach oberży, jakkolwiek zabrudzonych, wiele światła błyszczało, a gdy Petrea się zbliżyła usłyszała gwar jakby w ulu. Skrzypce grały, tańczono, suknie uwijały się po izbie, podkówki ubijały podłogę, a kurz szedł aż pod sufit.

Nie znalazłszy ludzi po za izbą tańca, musiała Petrea tam wejść, i obaczyła wkrótce, że się tu wesele obchodzi. Srebrna, pozłacana korona na głowie oblubienicy chwiała się w tę i w ową stronę, wśród napadów i obrony walczących stron, gdyż była to właśnie najgorętsza chwila szwedzkiego, wiejskiego wesela, w której, podług ludowego wyrażenia, pannie Młodej odtancowują koronę. Meżatki chcą porwać, schwytać między siebie oblubienicę, a dziewczęta najgorliwiej ją bronią i zatrzymują. W drugiej połowie dużej izby jeszcze dzikszymi wrzał hałas, bo tam żonaci usiłowali odtancować oblubienicę od chłopców, ciągniono się, popychano, bito niemilosierdzie, z krzykiem i śmiechem, wszystko w wirowym tańcu, przy szalonej muzyce. Dla kobiety jak Petrea wychowanej, wej-

ście w ten tłum mogło śmiercią grozić, ale ona w tej chwili nie widziała innego niebezpieczeństwa, jak że w dzikim hałasie nikt jej głosu nie usłyszy. W istocie napróżno wołała gospodarza i chciała z nim mówić, głos jej ginął w ogólnym krzyku. Szybko przecisnęła się przez tańczące i walczące gromady do dwóch muzykantów, którzy bez pamięci skrzypili i takt nogami wybijali.

Petrea chwyciła z całej siły jednego za ramię i prosiła na miłość boską aby ją posłuchano „bo od tego życie ludzkie zależy.“ Lecz nie zważał wcale na nią, nie słyszał co mówiła i dalej razem grał, tańczył jak szalony.

„To już za wiele, pomyślała Petrea, „ale ja jeszcze większe szaleństwo popełnić muszę!“ i wywróciła na muzykantów stół który stał przedniemi z butelkami i szklankami. Wtedy muzyka raptem ucichła! tańczący zatrzymali się zdziwieni, a Petrea korzystała z tej chwili, wyszła z natłoku i zawołała gospodarza; obchodził on właśnie córki wesele, był dosyć gruby, napity, z miną zuchwałą. Petrea opowiedziała krótko swój wypadek na drodze, prosiła o ludzi do podniesienia powozu i trochę wina i bułki dla choréj. Mówiła żywo i stanowczo, jednak gospodarz stał przed tańcem i trunkiem upojonym tłumem i patrzył na nią z nieufnem zdziwieniem, a Petrea słyszała w koło szepczących!

„To ta waryatka! To waryatka! nie, to nie ona!

Tak to ona!“ W istocie Petrea mocno wzruszona, w ubiorze w nieładzie, po trudnych przejściach w lesie, mogła ująć za oblakaną, do tego wzięto ją za inną osobę i to tłumaczy niechęć pomożenia jęj, nie właściwą obyczajom szwedzkich wieśniaków. Na nowo wzywała Petrea uczynności gospodarza i wieśniaków, obiecując stosowną zapłatę.

Teraz stanął gospodarz w pysznej postawie i rzekł z uśmiechem zadowolenia z siebie; „Tak, tak, wszystko to dobrze i pięknie, ale chciałbym coś widzieć naprzód z owęj zapłaty, nim pójdę do wywróconego powozu. Bo to może się zdarzyć, że przyszedłszy tam, ani jednego ani drugiego nie zostaniemy. Nie można wszystkiemu wierzyć co ludzie mówią.

Petrea przypomniała sobie z przestachem, że niema przy sobie pieniędzy, nie okazała jednak zmięszania i rzekła spokojnie: „Otrzymacie pieniądze, gdy pójdziecie do powozu. Ale na miłość boską chodźcie za mną spieszenie. Życie ludzkie może zwłokę zapłacić!“

Wieśniacy poglądali, wachając się jedni na drugich, ale żaden nie ruszał się z miejsca, głuchy szmer szedł przez tłum. Prawie z rozpaczą zalała Petrea ręce, lzy popłynęły jęj z oczu i zawołała: „Czyż wy Chrześcianami nie jesteście, że możecie słuchać o niebezpieczeństwie życia waszych bliźnich, i nie iść im w pomoc?“ Wymieniła naz-

wisko i stanowisko ojca i od błagania przeszła do groźb.

Gdy się to działo w domu, przed domem zaszło zdarzenie na które niezwłocznie okiem rzucić musimy.

Przed oberżą stanęła podróżna karetka i mały powozik. W tym ostatnim siedziało czterech chłopców, najstarszy z nich mógł mieć lat dziesięć i widocznie pysznił się że własną ręką kieruje dwoma chudemi końmi. Z kozła zeskoczył mężczyzna otyły, wesolej powierzchowności, a z powozu wysiadło innych czterech chłopczyków, do zadziwienia obładowanych różnemi drobiazgami. W powozie kręciła się szczupła kobieta z twarzą zatrudnioną, ale swobodną i pocziwą — podawała wszystko z powozu, a służąca i czterech starszych chłopczyków brali rzeczy, najmłodszego trzymał ojciec na ręku.

„Możesz, Jakóbk, jeszcze co utrzymać?“ „Tak jest, nosem!“ odrzekł wesole. „Nie, nie, kochana Mamo, ten duży worek z żywnościami, to niepodobna.“

Matka roześmiała się i zamiast worka złożyła książkę pod opiekę małego noska. „Uważajcie chłopcy na butelki!“ napominała matka, „porachujcie je, powinno być dziesięć. Adasiu nie stój i nie oglądaj się ale pomóż mi? Uważaj co robisz. Nie stłucz flaszki z elixirem mamy? Co tam za

hałas? Ludzie z oberży wychodzą? Przystapcie bliżej chłopcy! Adasiu uważaj na Dawidka! Jonatanie zostań tutaj! Jakóbkę Salamonie! Gdzie jesteście? Semie i Secie bądźcie cicho!”

W tej chwili spostrzeżono wizbie weselnej przez drzwi otwarte przyjazd podróżnych, a gospodarz wybiegł ich przyjąć. Wiele ludzi wyszło za nim, pomiędzy temi Petrea, która przestała mówić do wieśniaków i spieszyła ku podróżnym, myśląc że może prędzej od nich pomoc uzyskać.

„Państwo łaskawi!” zawołała wzruszonym głosem, „nie wiem kto jesteście, ale spodziewam się, że jesteście chrześcianami i proszę was w imie Boże...” „Kto tu mówi?” przerwał żywo, dźwięczny głos mężki. „Czyjże to głos?” zapytała Petrea zdziwiona.

Jeszcze parę słów zamieniono i nagle okrzyk radośny zabrzmiał z ust trójga: „Petrea, Jakobi! Ludwika!” Wszystko troje uściskali się serdecznie jak rodzeństwo. „Ciocia Petrea, ciocia Petrea!” wołali chłopcy skacząc w około niej z radością.

Petrea rozplakała się z radości, że nie tylko do brych chrześcian, ale arcychrześciańskiego szwagra i pastora i „najstarszą siostrę” znalazła, którzy z całym plemieniem małych, pełnych nadziei „olbrzymów” jechali do rodziców by objąć pastorat.

W krótko potem jechał po wóz z Petreą, Jakobim i Ludwiką, w towarzystwie wieśniaków na koniach

galopem przez las, nad którym teraz wznosił się księżyc, zlewający, pocieszające swe światło, na ciemną drogę i proszące oczy Petrei.

Zostawimy teraz Petreę przy jej krewnych, którzy w tak dobrą porę wybrali się do rodziców i pastoratu, aby ją z najsmutniejszego wyratować położenia. Możemy być spokojni, że assesorowi prędko pomóżono, że Sara otrzymała wino i elixir Ludwika, że Petrei serce zostało pocieszone, a jej ubiór przyszedł do ładu. Dla lepszego jednak zapewnienia przytoczymy ustęp z listu Ludwika, wysłanego nazajutrz do rodzicielskiego domu.

„Pewna jestem, że Sara przy troskliwym pielęgnowaniu, stosownej żywności, a nadewszystko wśród przyjaznego otoczenia prędko do życia i zdrowia powróci. Teraz jest tak osłabiona, że niepodobna jej dalej jechać. W każdym razie nie pojedzie z nami, jeśli ojciec nie przyjedzie i nie zabierze ją. Powiada, że niechce być ciężarem naszemu domowi! Ach! tak się odmieniła, że [z radością by jej każdy dom i serce otworzył! A jej mała dziewczynka — to prawdziwy aniołek! Assesora noga mniżej boli i mógłby wrócić do miasta, ale niechce opuścić Sary, która potrzebuje jego pomocy. (Staremu słudze żadne nie grozi niebezpieczeństwo.) Petrea po wszystkich kłopotach i przygodach jest przeWyborna. Ona i Jakobi wszystkich nas rozweselają, tak jak teraz rzeczy stoją nie możemy dnia przy-

jazdu oznaczyć. Skoro, jak się zdaje, Sarze się polepszy, Jakobi pojedzie do was z chłopczykami. Pobyt tu w oberży dla wszystkich, za kosztowny. Oby nas Bóg jak najprędzej zgromadził przy naszym kochanym ognisku!“

W godzinę po otrzymaniu tego listu wyjechał radca z pośpiechem, jakby o życie jego chodziło. On jedzie z domu do oberży, my zaś udajmy się z oberży do

IV.

DOMOWEGO OGNISKA.

Lilie zakwitły w domu z rana dwudziestego września. Zdawały się wyrastać z pod stóp Gabryeli. Matka, sama podobna do białej lilii obchodziła dom w ładnym, porannym ubiorze i ścierała miękką serwetką kurz z wierzchołków i stołów. Twarz jej była więcej niż zwykle ożywiona, lekki rumieniec powlekał blade policzki, a usta poruszały się mimowolnie, jakby mówić chciały miłe i słodkie słowa.

Bergstrem ubrał wejście do domu i schody w zieloność i kwiaty, które na białych ścianach jakby wieńce tworzyły; podziwiał sam swój gust, a Gabryela nie zapomniała także go pochwalić. Wielka czynność panowała w domu, ale zawsze za zwy-

klą spokojnością, przemawiano tylko pół głosem, a za łada szmerem odzywała się matka. „Cicho, cicho!“ Bo zgubione, odszukane dziecię spało w domu rodzicielskim.

W wilią wieczór przybyła Sara. Nie skreśliliśmy sceny powitania, bo mu wielka zmiana w Sarze i jej położeniu wiele radości ujęła. Żałujemy przecież, że czujący czytelnik nie widział lzy mężkiej na licach radcy, gdy wrócone dziecię ujrzał na pierśsiach, na śnieżno białem, zaścienionem własnymi matki rękami łożu, jak spoglądała na dziecię, którego łóżeczko blisko niej stało, na kochanych otaczających ją z miłością, a potem ku niebu — i mówić nie mogła — chętnie przedstawilibyśmy państwa Jakobich w pierwszy wieczór w domu rodzicielskim a w koło nich Adasia i Jakóbcia, Sema i Seta, Salomona i Alfreda, Jonatana i Dawida!

Były to zuchowate chłopczyki, którzy w jednokowym wszyscy stroju ładnie wyglądali: strój ten stanowiła ciemna bluzka skurzanym przytrzymana paskiem, a na nią wyłożony u góry śnieżnobiały kołnierz od koszuli, zostawiający ładne szyjki swobodne i odkryte. Tak występował orszak małych, smagłych, Olbrzymów.“

Powróćmyż znowu do naszego jasnego poranku. Ewa i Eleonora były w ogrodzie i wybierały najpiękniejsze owoce, które miały być stół przy obiedzie ozdobiony. Jeszcze na nich rosa świeciła,

a słońce już oblewało purpurą. Siostry mówiły o Sarze, o małej Elizie którą wychowywać chciały, o Jakobich i ich chłopczykach, rozmowa toczyła się wesoło, przeszła potem do innej treści. „Dziś” rzekła Eleonora, — „odsyłasz twą odpowiedź półkownikowi R. Twoje ostatnie *nie!* Czy nie żałujesz tego?”

„Wcale nie! Ach Eleonoro! Jakże to serce zmienia się, Zaledwie teraz pojąć mogę, żem go kiedyś kochała.”

„Przecież to dziwne, że po tylu latach niewiedzenia znowu o twoją rękę prosił. Musiał cię przecież więcej kochać niż inne, którym nadskakiwał.”

„Nie zdaje mi się; ale... Eleonoro! Patrz jakie śliczne jabłko tam, między liśćmi! Czy nie mogłabyś go dostać? Nie! chybabyś na gałąź wylazła.”

„Jabym sobie miała tyle pracy zadawać? To niesłychane! No, cóż robić! Ale trzymaj mnie, żebym nie upadła.”

Tu złączyła się z siostrami Petrea której twarz już wskazywała, że ma dla nich coś ciekawego.

Przeczytaj, Ewo! rzekła kładąc jej w rękę kawałek zapisanego papieru. „Teraz się przekonasz o tém, czemu dotychczas nie chciałaś wierzyć. Nazwę cię kamieniem, drzewem, automatem bez duszy i serca jeśli potem nie:... śmiej się, nie będziesz się śmiała przeczytawszy to; Eleonoro! chodź

kochana Eleonoro! Przeczytaj razem, a przyznasz mi słuszność, czytajcie siostry!”

Czytały co następuje, napisane ręką asesora:

„Szczęśliwy kto mały, kto samotny! Dojrzewa i żyje w pokoju!” Piękne słowa, a co więcej — prawdziwe!

„Potwierdziło się to na mnie, na znalezioném niegdyś dziecku bez ojca [matki. Byłem] chorym na sercu i duchu, chorym dla świata, i dla siebie samego, ale byłem nie postrzeżony wśród małych i tak wiele sam, sam w świeżych, cichych lasach, sam z wielkim lekarzem, który jeden rany serca goić umie, i wyzdrowiałem.”

„Teraz pojmuję wielkiego lekarza i leki które mi przepisał. Obawiałem się raka egoizmu i chciałem od niego oswobodzić się w nektarze miłości. Ale on wyrzekł: Jeremiaszu, nie ten napój, lecz wyrzeczenie się, lepiej krew czyścić!”

„Piłem go. Kochałem ją lat dwadzieścia, bez pragnienia, bez nadziei.”

„Dziś kończę lat sześćdziesiąt trzy. wzmagający się ból w oku zmusza mnie unikać już schodów pacjentów, i mówi, że nie wiele mam stopni do grobu. Oby mi było wolno pozostające wyłącznie jeszcze dla niej przeżyć.”

„W Róży starca“ będę żył dla niej, bo po mojej śmierci, testamentem jej, i Ewie Frank dostanie się „Róża starca.”

„Dla niej ją ozdobię, zasadzę piękne drzewa i kwiaty, winogrona i róże. I na nią kiedyś starość przyjdzie, wtedy „Róża starca“ będzie jej kwitnąć, woń mojej miłości będzie jej błogosławić, choć brzydki starzec od dawna pod ziemią legnie. Weźmie tam z sobą kochane swe rodzeństwo, będzie słuchać śpiewu ptaków, i patrzeć jak mile słońce oświeca każdy przedmiot natury.”

„Tą myślą żyć będę samotne miesiące lub — lata, które tam przepędzę. Pewno dobrze by to było, mieć tam z sobą drogiego, miłego przyjaciela, do którego eo dzień by rzec można: „Dobry dzień! Słońce jest piękne!“ albo w którego oczach (gdy tamto się skryje) lepsze słońce ujrzyć można, z którym by się użyło wspólnie książek i natury i wszystkiego co dobroć Boża dała, którego rękę uścisnęło by się w ostatniej, ciężkiej godzinie i rzekło: „Dobranoc, znajdziemy się znowu; zrana — u miłości samej — u Boga!“

„Ale.... dziecię znalezione niemogło znaleźć domu na ziemi!“

„Niech i tak będzie! Znajdzie wkrótce inny dom i rzeknie do gospodarza: „Ojcze, bądź litościwy moim różom! A do mieszkania ludzkiego powie: „Świecie, byłeś mi ciężkim, lecz i tobie za twoje dobro dzięki!“

Gdy siostry czytać przestały, kilka łez jasnych było na papierze i błyszczały w świetle słonecznym. Eleonora otarła oczy i zwracając się do Petrei zapylała:

„Ależ Petreo, jakim sposobem ten papier dostał się w twoje ręce?“

„Myślałam ja, że to nadejdzie!“ rzekła Petrea., „Nie powinnaś takich trudnych pytań zadawać, Eleonoro! Teraz i oczy Ewy pytają, i to na seryo. Może myślicie że assesor mi go podsunął? Nie, od tak niesłusznego posądzienia muszę go uwolnić, choć własnym kosztem. Chcecie wiedzieć z kąd mam ten papier? Ukradłam go w drodze, zrana po nocy w której to napisał.“

„Ależ Petreo!“

„Ależ Petreo! Tak moje drogie! Teraz już późno, „ależ Petreo! wołać. Znacie tajemnicę assessora; zrobicie co wam sumienie każe. Moje już zahartowane. Możecie się przestraszać moim postępkami niedbam o to; może mnie cały świat wykląć — niedbam o to! Ewo, Eleonoro! Siostry!“ Petrea uściskała je serdecznie, ucałowała z uśmiechem i ze łzami w oku i pospieszyła dalej.

Trochę później przed południem widzimy Ewę i Gabryelę na odwiedzinach w pięknym, blizkim

miasta domu pastora, gdzie pani Ludwika swoje rzeczy składa, podczas gdy małe Jakobiny z ojcem i dziadem przechodzą pola i łąki okoliczne. Mały, czteroletni Alfred, bardzo grzeczne i miłe dziecko, został z matką w domu, usiłuje bawić Gabryelę i mniema, że najzupełniej cel ten osiągnął, wyciągając figurki z małej arki Noego i przedstawiając głośnym, dziecięcym głosem: „Cham z żoną, Sem z żoną, Jafet z żoną!”

Gdy już siostry odpowiedziały na pytania Ludwiki o wszystkich w domu, Gabryela wyjęła z kosza cielecą pieczeń i pasztet, ofiarowała to Ludwice.

„Myślałyśmy że nim się uporządkujesz będziesz potrzebowała co przekąsić z dziećmi. Skosztuj pasztetu, bardzo dobrze przyrządzony i zaręczam cię że upieczony „po potopie.”

„Doprawdy!” odpowiedziała Ludwika z uśmiechem, „w istocie bardzo smaczny! masz kawałek Alfredzie! ale nie stój i nie patrz tak łakomie. Dziękuję wam kochane siostry! Jak to miło, żeśmy już blisko was i domu. Wyglądacie wszystkie zdrowo i wesoło! Petrea na korzyść się odmieniła! Teraz widać w jej powierzchowności spokój i rozsadek, nos nawet mniejszym się wydaje, ubiera się przyzwoicie — wygląda teraz jak większa część ludzi. Mam dla niej wyborną, ciepłą suknię poranną, aby ją ogrzywała w jej pokoju na strychu. Patrz-

cie, czy nie doskonała? kosztuje dziesięć talarów!”

„Śliczna i na swoją wartość tania!”

„Prawda? to nieschodzone przez całe życie. Ja ki Ewa ma piękny kołnierzyk! Mnie się zdaje, że Ewa jeszcze wypiękniała — byłaś i jesteś różą naszego domu, Ewo, młodo wyglądasz i ciała nabrałaś! Sama się podobnie pochwalić nie mogę; ale trudno nie chudnąć, mając do myślenia o ośmiu chłopcach. Wiście siostry, że w ostatnim tygodniu przed odjazdem ze Stokholmu, prawie sześćset koszul ukroiłam. Spodziewam się, że mi trochę szyć pomożecie. Patrzcie, moje palce dowodzą, ile szyję ciągle. Bóg niech błogosławi moich chłopców, ale dosyć jest przy nich do czynienia. — Powiedźcie mi, co jest mamie? pisałyście mi, że zdrowsza, a ja znajduję ją bardzo zmienioną! Nie mogę spojrzeć na nią bez boleści. Co mówi assesor?”

„O!” odezwała się żywo Gabryela, „on mówi że mama wyzdrowieje, nie ma niebezpieczeństwa. Codzień jest lepiej.”

Ewa nie zdawała się mieć tyle nadziei jak Gabryela, dodała ze łzami: „gdyby tylko jesień i zima dobrze przeszły, to spodziewamy się, że wiosna...”

„A wiście” — przerwała Ludwika — „co mi na myśl przyszło? Uproszę mamę, aby u mnie mieszkała i mleko prosto od krowy piła! Zajęłaby ten

pokój z widokiem na piękny lasek brzozowy, używałaby wiejskiego powietrza i zieloności, mleka i wszystkiego co dobre na wsi, a czego ja dostarczyć mogę! — — To jój pewno posłuży; wszak prawda, siostry, że przyznacie mi słusność?“

Siostry zgodziły się z Ludwiką, a ta mówiła dalej:

„Teraz muszę wam pokazać te dwa cienkie obrusy i do nich serwety, które dla mamy przywiozłam. Wszystko z domowej przędzy! Tylko tkacza zapłaciłam. Jak się wam wydają?“

„Śliczne! śliczne! I to dar, który matkę ucieszy!“

„Teraz obaczycie, co mam dla ojca! — — Ach, to schowane u Jakobiego, ale jeszcze inne rzeczy wam pokażę!“

„Co za obfitość!“ rzekła wesoło Gabryela, „sądząc po ilości rzeczy, kassa wasza w dobrym stanie.“

„Dzięki Bogu, teraz nam dobrze, ale w pierwszych latach było trochę trudno. To też żyliśmy bardzo skromnie. Odkąd pobraliśmy się, w moim ręku była kassa. Jestem skarbnikiem mego męża: on mi oddaje wszystek dochód, a potem bierze co mu potrzeba, i tym sposobem rzeczy idą dobrze. Dzięki Bogu! byle się kochać szczerze, to zawsze można czuć się szczęśliwymi.“

„Jam szczęśliwsza, niż na to zasługuję, przy takim pocziwym mężu i dobrych dzieciach. Zeby

mi tylko była żyła moja mała dziewczynka! Ach! tak się nią cieszyliśmy gdy przysłała na świat, po ośmiu chłopcach. Oboje z Jakobim płakaliśmy z radości. Przez dwa lata była naszą rozkoszą. Jakobi ubóstwiał ją prawie, mógł godzinami siedzieć nad jój kołyską i patrzeć na nią, a mając ją na ręku, nie posiadał się od szczęścia. Nadzwyczaj była miła; taka dobra, ładna, cicha i rozsądna! Prawdziwy aniołek! Jój strata strasznym dla nas była ciosem. Nigdy nie widziałam mężczyzny tak bolejącego, jak Jakobi, ale pokrzepiła go potem pobożność i wrodzona wesołość. Już rok przeszło jak umarła. Ach! nigdy nie zapomnę cię, moja droga dziecino!“

Łzy Ludwiki płynęły obficie; — siostry z nią płakały. Wkrótce uspokoiła się Ludwika i rzekła obcierając oczy:

„Teraz znowu mamy zmartwienie z nóżką Dawidka, na którą kuleje! Lecz na ziemi nie ma doskonałego szczęścia — nie zasługujemy na nie. Przebaczenie, że was zasmucam. Mówmy o czym inném, podczas gdy ja rzeczy składam. Opowiedzcie mi co o naszych znajomych. Jak się powodzi ciotce Ewelinie?“

„Pielegnuje pięcioro wnuków i przy nich siedzi, kochana i szanowana od wszystkich w Axelholmie. Szczęśliwą ma starość i wśród bardzo miłej znajduje się rodziny.“

„Ciesz się mnie to! Ona zasługuje na miłość i szacunek. Czy Karina także poszła za męża?”

„Nie, Karina umarła. Bardzo ją żałowano. Wszystkie razem tak były szczęśliwe.”

„Jakto, umarła? a przypominam sobie, że nawet pisałyście mi o tém. . . Patrzcie na tę suknię. To dar mego kochanego męża. Czy nie piękna? I bardzo modna. Napróżno, moja droga Gabryelo, taką dwuznaczną robisz minę. Wistocie jest piękna i najnowszej mody, zaręczam cię.”

„Ale, á propos, cóż się dzieje z familijnym płaszczem? czy nie odżył w nowém przerobieniu? A tak, to slicznie! muszę się w niego ubrać, by się z Jakobim podreczyć. Powiem, że odtąd zawsze nosić go będę, aby uczcić nową godność mego męża.”

Wszystkie rozśmiały się.

„Ale, powiedźcie mi przecież, mówiła dalej Ludwika, jak się odbędzie wasza wielka niespodzianka? czy obrałyście już stosowną chwilę?”

„Tak jest. Po obiedzie będziemy pić kawę w ogrodzie. Wtenczas zwrócimy rozmowę na pole za parkanem, będziemy patrzeć na nie przez szpary i wywołamy zwykle ojca życzenie— „żeby to je można mieć!” — Wtedy, na znak umówiony, twoje chłopcyki pobiegną do parkanu, i . . .”

„Cóż wy myślicie? moi chłopcy są wprawdzie

silni i żwawi, ale do tego potrzeba olbrzymiej siły, aby. . .”

„Nie obawiaj się, odrzekły z uśmiechem siostry, „parkan jest podcięty z dołu i tyle tylko się trzyma, żeby za lada pchnięciem upadł z hałasem, dla większego wrażenia. Zadanie nie będzie trudne, a w potrzebie wszyscy uderzymy na parkan.”

„Kiedy tak, to nie będzie was potrzeba, moi chłopcy sami wystarczą; á propos! mam kilka butelek doskonałego cukrowego napoju, który ojcu pewnie się podoba i przyda — jeśli — jak to wypada, zdrowia będą wznoszone.”

Podeczas téj rozmowy, mały Alfred na próżno dwa całusy ofiarował wszystkim i trochę gniewny, że jego towaru nikt nie chwyta, skoczył na szyję Gabryeli, uściskał ją i zawołał:

„Widzę, że ciocia koniecznie chciała pocałunku!”

Nie było cioci Gabryeli winą, że malec został przy przekonaniu, iż jego dar był konieczny.

Ludwika dalej składała rzeczy.

„Oto dar dla Bergstrema, a ta chustka na szyję dla Ulli i ta miękka szczoteczka do ścierania prochu ze stołów i zwierciadeł. Na ten sam cel mam dla staréj Brygidy mieszek i różne drobiazgi, które jej się pewno bardzo podobają.”

„No, uszczęśliwisz staruszkę! często teraz bywa w złym humorze, ale jeśli gość jaki przyjdzie do

niej na kawę, lub mały podarunek, godzą ją z całym światem. Dziś oboje mieć będzie.“

„Patrzcie, jak ten mieszek dmie dobrze! mógłby rozpalić najwilgotniejsze drzewo! Patrzcie, jak proch od niego ulatuje!

„Nas samych mógłby wywiać z pokoju! rzekła ze śmiechem Gabryela.

Podczas gdy siostry proch zwiewały, a Ludwika podziwiała swe wynalazki, wszedł radca wesół.

„Jaka czynność!“ zawołał ze śmiechem. „Przynoszę ci uściśnienia od męża i dzieci, Ludwiko. Chłopczyki twoje podobają mi się, bo rzeźwe i pełne życia. Przytém posłuszne i zwinne. Mały Dawid to razem trzpiot pusty i grzeczny młodzieniec! Szkoda że trochę kuleje!“

Zarumieniona z radości, przy pochwałach swoich chłopców odpowiedziała Ludwika:

„Ojciec nie słyszał jak Dawidek dobrze gra na wiolonczeli. Ma istotny talent, będzie z niego artysta znakomity!

„To pięknie. Warto za to i na obie nogi kulée. Ale ciebie zaledwie widziałem dotychczas, Ludwiko! Jakaż to dla mnie pociecha, że tak blisko teraz mieszkać będziesz. Codzień widzieć się będziemy, a powietrze wiejskie pewno ci posłuży. Schudłś, ale — zdaje mi się że wyrosłś!“

Z uśmiechem odrzekła Ludwika, że już dawno minął czas kiedy rosła.

Siostry między sobą także o Ludwice rozmawiały, cieszyły się że się nie odmieniła, że zachowała zawsze jednaką czynność i swobodę,

„Nie wypiękniała w prawdzie — ale też zawsze pięknieć nie można. Rzeźwo wygląda, poczciwość patrzy jej z oczu, miny poważnej nie stroi — wyborna nasza pastorowa!“

Teraz przejdźmy do Sary pokoju.

Kiedy ukochane, niewinne dziecię po przebytych cierpieniach powraca w objęcia rodziców, do drogiego domu, to błogą rozkosz téj chwili oddać trudno. Czyste, pełne użycie wszystkich domowych radości, czułość rodziny, szczęśliwe, niebieskie uczucie że jest się w domu ojcowskim? Ale dziecię winne. Widzieliśmy raz obraz marnotrawnego syna, który na zawsze pozostał w naszej pamięci. Jest to chwila powrotu, ojciec z całego serca wyciąga ramiona do syna, teraz klęczy u nóg jego i twarz kryje, głęboki gorzki żal za winy przyciska go do ziemi i jedna tylko łza boleści spływa na błąd policzek — nie więcej nadto z twarzy jego nie widać, ale to jedno wszystko wypowiada. Na próżno ubiorą go w złote pierścienie, na próżno tuczne cięle zabijają na jego przyjęcie i uctować będą, on się nie uczuje szczęśliwym, ani swobodnym. Wspomnienia jego są źródłem téj lzy gorzkiej!

Tak było z Sarą i to właśnie w mierze, w jakiej jej serce uszlachetniło się rzeczywiście i oczyściło. Gdy po pokrzepiającym śnie obudziła się w dawnym domu, obaczyła obok siebie dziecię na miękkim, białym łóżeczku, a w koło przy wiskającym się słońcu porannym, wszystko takie miłe, świeże, świąteczne, gdy obaczyła że jej upodobania młodości zostały w wiernej kochanych pamięci i zaraz ją tem co lubiła otoczyli ujrzała najmiłszy niegdyś kwiat astry stojący na kominku w alabastrowym naczyniu i pomyślała jak było niegdyś, a jak jest dziś — zapłakała gorzko!

Petrea która w Sary pokoju czytała przy oknie, czekając jej przebudzenia pospieszyła zaraz do jej łóżka z serdecznymi i uspakajającymi słowy.

„O Petreo!“ rzekła Sara przyciskając jej rękę do piersi. „...“ dozwól mi otwarcie z tobą mówić. Serce moje przepełnione, czuję że mogę ci wszystko powiedzieć i że ty mnie zrozumiesz. Dobrowolnie tu nie przybyłam, twój ojciec wziął mnie, nie pytał, wziął jak dziecię i jak dziecię poszłam za nim, czułam się słabą, myślałam: „może umrę wkrótce! Pod jego dachem śmierć lżejszą mi będzie.“ Ale noc ta w rodzicielskim domu pokrzepiła mnie. Czuję że żyć będę. Słuchaj mnie i dopomóż mi Petreo—skoro nogi unieść mnie zdołają, muszę, ten dom opuścić, ciężarem mu być nie chcę plamy i pogarda świata ciężą na mnie, ja niechcę obecno-

ścią moją brudzić ten święty przybytek. W oczach Gabryeli czytałam już wstręt do mnie... Mnie samą dręczy pobyt tutaj. Oby tylko niewinne moje dziecię mogło zostać w tym błogosławionym domu! Ja muszę z tąd iść. Wdzięki i dostatek waszego życia nie są dla mnie. Obudzają we mnie zgryzoty sumienia—mnie potrzeba ubóstwa, pracy. Muszę z tąd odejść, muszę— a niechciałabym zasmucać, okazać się niewdzięczną—pomóż mi Petreo! Myśl za mnie co mam zrobić, gdzie pójść!”

„Już myślałam o tem,“ odrzekła Petrea.

„Myślałaś?“ zapytała Sara z radośnym zdziwieniem, zwracając badawczo na nią wielkie swe oczy.

„Pójdź i dziel moją samotność!“ dodała Petrea serdecznie. „Wiesz że chociaż w domu rodzicielskim mieszkam osobno, i najzupełniejszej używam wolności. Obok mego pokoju na strychu jest drugi ubogi, ale spokojny, który tobie może służyć. Zamieszkaj go! Tam urządzisz życie podług woli, będziesz je spędzać samotnie lub ze mną tylko, dopóki cichy wpływ dni spokojniejszych nie pociągnie się w niewinne życie naszej rodziny i jego radości.“

„Jakżeś ty dobra Petreo! Lecz nie możesz obok siebie umieszczać istotę złej sławy, a niewiesz....“

„Nie kończ! Wiem dosyć gdy cię widzę i słyszę. O Saro! jakąż jestem, abym się od ciebie odsuwać miała? Bóg patrzy w moje serce i widzi jego sła-

bość i ułomność, chociaż życie moje czystém pozostało, bo otoczenie i okoliczności broniły mnie od winy. Znam się przecież dobrze i o nie goręcej Boga nie proszę, jak: „Odpuść nam nasze winy!“ Nie mamże się modlić obok ciebie? Nie możemyż razem odbywać dalszej naszej wędrówki? Obie spojrzaliśmy w niejedną przepaść życia, obie spoglądamy teraz pokornie w górę i dążymy do wyższego światła. Podaj mi rękę! Ty mi zawsze byłeś bardzo drogą. Jak w młodości, tak i teraz pociągasz mnie ku sobie. Jdźmy razem, a przynajmniej spróbujemy wspólnej wędrówki. Moje serce pragnie tego, a twoje, Sara—czy nie mówi ci, że nam dobrze będzie razem?“

„Nie stanę ci się ciężarem? Gdybym była silniejszą mogłabym ci służyć, pracą rąk na chleb zarobić, jak to czyniłam w ostatnim roku. Ale teraz?!...“

„Teraz.... Spuść się na mnie ślepo! Mam dosyć dla nas obydwóch, gdy zdrowszą będziesz, to jakoś potrafiemy nawzajem sobie pomagać.“

„Moje opustoszałe życie—moje gorzkie wspomnienia ... nie będąż one mnie prześladować i napawać ponurością? Złe duchy nie będąż miały władzy nad tą, która tak długo była w ich mocy?“

„Żal za winy, jest bóstwem strzegącym wszystkich którzy zbłądzili. Jeśli poganin mógł to wyrzec, o ileż słuszniej chrześcianin. O Saro! nawet żal

rozpaczliwy, to wiem, może dać siłę do wzniesienia się i odrodzenia. Zdolny jest obudzić nieprzeciętną wolę. Mnie podniósł i u ciebie to samo zdziała. Stoisz w pośrodku życia, przyszłość długa jeszcze przed tobą, masz miłe dziecię, przyjaciół i wieczy żywot, dla którego żyć powinnaś. Żyj więc, a obaczysz jak powoli noc przejdzie, dzień zaświeci, wszystko się uspokoi i wyjaśni. Pójdź ze mną razem pracować nad najważniejszym dziełem życia, nad naszym ulepszeniem!“

Sara przy ostatnich słowach podniosła się w łóżku, nowem światłem zabłyśły jęj oczy. „Idę za twoją wolą Petreo. Anioł mówi przez ciebie! Twoje słowa dziwnie mnie wzmacniają i uspokajają—chcę zaczynać na nowo.“

Petrea z dziękczynieniem przycisnęła serdecznie Sarę do piersi. Potem dodała: „Teraz Saro bądź grzecznem dzieckiem! Wszyscy chorzy są dziećmi, dozwól że się jak dobre dziecię pielęgnować i i pokrzepiać! Uciesz tém otaczających cię z miłością. Dopóki nie wyzdrowiejesz, nie można myśleć o żadnej wędrówce, bo wszystkich byś zasmuciła.“

W tęg chwili otworzyły się drzwi i matka zajrzała pytającym wzrokiem. Uśmiechnęła się tkliwie ściskając Sarę. Eleonora szła za nią, ale obaczywszy Sarę mocno wzruszoną odeszła i wróciła po chwili ze śniadaniem, z przysmaczkami, a otacza-

jacy chorą zaczęli wesoło, żartobliwie rozmawiać, aby ją rozerwać i ożywić; wzbudzano dziecinne wspomnienia i wyrażenia.

„Czy poznajesz panią Folette? Jest nowo naprawiona. — Czy może mieć bonor ofiarować ci filiżankę kawy? Oto dawna twoja filiżanka z gwiazdkami. — Uratowaną została wraz z panią Folette z pożaru, a ta mała z różanemi pączkami jest przeznaczona dla naszej małej Elizy. — Musisz przecie strucli tutejszych skosztować! Nie były wcale w arce. Nasza najstarsza siostra lekceważyłaby je jako zbyt młode, przed godziną wyszły z pieca! Nasza „mała panienka“ najlepsze dla ciebie wybrała i w koszyk włożyła! Czy też assesor pochwaliłby pieczywo domowe?“ — i t. d.

Mała Eliza obudziła się tymczasem i patrzała jasnymi niebieskimi oczkami na starszą Elizę nad nią nachyloną. Podobne były do siebie, jak często wnuczka do babki i zdawały się już znać cokolwiek. Gdy Sara obaczyła swe dziecię na rękach Elizy, po raz pierwszy czyste łzy radości zapęłniły jej oczy.

Dziwiłbym się gdyby moje czytelniczki miały dość mocne nerwy, aby być świadkami wielkich czynów „małych olbrzymów“ przy obaleniu parkanu ogrodowego. Nie wierząc temu, chcę z pozwoleniem czytelnika szybko pominąć wielką scenę dnia tego t. j. wywrócony parkan, który tak szybko upadł

że chłopcy koziołka przez niego przewróciły, a udać się na nową posiadłość, gdzie zastajemy rodzinę siedzącą na ustrojonych w kwiaty ławkach, pod wysoką brzozą, poruszającą nad niemi żółtką już swą koronę. Wrześniowe słońce chylące się ku zachodowi oświecało wesołą gromadkę i zło-ciło drzewa i strumień, który lekko szemrząc, w niebieskich zakrętach przebywał nowo nabyte pole, upiękniał je i odgraniczał.

Łzy błyszczały w oczach ojca, ale milczy. Uczucie błogie jak bardzo jest kochanym, myśl o przyszłości i ulubionym zamiarze, rokosz i duma ojcowska, wdzięczność ku swoim i Bogu — to wszystko połączone napęłniało jego serce najmiłszymi uczuciami, jakie rozradowały pierś ludzką. —

Matka zaraz po wielkiej niespodziance wybuchu radości jaki wywołała, udała się z Ewą i Eleonorą do domu! Pomiędzy pozostałemi widzimy przyjaciela rodziny, Jeremiasza Muntera, który właśnie najposeępniejszy przybrał wyraz twarzy i barona L. już nieroztrzepanego młodzieńca, ale człowieka dorosłego i do tego majątnego obywatela, którego poważna powierzchowność ozdobiła się wyrazem uprzejmiej skromności, występującej najwidoczniej gdy mówi z Gabryelą, u nóg której właśnie usiadł.

Ludwika podaje napój cukrowy, który sama najwięcej chwali. Znajduje w niem coś przewyborne-go, nadziemskiego, lecz przestrasza się widząc, że

Gabryela wypiwszy pół szklanki szybko odbiega bo nie spodziewała się żadnego silnego skutku ze swego mało rozgrzewającego napoju. Zaraz ośmiu chłopczyków ją otacza wołając razem:

„Mamo, a ja dostanę napoju? — A ja — a ja — i ja także — daj mi wiele piany kochana mamo! „Zaraz, zaraz kochane dzieci! Nie potrzeba tak krzyczyć i cisnąć się. Nigdy nie widzicie abym ja tak robiła albo tato. Salomon musi poczekać do samego ostatku. Cierpliwość dobrą jest rzeczą. No macie, pijcie, ale nie pooblewajcie się!“ Małe Jakobiny spełniwszy szumiący, troszkę rozgrzewający napój, tak bardzo się ożywili, że Ludwika musiała im rozkazać, aby wielkich swych czynów dokonywali w pewnej odległości od reszty towarzysza. Całe więc pole psoty wyrabiając obiegali. Dawid o kuli przeskakiwał kamienie, a Jonatan zbierał jagody i kwiaty, z których inni robili równianki, aby nimi obsypać ciotki, zwłaszcza Gabryelę, wybraną swą przyjaciółką i opiekunkę. Adam — najstarszy z ośmiu, słusznego wzrostu chłopiec usiadł w milczeniu obok dziadka, chcąc być do starszych policzonym. Mały Alfred odstąpiwszy braci skakał koło matki.

Radca na wszystkich wesoło spoglądał, zakładał w myśli ulice, kłaby, stawiał ławki, widział je wypełnione używającymi tu przyjemności ludźmi i Jakobiemu udzielił swoich planów.

Jeremiasz patrzył na tę scenę z smutnym cichym jemu właściwym uśmiechem. Gdy Dawid przyskoczył do niego z pachnącym polnym kwiatem, zawołał nagle.

„Nie lepiejże byłoby zamiast zwykłego parku założyć tu ogród botaniczny? Kwiaty są przecież najmiłszą rzeczą na świecie i gdy je człowiek wacha to nosa w górę nie drze. Można by tu także studnię urządzić, która ubogim tej części miasta ulgę by przyniosła!“

Radca chwycił się radośnie tej myśli. „Tak, rzekł połączymy pożytek z przyjemnością. Wprawdzie ten plan wymaga więcej kosztu jak założenie zwykłego ogrodu, ale o to mniejsza. W tych błogosławionych, pięknych czasach pokoju, przy widokach że z Bożą pomocą dłużej potrwa, można pracę przedsięwziąć i mieć nadzieję że spokojnie będzie dokończona, choćby dłuższego czasu wymagała.“

„A takie prace,“ rzekł Jakobi, „uszlachetniają życie w czasach pokoju. Pokój potrzebuje sił równie jak wojna, ale przeciw innemu rodzajowi nieprzyjaciół. Każde uszlachetnienie ludzkiego bytu, wszystko co od zmysłowego do duchowego życia nas podnosi, jest obroną przeciw niższej naturze człowieka, zasługą dla ludzkości i kraju!“ „Ba, ba.“ rzekł gniewnie Jeremiasz, „ludzkość, kraj! Wy macie zawsze wielkie słowa w zapasie. Gdy kto

parkan obala, albo krzak zasadza, to zaraz wyrządza dobrodziejstwo ojczyźnie.

Sadźcie i ogrodźcie ogrody a dajcie pokój krajowi, który tak mało dba o was, jak wy o niego — dla kraju! dla ludzkości! — to bardzo wzniosłe i wzruszające — szkoda że czczą gadaniną!”

„Teraz bracie, byłeś za surowym,” rzekł radca, uśmiechając się na wybuch przyjaciela; „co do mnie, dodał dalej, życzyłbym, aby myśl o wyższych powinnościach życia przewodniczyła czynności ludzkiej w każdym kroku. Jestże jaka miłość naturalniejsza i rozumniejsza jak dla ojczystego kraju? Czyż nie zawdzięczam memu krajowi wszystkiego czem jestem? Jego prawa, instytucje, duchowe życie nie rozwinęłyż mego całego ludzkiego i obywatelskiego bytu?”

Moi przodkowie byli częścią tej samej społeczności, oddawali jej swe indywidualne życie i siły. W istocie! miłość i wdzięczność dla rodziców nie są większym obowiązkiem jak miłość i wdzięczność dla społeczności do której należymy! Niema nikogo, mężczyzny ni kobiety, wysokiego, ani niskiego, któryby na swój sposób nie mógł i nie powinien był ten dług święty wypłacić. Taki jest duch chrześcijańskiej społeczności, że każdy członek nieskończenie jej wiele zawdzięcza i nawzajem użytecznym być powinien o ile siły jego starczą.“

„Jak!“ dodała Petrea, „krople tworzą strumień, który wlewa swe wody w rzekę, i choć bezimiennie ma udział w jej dobroczynnym biegu.“

„Tak kochane dziecię!“ rzekł ojciec i podał jej rękę.

Myśl to pocieszająca,” rzekła Ludwika ze łzami w oczach, „słuchaj Adamie, co dziadzio i ciocia mówią. Nie ziewaj tak okropnie mój drogi, statek mógłby wypłynąć w twoje usta!”

Na to roześmiał się młody Alfred tak głośno i serdecznie, że rodzice nie mogli mu nietowarzyszyć. Adam zawtórował, a na odgłos śmiechu przybiegli z różnych stron Sem i Set, Jakób i Salomon, Jonatan i mały Dawid, tak jak się wróble zlatują na garść rzuconego ziarna. Przyszli już śmiejąc się dla tego tylko, że zdala śmiech drugich posłyszeli.

Tymczasem zaszło słońce, zimno wieczorem ucieć się dawało, a towarzystwo w wesołej rozmowie pośpieszyło do domu. Zwróciwszy oczy ku miastu ujrzeli krzyż na kościele Panny Maryi błyszczący, jak gwiazda w ogniu, w ostatnich promieniach słońca, a z za dachu ich domu ukazywał już księżyc blade, ale łagodne swe oblicze. Gwiazda wieży kościelnej świeciła nad grobem brata, a widok księżyca przypominał mimowoli Gabryeli łagodną twarz matki, i smutne sprawił jej wrażenie. Zresztą wieczór był piękny. Ptaszki swiergotały

w brzożach nad strumieniem, niebo jasne i błękitne spoczywało nad ziemią, gdzie wiatry i gwary usypiały coraz głębiej. Gabryela szła zamysłona i nie spostrzegła, że baron L. zbliżył się do niej; przestraszyła się gdy przemówił:

„Tak mi to miło — tak słodko widzieć państwa wszystkich znowu, i tak szczęśliwych!”

„O tak, rzekła Gabryela, teraz zostaniemy wszyscy razem, Wielką to dla nas radością, że Ludwika tu z swoją rodziną przybyła.”

„Może,” mówił L. dalej, „jest to zuchwałością chcieć rozdzielić tak szczęśliwą rodzinę, zabrać jej ukochaną córkę i siostrę, jednak jeśli najszczerza...”

„Ach!” przerwała szybko przestraszona Gabryela, „nie mów pan o rozdziale! Nam tak dobrze teraz!”

L. zamilkł zasmucony.

„Używajmy razem wszyscy radości” dodała Gabryela nieśmiało a serdecznie — „pan zostaniesz jakis czas z nami? Miło jest mieć przyjaciół i rodzeństwo. Życie z nimi słodkie!”

L. rozjaśnił oblicze. Ujął rękę Gabryeli i chciał więcej mówić, ale ona pospieszyła do ojca i wzięła jego ramię.

Jakobi prowadził Petrę. Rozmawiali wesoło, poufale jak szczęśliwe rodzeństwo. Rozmawiała z nim o tem co stanowiło jej obecne szczęście i na-

dzieje przyszłości. On żywo brał w tem udział i opowiadał jej znowu o swoich zamiarach, o swoim domowym szczęściu, najbardziej unosił się nad swoimi synami, jak są posłuszni każdemu skinieniu rodziców, jak kochający, a to wszystko Ludwika zasługa! pochwały Ludwika wzniosły się jak harmonijny duet na „słodką woń, dla „najstarszej siostry, która teraz ojca mowy słuchała.

Za chwilę przybyli do domu.

„Z srebrną chochlą w rękę, a najmilszym uśmiechem na ustach, stała matka w bibliotece, przed nią dymiąca się waza ponczu, i powitała radośnie wchodzących.

„Kochana Elizo, rzekł radca, ściskając ją, „odmłodniałaś mi dziś o lat dwadzieścia.”

„Szczęście odmłodnia,” odpowiedziała mu tklivem spojrzeniem.

Usiedli wszyscy.

„Cicho chłopcy,” rzekła Ludwika do ośmiu synów siadając z małą Elizą na kolanach. „Czyż nie możecie usiąść bez hałasu?”

Jeremiasz Munter usiadł w kącie, zdala od drugich — był smutny i milczący.

Powstało ogólne milczenie. Na wielu twarzach widać było natężone oczekiwanie, jak gdyby coś nadzwyczajnego zająć miało.

Radca zakaszał parę razy, jak gdyby potrzebował nastroić głosu ku niezwykłej mowie.

Nareszcie wyrzekł z widocznym wzruszeniem:

„Jestże to prawdą, że nasz przyjaciel assesor Munter chce nas w krótkce opuścić, aby samotnie osiąść na wsi? Jestże prawdą, jak wieść niesie, że już jutro ma nas opuścić i ten wieczór może ostatni który jako mieszkaniec miasta w naszym kole przebywa?”

Assesor chciał odpowiedzieć, ale nie zdołał, usta wydały tylko niewyraźne potwierdzenie. Patrzył otępiało w ziemię, wspierając ręce na lasce.

W takim razie, mówił radca dalej, — zostałem wezwany, zadać mu pytanie, które nikomu innemu jak jemu zanieśćbym nie mógł, i teraz nawet trudno mi je wymówić.—Czy zezwoli nasz przyjaciel assesor Munter aby jedna — jedna z nas towarzyszyła mu w jego samotności?

„Któżby chciał mi towarzyszyć?” zapytał Jeremiasz sucho i niedowierzająco.

„Ja!” odrzekł głos słodki i harmonijny; Ewa w tej godzinie piękna i powabna jak niegdyś — przybliżyła się do niego oparta na ręku ojca.

„Ja,” powtórzyła rumieniąc się i dodała cicho a serdecznie, „będę panu towarzyszką—jeśli chcesz tego.”

Na twarzach rodziny widocznem było, że dla nikogo nie było to niespodzianką. Ludwika miała łzy w oczach i wcale nie zdawała się przerażona

tym krokiem przeciwnym godności niewieściej. Assesor zdziwiony podniósł wzrok bystry.

„Weź z rąk moich.” rzekł radca wzruszonym głosem, „towarzyszkę życia której oddawna pragnąłeś. Tylko tobie Munterze mogę tak ofiarować dziecię moje!”

„Nie chcesz mnie pan?” rzekła Ewa, podając zarumieniona i z uśmiechem białą swą rękę jeszcze oniemiałemu Jeremiaszowi.

On ujął żywo podaną rękę, przycisnął ją silnie do piersi i nachylając się nad nią rzekł cicho:

„O moje róże!” Gdy podniósł głowę, łzy mu spływały po twarzy, ale w niej był jeszcze niepokój i trwoga. „Bracie” rzekł do radcy, „jeszcze nie mogę ci dziękować, nie wiem.... nie pojmuję.... muszę ją pierwój wybadać!”

Wziął rękę Ewy, zaprowadził ją do pokoju obok biblioteki, i usiadłszy naprzeciw niej mówił żywo.

„Co to jest? Jak mam rozumieć ten postępek? Powiedz mi w imie Boże, z jakim uczuciem ofiarujesz mi Ewo, twą rękę? Czy z miłością prawdziwą! Tak miłością: mówię! Nie przestraszaj się tego słowa—w takim znaczeniu jak ja je pojmuję możesz odpowiedzieć. Jestże to miłość—czy litość? Jako daru litości nie przyjmę twój rękę—to chciałem ci powiedzieć. Pocóż mielibyśmy się oszukiwać. Na imie Boga, który patrzy w serce, odpowiedz mi prawdę; czy z szczerem, chętnem serce m przycho-

dzisz do mnie? Czy myślisz Ewo, aniele Boży, że ja stary, brzydki, chorowity, ponury starzec mogę cię szczęśliwą uczynić?

Jeremiasz mówił z nieokreśloną tklivością i trwogą i w tej chwili wypiękniał miłością i czułością.

„Mój przyjacielu, mój dobroczyńco,” odpowiedziała, ocierając łzy płynące po licu, „patrzaj, czytaj w mojem sercu! Wdzięczność przyprowadziła mnie do uznania twojej wartości, oboje miłość wzbudziły; nie tę gwałtowną, której raz doznałam nie doznam już więcej, ale głębokie, serdeczne przywiązanie, które mnie, a ufam i ciebie uszczęśliwi, i którego nic już nie zmieni. Życie dla ciebie i mojej rodziny, jest najwyższem mojem życzeniem na ziemi. Mogę szczerze powiedzieć, że teraz nikogo więcej nad ciebie nie kocham. Wystarcza ci to?”

Jeszcze głębokie oczy assessora patrzyły na Ewę bystro i przenikliwie.

„Pocałuj, mnie” wyrzekł nagle i krótko.

Z cichą, nie do opisania wdzięczną serdecznością, zarumieniona Ewa nachyliła swoją twarz ku niemu i pocałowała go.

„Dobry Boże!” zawołał Jeremiasz, „więc moja jesteś? Bóg ci zapłać!” Z niewypowiedzianem uczuciem przycisnął oddawna ukochaną do piersi uszczęśliwioną. Długo trzymał ją w objęciu, głębokie

westchnienia wydobywały się z kochającego serca. Nakoniec oderwał się od niej, jakby nową młodocianością ożywiony poskoczył ku towarzystwu w bibliotece:

„Widzicie — już wszystko dobrze — ona moja będzie — chce być moją — będziemy szczęśliwi razem! Czyż nie zechcecie — wypić naszego zdrowia?” Wszyscy pobiegli do ponczu. Ludwika z innemi, dzieci z nią. Powstał wesół hałas, Eleonora i Petrea uspokajały z uśmiechem, zapewniając że każdy szklankę ponczu dostanie, byle tylko spokojnie został na miejscu. — Nareszcie towarzystwo wróciło do porządku. — Szklanki napełniono, zaczęły się wiwaty.

I. Na wniosek radcy na cześć nowych oblubieńców:

II. Za zdrowie i szczęście rodziców, którzy jak to wyraził rozczulony Jakobi, „są twórcami szczęścia nas wszystkich.”

III. Za powodzenie nowego pastora i jego rodziny.

IV. Z powodu nowo nabytej posiadłości.

V. Za dobro domowego ogniska.

VI. Za zdrowie wszystkich „dobrych dzieci.”

Ośmiu chłopczyków mniemali że nie mogą dość dziękować i odpowiadać.

Potem inne je szczerze wnoszono wiwaty, Jakobiny pili do ciotek. Gabryela uderzała wielokrotnie o szklanki małych siostrzeńców.

Uszczęśliwiony i odmłodniały Jeremiasz Munter mówił czule a pół żartem do narzeczonej:

„To przecież szczególne, że tak bardzo chodziło ci o mnie i aż sama się oświadczyła!”

Jak mogłaś wiedzieć że cię chcę, i tak mnie napisać nie zostawić czasu do namysłu! To niesłychane! Któż widział tak zmienić zwyczaj powszechny? — Nie, nie, to nie wypada. Nie, nie, przeciwnie; wypada, i nic lepszego stać się nie mogło. — Im dłużej się namyślam, tém lepiej to widzę. Ale pospieszyłaś się..... cóż znowu? mała panienka, przyszła siostrzyczka, przychodzi i całuje mnie bez ceremonii; Bóg jest dobry, a świat piękny.

Nikt jednak tak pięknym świata nie znajdował jak Petrea.

„Teraz zadowolona jesteś ze mnie, Petreo?” — pytała Ewa uśmiechając się figlarnie. Petrea uściskała ją serdecznie. Mama Ludwika teraz głos podniosła: Nie dostaniecie już nic pić! Żaden nie dostanie. Co mówisz Dawidku? Chcesz z wujem Munterem jeszcze raz w kieliszki uderzyć? Dziękuję ci chłopcze kochany, zostaw to na inny raz. Już i tak piliście więcej, niż wasze główki znieść mogą.”

„Proszę za chłopcami, siostro Ludwiko!” — zawołał assessor, „wniosę teraz toast, który i oni wypić muszą. Raz jeszcze napełnij szklanki, mateczko!” Słuchajcie:

„Niech żyje pokój? Pokój w kraju i w domu!

Niech żyje miłość i nauka, które są błogosławieństwem pokoju! Niech żyje jednym słowem — Pokój na ziemi!”

„Amen, amen!” zawołał Jakobi, wypił swą szklankę i rzucił nią o ziemię. Ludwika troszkę o to gniewnie spojrzała na matkę, ale gdy ta naśladowała wesoło przykład Jakobiego, więc i Ludwika za nim poszła.

„Wszystkie szklanki w górę po tem zdrowiu!” — zawołał radca, rzucając swoją do sufitu. Z niezmierną radością naśladowali go chłopczyki, przy toaście „pokoju” ogromny hałas sprawując.

Opuśćmy teraz szczęśliwe kółko, wraz z matką, która się cicho wysuwa. Udaje się do swego pokoju, zasiada do stolika i następne słowa pisze do siostry:

„Opuściłam ich na chwilę, aby wypocząć i do listu do ciebie dodać słów kilka. Wszystko tu wesołe i spokojne, radosne głosy rozlegają się wokoło. Mój Ernest najwyższej używa rozkoszy, bo wszystkie dzieci widzi szczęśliwe wokoło siebie. A te dzieci, Cecyljo — słusznie są jego chlubą i radością. Każde zadowolone z swego losu. Stracona, odszukana żyje w domu, i żyje na nowo, a jej śliczne dziecko już u dziadka na kolanach najlepiej przebywa i lubi..... Teraz odzywa się gitara Gabrieli, i piosnka jej towarzyszy. Już i tańczyć zaczynają. Chłopczyki Ludwiki wstrząsają domem.

Jakobiego głos daje się wszędzie słyszeć. I ja powinienam być wesoła, kiedy mnie szczęście otacza. I jestem nią, moje serce pełne wdzięczności, ale ciało znużone, bardzo znużone!“

Jodły na grobie poruszają się i schylają — widzę ich wierzchołki to kłaniające się mnie, to wznoszące się w górę w jasnym świetle księżyca, czy ty mnie wzywasz, synu mój? Wołasz abym szła do ciebie? Moje dziecko pierworodne! Najdroższe! Pozwól, że ci poszepnę, że to i mojem życzeniem. Miał być świat, błogim jest dom, ale odkąd odszedłś, pociągasz mnie za sobą. Może niedaleki dzień ostatni. Czuję że lekko usnę. A jeśli przed snem ostatnim dana mi będzie jasna, piękna chwila, to przycisnę raz jeszcze rękę mojego męża do ust, błogosławiąc spojrzę na świat w koło, wdzięcznie wzniosę oczy ku niebu i powiem z głębi serca:

„Bogu chwała — za żywot tutaj — i za żywot tam.“

KONIEC.



*ewangelia
i chwała*

*pewnie mi 72
zapomniał*

9149